

Najnowsza powieść mistrza thrillera medycznego

KEN McCLURE

UZDROWICIEL

*Thrillery medyczne
Kena McClure'a mają krew
bardziej niż Michaela Crichtona
i Robina Cooka razem wziętych.
„Daily Telegraph”*



McCLURE KEN

UZDROWICIEL

Przekład DANIEL ZYCH

Większość miejsc i instytucji wymienionych w tej opowieści jest prawdziwa, ale opisane osoby są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo postaci do prawdziwych osób, żyjących albo zmarłych, jest czysto przypadkowe.

Prolog

Melissa Carlisle, córka lorda i lady Penningtonów, żona parlamentarzysty Johna Carlisle'a, przyglądała się mężowi nad śniadaniowym stołem, jakby sprawdzała coś, na co dopiero się natknęła. Jeśli chodziło o wyrażenie skrajnego niesmaku, wyższe klasy były osobną rasą. Melissa miała wrodzoną zdolność patrzenia z góry, o czym jej mąż - wywodzący się ze skromnej klasy średniej - wiedział aż za dobrze.

- Powiedz mi, że to nieprawda - zażądała bezbarwnym, jednostajnym tonem, dbając o to, by każdą sylabę wymówić powoli i wyraźnie.

- Co takiego, kochanie? - Carlisle nerwowym ruchem odgarnął rzadniejące jasne włosy z czoła. To sprawiło, że żona przybrała jeszcze surowszy wyraz twarzy.

- Co takiego - przedrzeźniała go. - Artykuł w „Tele-graph” dziś rano... o zwrocie wydatków za nieistniejącą hipotekę, nałożoną na drugi dom, którego nie masz. Właśnie to.

Carlisle, zażenowany, kręcił się na krześle, jakby spodnie miał pełne mrówek.

- No? - ponagliła Melissa.

- To najwyraźniej jakieś nieporozumienie, administracja sknociła coś po drodze.

- Chcesz powiedzieć, że ten wydumany dom należy do kogoś innego?

- Hm... Nie, niezupełnie... Na pewno pamiętasz, że myślałem o kupnie mieszkania w Londynie, żeby być bliżej Izby...

- Mieszkamy czterdzieści pięć minut drogi od Londynu, a ciebie nigdy nie ma w tej cholerniej izbie. Poważnie mówisz, że zadeklarowałeś hipotekę na mieszkanie, które zamierzałeś kupić?

- Zwyczajna pomyłka. Musiałem rozpatrzyć związane z tym koszty. Zapisalem to na jakimś świstku i jakoś to się dostało do mojej deklaracji majątkowej. Przeoczenie, proste i zwyczajne... łatwe do popełnienia. Mój Boże, jestem tylko człowiekiem.

Melissa wpatrywała się w męża przez całe dziesięć sekund.

- Napelniasz mnie niesmakiem.

- Słuchaj, Melisso, to naprawdę pomyłka. Musisz to zrozumieć. Jestem pewien, że oni też to rozumieją...

- Boże, tato miał rację. Ostrzegał mnie od samego początku, że całe to gadanie o przyszłym przywództwie w partii to bzdura. Powiedział, że jesteś tylko przystojną blond marionetką, podstawioną, żeby ściągnąć wyborców w hrabstwach. Że tak naprawdę ktoś inny dyktuje ci, co masz mówić, i pociąga za sznurki. I oto teraz, siedemnaście lat później, jestem żoną chciwego, próżnego drania, którego kariera chyli się ku upadkowi... Nie wspominając już o prezencji. Co zamierzasz zrobić?

- Słuchaj, wiem, że jesteś zdenerwowana, moja droga, ale to naprawdę pomyłka - upierał się Carlisle. - Zresztą w najgorszym wypadku, jeśli tabloidy zupełnie przekręcą prawdę... Chociaż przecież są jakieś cholerne granice! Wiesz, ci dziennikarze, większość to szumowiny... W każdym razie w najgorszym wypadku może... hm... Tak myślałem... może po prostu, twój

ojciec zaferuje mi jakąś ciepłą posadkę? Powiedzmy... kierownicze stanowisko. Tylko po to, żeby pozwolić nam przetrwać?

- Nie byłbyś w stanie kierować ruchem na jednokierunkowej ulicy.

- Byłem materiałem na przywódcę - stwierdził Carlisle. Uznał, że nie ułagodzi Melissy i nie krył już irytacji z powodu jej napaści. - Moja kadencja, jako ministra zdrowia, była bardzo udana. Wszyscy tak mówią. Dostałem nożem w plecy... Ale wiem o różnych sprawach, o których wtedy nawet nie pisałem. Mają wobec mnie dług.

- Nie dostałeś nożem w plecy. Przegrałeś cholerne wybory przez to, co ty i twoi skorumpowani kumple mieliście zamiar zrobić. I dlatego straciliście władzę na trzynaście lat. A teraz, kiedy ludzie mogli już zapomnieć, wyskakujesz z hipoteką, której nigdy nie było. Chryste, w partii obedną cię za to ze skóry, jeśli wyborcy nie dobiorą się do ciebie pierwsi.

- Wrobili mnie, mówię ci... ale wiem o sprawach... Melissa wstała.

- Wyjeżdżam na parę dni. Rzygać mi się chce na myśl, że będę musiała grać oddaną żonę, kiedy nadciągną hieny.

Trzasnęła drzwiami i wyszła z pokoju, zostawiając Carlisle sam na sam z myślami. Oni wszyscy byli jego dłużnikami, czas poprosić o parę przysług. Marionetka, patrzcie tylko. Zajmie się tym. Zaczął czytać artykuł w „Telegraph” i zauważył, że raz po raz nerwowo przeczesuje resztkę włosów. Kiedy skończył, cisnął gazetę przez pokój. Podniósł telefon i zaczął wykręcać numery przyjaciół. Dziwne, wszyscy byli nieosiągalni.

Montrouge, Paryż, 15 lutego 2010

Anglik wetknął pięćdziesiąt euro w dłoń taksówkarza i wysiadł. Nie zważał na uśmiechy i podziękowania za wyjątkowo hojny napiwek po zaledwie pięciominutowej jeździe ze stacji metra Orléans. Przyjrzał się tabliczkom z nazwami ulic. Kiedy na jednej z nich zobaczył napis: Rue de Bagneux, odprężył się i wyjął kartkę z kieszeni płaszcza. Wpatrywał się dłuższą chwilę w zapisane na niej liczby, jakby chciał je zapamiętać. Potem odszukał wzrokiem pobliskie drzwi. Pokonał jakieś dwadzieścia metrów, które go od nich dzieliły, i przeszedł przez ulicę. Dom numer 27. Wcisnął czwórkę na domofonie - długie brzęczenie, a potem ciężkie podwójnie szczęknięcie zamka poprzedziły pojawienie się dwucentymetrowej szpary w drzwiach. Jak dotąd, w porządku.

Odnalazł apartament numer 4 na drugim piętrze, nad adwokatem i dentystą, którzy zajmowali dwa mieszkania na pierwszym piętrze. Na drzwiach nie zauważył tabliczki z nazwiskiem, ale obok był dzwonek, więc go nacisnął. Postawił teczkę między stopami i rozluźnił kaszmirowy szal pod szyją. Drzwi otworzył inny Anglik, tęższy i o głowę niższy od przybysza, ale mniej więcej w tym samym wieku - obaj byli dobrze po sześćdziesiątce.

- Jednak nas znalazłeś. Witamy.

Gospodarz wprowadził gościa do wielkiego, kwadratowego, umeblowanego ze smakiem pokoju. Prawie trzymetrowe okna typu porte-fenetre wychodziły na północ, więc w szary lutowy dzień wpadało przez nie niewiele światła. Kilka eleganckich lamp ustawionych w najważniejszych miejscach pomagało oświetlić pomieszczenie.

- Miło was znowu widzieć - rzucił przybysz, rozpoznając pięcioro ludzi siedzących naprzeciwko siebie na kanapach, które ustawiono po obu stronach marmurowego opalanego węglem kominka. Spośród czterech mężczyzn po pięćdziesiątce, trzech nosiło nazwiska świetnie znane w biznesowych kręgach Zjednoczonego Królestwa, czwartym był wysokiego szczebla brytyjski urzędnik. Towarzyszyła im srebrnowłosa kobieta pod siedemdziesiątkę; jej cera świadczyła o minusach trwającego całe życie romansu ze słońcem.

- Jak podróż?

- Jak zwykle w dzisiejszych czasach.

- Przyleciałeś?

- Air France, z Birmingham na Charles de Gaulle.

- Dobrze. Antonia przybyła z La Motte niedaleko Saint-Raphael, gdzie spędzała wakacje. Nigel i Neil byli już w Paryżu w sprawach biznesowych, a Christopher przyleciał przez Zurych. Giles przyjechał z Bruges, ale przedtem złapał nocny prom ze Szkocji.

- Trafił najgorzej - oznajmił gospodarz.

- To wiele mówi. Nie możemy nawet zaryzykować spotkania we własnym kraju - stwierdził nowo przybyły.

Gospodarz przepaszająco wzruszył ramionami.

- Może jestem nadmiernie ostrożny, ale sędzę, że to nie zaszkodzi po tym, co stało się na początku lat dziewięćdziesiątych. Mieliśmy cholerne

szczęście, że wyszliśmy z pokazowej klapy, chociaż po drodze straciliśmy Paula.

Do siedmiu kryształowych dużych kieliszków nalano sherry. Rozdano je wszystkim, zanim rozmowa potoczyła się dalej.

- Pragnę was powitać na pierwszym od lat zebraniu komitetu wykonawczego Grupy Schillera, na którym pojawiliśmy się w komplecie. Miło być znowu razem, chociaż w cokolwiek dziwacznych okolicznościach.
- Gospodarz wznosił toast i zwrócił się do nowo przybyłego. - Miło nam też gościć nowego członka komitetu. Oczywiście wszyscy śledziliśmy jego postępy w szeregach naszej organizacji i przyglądaliśmy się, jak kieruje własną karierą. Mężczyzna skinął głową w podziękowaniu.

- Udział we władzach naszej grupy wiąże się, rzecz jasna, z odpowiedzialnością. Jesteście jedynymi, którzy wiedzą wszystko o naszej organizacji i jej strukturze. Jedynymi, którzy dźwigają nadzieje i marzenia naszych członków o lepszym narodzie. - Wręczył przybyszowi dysk komputerowy. - To się nie może dostać w niepowołane ręce.

- Jestem zaszczycony.

- Zatem do dzieła! Zbliżają się wybory i musimy zrobić to, co do nas należy, zapewnić naszemu krajowi przyszłość. Trzydzieści długich lat rządów tej hołoty, Nowych Laburzystów, pograżyło nasze państwo w chaosie i sprawiło, że stało się ono ledwie namiastką, ruiną tego, czym było niegdyś. Na szczęście los odwrócił karty.

- Nie pójdzie nam łatwo - stwierdził ktoś z grupy. - Rząd zmienił Anglię w kraj w sam raz dla słabeuszy, ignorantów i zбочeńców. Jakby tego było

mało, otworzył drzwi dla śmiecia z Europy i spoza niej. Wszyscy są mile widziani w starej dobrej Anglii. Wszystkie śmiecie i ich cholerne rodziny!

- Ponad dekada zmarnowana na ten przerost formy nad treścią.

- Co według wszystkich badań opinii publicznej powinno się skończyć - wtrącił nowo przybyły. - Bo właściwie, to po co tu jesteśmy?

- Jeszcze nie mamy pewności, jak powinniśmy postąpić - przestrzegł gospodarz. - Elektorat mógł się rozczarować co do Browna i jego kompanów, ale nadal jest bardzo podejrzliwy wobec jakiegokolwiek alternatywy. Będzie dobrze, jeśli przez najbliższe kilka miesięcy utrzymamy stały kurs, bez łaszczenia się na przynętę i bez głupich wyskoków, ale margines mamy bardzo wąski. Z drugiej strony, kryminalny aspekt skandalu z wydatkami uderza w laburzystów bardziej niż cokolwiek innego. A jeśli ci, których dotyczy, mieliby ująć cało, korzystając z immunitetu parlamentarnego... Hm, będą musieli wywieźć Browna na taczkach.

- Jeden z naszych też jest w to zamieszany.

- Z innej izby. Bogu dzięki to niezupełnie to samo, co kompletna kompromitacja...

- Prawie żałuję Browna - oznajmiła kobieta. - Blair zostawił mu nieprawdopodobny bałagan do posprzątania, a on nie dał sobie z tym rady. Okazał się przeciwieństwem króla Midasa, jeśli mogę to tak ująć.

- Wszystko, czego dotyka... - zgodził się gospodarz. Przerwał, ale po chwili znów zabrał głos. - To jasne, że żadne z nas nie bagatelizuje zadania, ale jak powiedział Konfucjusz: „Podróż licząca tysiąc mil zaczyna się od jednego kroku”, więc przejdźmy do szczegółów. Wszyscy mieliśmy okazję

przestudiować propozycję naszego nowego kolegi, a ja chciałbym wyrazić podziw dla czasu i pomysłowości, które włożył on w przygotowanie tego projektu.

W odpowiedzi prowadzący spotkanie usłyszał stłumione okrzyki zdziwienia.

- To zbyt ryzykowne - zaprotestował któryś z obecnych.

- W oryginalnym planie nie ma niczego złego - stwierdziła kobieta. - Zadziałał doskonale. To tylko pech, że ten cholerny dziennikarz wyskoczył w niewłaściwym czasie i wszystko zniszczył. Tym razem będziemy musieli działać ostrożniej.

Rozpoczęła się długa, a miejscami także gorąca dyskusja.

- Czas na decyzję, proszę państwa - zakomunikował wreszcie gospodarz.
- Czy przyjmujemy śmiały plan naszego nowego kolegi, czy po raz kolejny próbujemy pójść drogą, którą wyruszyliśmy wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych?

Nowo przybyły westchnął z irytacją, kiedy wszyscy jednogłośnie opowiedzieli się przeciwko jego propozycji.

- Przykro mi - stwierdził prowadzący spotkanie. - Wypróbowany i zaufany, tego oczekujemy.

- Demokracja w działaniu - odparł nowo przybyły z ironicznym uśmiechem.

Gospodarz otworzył dwie butelki szampana Krug i wypili toast za lepszą przyszłość kraju.

Nowy członek komitetu wykonawczego pierwszy zebrał się do wyjścia. Po kolei podał wszystkim rękę i pocałował srebrnowłosą kobietę w oba policzki. Nie pozwolił, żeby gospodarz wstał.

- Doprawdy, Charles, znam drogę.

- Swój chłop - powiedział ktoś, kiedy dał się słyszeć odgłos zamykanych drzwi. - Chyba dobrze to przyjęł.

- Inteligentny.

- Ale zapominalski - stwierdził gospodarz, nagle spostrzegając coś obok krzesła, na którym siedział nowo przybyły. - Zostawił teczkę.

- Może to sugestia, żebyśmy przemyśleli temat jeszcze raz - zażartował ktoś.

Eksplozja położyła kres wybuchowi wesołości.

Mężczyzna z rogu ulicy przyglądał się, jak jężory żółtych płomieni strzelają z powybijanych okien, a szkło sypie się na Rue de Bagneux. Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

- Po starych - powiedział.

- I wszystko przed nowymi - brzmiała odpowiedź.

Doktor Steven Dunbar otworzył jedno oko i sprawdził godzinę na budziku przy łóżku. Za dwadzieścia siódma, pięć minut do pobudki - programu „Today” w radiowej Czwórcy; od niego miał się zacząć dzień.

- Znowu praca i zabawa. - Westchnął, patrząc w sufit. Przypomniał sobie bez entuzjazmu, że to poniedziałek.

- Która godzina? - zapytała Tally zasnym głosem.

- Dwie minuty do startu w kolejny przeładowany dzień z życia Stevena Dunbara, konsultanta nadzwyczajnego do spraw bezpieczeństwa.

- Wstajesz pierwszy - stwierdziła Tally. - Mogę pojechać do szpitala po dziesiątej, ostatniego wieczoru siedziałam tam do jedenastej.

- Zauważyłem. Otworzyła oczy.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje? - zapytała. - Jesteś bardziej rozdrażniony niż zazwyczaj.

- To dar.

Dołączył do nich głos Johna Humprysa. Dziennikarz dokładał jakiemś nieszczęsnemu politykowi, który z determinacją próbował unikać jasnej odpowiedzi na pytania.

- Dobierz mu się do skóry, John, chłopie - mruknął Steven. Przerzucił nogi przez brzeg łóżka i usiadł. - To sami oszuści.

Tally sięgnęła ręką do jego nagiego barku.

- Hej, o co chodzi?

- Och... nic. Wiesz, że rano zawsze jestem zrzędlivy. Odwrócił się, pochylił i pocałował ją w czoło, potem usiadł na brzegu łóżka i zaczął słuchać audycji.

- A teraz dobre wiadomości - mówił Humprys. - BBC dowiedziało się, że negocjacje prowadzone przez międzypartyjną grupę polityków pod przywództwem rzecznika zdrowia Normana Trávisa, wywodzącego się z partii konserwatystów, z szefami kilku międzynarodowych spółek farmaceutycznych doprowadziły do porozumienia w sprawie produkcji szczepionek w Zjednoczonym Królestwie. Bez względu na to, która partia zostanie zwycięzcą w zbliżających się wyborach, spółki pozwolą na masową produkcję swoich preparatów w zakładach zaakceptowanych i licencjonowanych przez obecnie sprawujący władzę rząd. Dzięki temu szczepionki będą ogólnodostępne i łatwiej będzie je dystrybuować w razie potrzeby. Porozumienie to skutecznie zakończy spory między rządem a przemysłem farmaceutycznym w czasach, kiedy na co dzień towarzyszy nam groźba zamachów bioterrorystycznych. Travis chętnie podkreślił, że polityka partyjna nie odegrała roli w negocjacjach i że to, co zostało osiągnięte, uczyniono dla dobra całego narodu.

- Ciekawe, co spółki dostaną w zamian - mruknął Steven.

- A co zyskają na tym porozumieniu spółki farmaceutyczne? - zapytał Humprys.

- Bardziej życzliwe stosunki sprawią, że koncerty nie będą się musiały koncentrować na harmonogramach produkcyjnych, co pozwoli na rozwinięcie zakładów badawczych. Musimy zakończyć sprzeczki na temat testów i przepisów licencyjnych. Przemysł farmaceutyczny nie jest

wrogiem. To terroryści są nim. Zagrożenie z ich strony dotyczy nas wszystkich i dlatego w rozmowach ze spółkami farmaceutycznymi powinien przeważać duch kompromisu.

- Torysi wykonali pracę za was, prawda? - Humprys zwrócił się do rzecznika zdrowia laburzystów.

- Myślę, że pan Travis ma całkowitą rację. Nie powinniśmy wprowadzać w ten konflikt polityki partyjnej. To zbyt poważna sprawa i, jak powiedział, nowy plan wejdzie w życie bez względu na to, kto wygra zbliżające się wybory. Groźba terroryzmu powinna zmienić nasze myślenie. Dlatego właśnie zachęcamy do przedstawiania ofert przetargowych przed wyborami, żeby szczepionki były dostępne jak najszybciej.

- Czy to znaczy, że ustąpiliście także przed żądaniami spółek?

- Rozpatrzyliśmy ich wnioski w świetle tego, co już zostało powiedziane.

- Hm... Co za dzień! - zagruchał Humprys. - Konserwatyści i laburzyści piją sobie z dzióbków tuż przed nadchodzącymi wyborami. Kto by pomyślał? Chciałbym się dowiedzieć więcej, ale kończy nam się czas. Przechodzimy do prognozy pogody...

Steven wyłączył radio.

- Nareszcie - stwierdził. - Sytuacja ze szczepionkami od lat była zwariowana.

- Ludzie chcą stuprocentowo pewnych szczepionek - powiedziała Tally. - Uważają to za swoje prawo.

2 - Uzdrowiciel

- Oboje wiemy, że to niemożliwe - odparł. - Obawiam się, że trzeba będzie ataku terrorystycznego, żeby ta informacja do nich trafiła. Jeśli jest dostępna szczepionka, po prostu trzeba z niej korzystać. Boże, patrz, która godzina! Nie dostanę złotej gwiazdy na koniec miesiąca. - Wstał i poczłapał w stronę łazienki.

Tally, czyli doktor Natalie Simmons, patrzyła, jak Steven zniknął za drzwiami. Spodziewała się frustracji, którą okazywał. Kochał ją - nie miała co do tego wątpliwości - ale porzucił pracę, którą uwielbiał, żeby założyć z nią dom w Leicester. Nie była pewna, czy postąpił słusznie. Chciała wierzyć, że to przemyślane postanowienie, które powziął po długich rozważaniach wszystkich za i przeciw. Ale wiedziała, że jest inaczej. Steven był zły i rozczarowany, kiedy podawał się do dymisji. Jeśli miała być szczerą, chyba zdecydował się na to pod wpływem impulsu, bo rozczarowania nie omijały go w pracy od początku. Z drugiej strony - co nieco ją uspokajało - już kilka razy odrzucił prośby z Londynu, żeby przemyślał sprawę i wrócił.

Odkąd wyszedł z wojska, gdzie służył w Parachute Regiment, czyli w piechocie spadochronowej, i w siłach specjalnych, pracował jako śledczy w Inspektoracie Nauko-wo-Medycznym, małym wydziale podlegającym Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Prowadzono tam dochodzenia w sprawach, w których policji brakowało wiedzy - przestępstw z wykorzystaniem najnowszych zdobyczy nauki i medycyny. Steven był dobry w tym, co robił, ale uprawiał niebezpieczny zawód. Nie raz mógł stracić życie. Tally spotkała go podczas jednego z dochodzeń i na własnej

skórze odczuła, z jakim ryzykiem wiąże się ta praca. To ją wystraszyło, nie chciała nigdy więcej znaleźć się w takiej sytuacji. Ani nawet wiązać się z kimś, kto raz po raz ryzykował własne życie. Steven zakochał się w Tally. Na początku miał nadzieję, że ją przekona. Że wytłumaczy, iż niebezpieczeństwo wcale nie jest nieodłącznym składnikiem jego zawodu. Że da się połączyć jego karierę zawodową w Inspektoracie Naukowo-Medycznym z ich związkiem. Ale Tally też sporo zainwestowała we własną pracę i właśnie była w trakcie specjalizacji na pediatrii, w szpitalu dziecięcym w Leicester. Dlatego pozostała nieugięta. Oświadczyła, że nie może żyć w ciągłym strachu o partnera, który igra z niebezpieczeństwem każdego dnia. Dała Stevenowi jasno do zrozumienia, że taka niepewność nie może stanowić fundamentu związku. W końcu ich to rozdzieliło.

Jakiś czas później Steven podał się do dymisji. Zdarzyło się to tuż po tym, jak rozczarował go wynik ostatniego zadania, które mu przydzielono. Winowajcom wszystko uszło na sucho, a umorzenie sprawy tłumaczono interesem publicznym - przynajmniej tak to widział Steven. Skontaktował się z Tally. Opowiedział jej o wszystkim i zapewnił ją, że nie wróci do tego bajzlu. I że nigdy nie przestał jej kochać. Czy rozważyłaby wspólne życie z nim, jeśli odejdzie z inspektoratu? Zgodziła się bez wahania. zaproponowała też, żeby przyjechał i zamieszkał z nią w Leicester, kiedy będzie szukał nowego zajęcia. Dzięki temu przynajmniej jedno z nich będzie miało pracę.

Steven był wykwalifikowanym lekarzem i specjalistą w zakresie medycyny pola walki. Wiedział jednak, że nie tak łatwo mu będzie odnaleźć się w medycynie cywilnej, tym bardziej że wcześniej nie miał z nią nic wspólnego. Wstąpił do wojska - co zawsze chciał zrobić - ledwie ukończył roczną praktykę szpitalną po uniwersytecie. Był jednym z tych studentów,

których do studiów medycznych nakłonili ambitni rodzice i nauczyciele. W przeciwieństwie do wielu, znalazł odwagę, żeby się zbuntować, zanim ten wybór mógł nieodwołalnie zaważyć na jego życiu.

Teraz, głównie dlatego, że potrzebował pracy, przyjął posadę konsultanta do spraw bezpieczeństwa w spółce farmaceutycznej. Laboratoria badawcze, którymi się zajmował, były zlokalizowane w parku naukowym należącym częściowo do uniwersytetu w Leicester, a kwestie bezpieczeństwa dotyczyły bardziej spraw intelektualnych niż pilnowania bram. Najistotniejsze, żeby projekty spółki ochronić przed wścibskim wzrokiem konkurencji. Dlatego Steven pilnie obserwował pracowników badawczych i personel pomocniczy - przeprowadzał dokładne badania środowiskowe i dbał, żeby przestrzegano umów, a każdy kontrakt zawierał klauzulę poufności. Szczególnie ten, podpisywany przez kogoś, kto zaczynał badania nad jakimś nowym specyfikiem. Wszystko to było bardzo ważne i bardzo nudne.

Steven robił, co w jego mocy, żeby nie myśleć o pracy w taki sposób. W końcu dzięki niej mógł zbudować nowe życie z Tally. Miał też nadzieję, że z czasem stabilna sytuacja życiowa pozwoli mu częściej widywać córkę, Jenny, i odegrać większą rolę w jej życiu. Steven był wcześniej żonaty z pielęgniarką, którą spotkał w Glasgow podczas jednego z pierwszych zadań wykonywanych dla Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Lisa zmarła na guza mózgu, kiedy Jenny była jeszcze niemowlęciem. Po śmierci żony - był to chyba najczarniejszy i najbardziej nieszczęśliwy okres w życiu Stevena - siostra Lisy, Sue, wraz ze swoim mężem, zabrali Jenny, żeby zamieszkała z nimi we wsi Glenvane w hrabstwie Dumfries. Od tego czasu córka Stevena

wychowywała się z dwojgiem kuzynów, Peterem i Mary. Steven odwiedzał ją tak często, jak tylko mógł. Jeśli to było możliwe, nawet co drugi weekend.

Sue i jej mąż Richard, adwokat, zawsze zapewniali Stevena, że traktują Jenny jak własne dziecko i że może zostać z nimi, póki czuje się szczęśliwa. Napomknęli też, że oddanie jej po tylu latach byłoby dla nich wszystkich bolesnym przeżyciem - Jenny świetnie się zaaklimatyzowała w szkole podstawowej. I chociaż Steven nadal marzył o domu, rodzinie i normalnym życiu, wiedział, że ostatecznie to Jenny zadecyduje. Podejrzewał też, że jego marzenie może się okazać nieosiągalne i że może wcale nie trzeba będzie prosić córki o dokonanie wyboru. Tally nie miała zamiaru zrezygnować z kariery. Drabina medycznych awansów prawie na pewno wymagałaby częstych przeprowadzek, gdyby zaczęła myśleć o stanowisku konsultanta. To nie byłoby dobre dla Jenny.

Steven widział, jak Tally spogląda na niego z ukosa podczas śniadania.

- O co chodzi?

- Zaczynasz żałować? - spytała.

- Czego?

- Do diabła, dobrze wiesz!

- Nawet przez chwilę nie żałowałem - odparł łagodnie Steven. - Podjąłem decyzję. Była właściwa. Kocham cię.

Tally nie dała się tak łatwo przekonać.

- Znam cię. Potrafię wyczuć, kiedy jesteś niespokojny, nerwowy, trochę nieszczęśliwy...

- Nie jestem nieszczęśliwy. Żyję z kobietą, którą kocham. Mam dobrą pracę. Słońce świeci. Jak mógłbym się z tego nie cieszyć?!

Tally uśmiechnęła się i postanowiła mu uwierzyć. Ale wiedziała, że to raczej kwestia tego, że chciała, aby jego słowa okazały się prawdziwe.

- Lepiej się zbieraj.

- Tak, nigdy nie wiadomo, kto może planować kradzież aspiryny... - Steven wstał od stołu.

Tally spojrzała na kubek z kawą. Znowu to samo. Lekki dystans, z jakim traktował pracę, świadczył o tym, że Steven nie szanuje ani obowiązków zawodowych, ani siebie jako osoby, której przyszło je wykonywać. Poważna sprawa. Będzie go to pożerało, póki nie wytłumaczy mu, żeby popatrzył na tę kwestię z innego punktu widzenia. Jego praca wiąże się z wielką odpowiedzialnością, ale jak sprawić, żeby to dostrzegł? Większość ludzi nie musi przekonywać samych siebie ani innych, że ich praca jest istotna i warta zachodu. A jeśli nawet mają z tym jakiś problem, wystarczy, że dopisze się im odpowiednio brzmiący tytuł przed nazwiskiem na wizytówce. Ale Steven był inny. Naprawdę żył w innym świecie - na krawędzi, gdzie trzeba było stawiać czoła twardej rzeczywistości i nie było miejsca na bzdury i tak zwaną poprawę wizerunku. Służył w siłach specjalnych na całym świecie, działał w przerażających warunkach, w dżunglach i na pustyniach, ratował towarzyszy. Przywracał ich do życia, a czasem tracił.

Dochodzenia Inspektoratu Naukowo-Medycznego były, oczywiście, mniej ekstremalne i zazwyczaj nie przesądzały o czyimś życiu lub śmierci, ale i tak wystawiały Stevena na niebezpieczeństwo. Nie raz stawał na drodze przestępcom, których nic nie mogło powstrzymać przed osiągnięciem celu.

Jak przekonać takiego człowieka, że praca biurowa jest ważna w jego rozumieniu świata?

- Spróbuję wrócić do domu o rozsądnej porze - obiecała. - Może obejrzymy jakiś film?

Byle to nie było coś zwyczajnego, pomyślała.

- Dobry plan - odparł. - Do zobaczenia.

Wziął teczkę z korytarza i wyszedł do pracy. Zbiegł ze schodów, zamiast skorzystać z windy - starał się utrzymać kondycję, szczególnie teraz, kiedy większość czasu spędzał przykuty do biurka. Dotarł na parking i wsiadł do hondy crv, która zajęła miejsce porsche boxtera. Musiał go poświęcić, kiedy czeki z rządowymi zarobkami przestały napływać i zawisło nad nim straszliwe widmo bezrobocia. Przerwa w pracy trwała około miesiąca, ale uczucie nie było przyjemne.

Tak naprawdę nie sprzedał boxtera. Odstawił go na „zawieszony użytkowanie” do garażu stajni w Londynie, należącego do przyjaciela, Stana Silvera. Silver, który służył kiedyś piechocie spadochronowej - chociaż nie w tym samym czasie co Steven - dbał o porsche. To on zaproponował odstawienie wozu na jakiś czas, aż sprawy się wyklarują. Namówił Stevena na wynajęcie skromniejszego samochodu aż do czasu, gdy znajdzie jakąś pracę. Wtedy mieli wrócić do tematu. Co do porsche Steven jeszcze nie podjął decyzji. Ale zaczął płacić Stanowi za korzystanie z hondy.

To Tally zaproponowała, żeby wybrać hondę. Powiedziała, że to samochód rodzinny i jeśli Steven poważnie mówił o zmianach w swoim życiu... „Hm, popatrz na tę przestrzeń z tyłu...” Mój Boże, pomyślał, zaraz

zacznę nosić swetry Pringla i grać w golfa. O nie, samobójstwo było wyżej na jego liście spraw do załatwienia niż golf. Honda zapaliła od razu. Zawsze tak, cholera, robiła.

Steven miał własne miejsce parkingowe z białą tablicą: SZEFOCHRONY. Zawsze uśmiechał się na ten widok. W jego świecie ostatnią rzeczą, jaką należało zrobić, było ogłaszanie, gdzie szef ochrony parkuje swój samochód. Ale wśród cywili, bez wątplenia, sprawy miały się inaczej, więc nie powiedział słowa na ten temat. A z tego, co zobaczył w ciągu trzech miesięcy pracy, nikt nie miał powodu, żeby zrobić mu krzywdę.

Jego biuro, na szóstym piętrze, było widne i przestronne. Wyposażono je w jasne meble i kilkanaście roślin w doniczkach. Szerokie okna miały weneckie rolety, niezbędne po południu, kiedy słońce prażyło prosto w twarz. Ranek był pochmurny i szary, więc Steven całkowicie rozsunął rolety i wyrzwał na kampus. Po drugiej stronie ludzie w białych kitlach ciężko pracowali w uniwersyteckich laboratoriach, doskonale widoczni w ostrym, białym fluoroscencyjnym świetle. Inni z pewnością biorą się do pracy na dolnych piętrach budynku, w którym Steven miał biuro.

Rozległo się pukanie do drzwi i zanim zdążył się odezwać, otworzyła je niska kobieta po trzydziestce, z włosami związanymi w prosty kok i w okularach w ciemnej oprawce na nosie - Rachel Collins z zespołu prawników spółki, specjalizująca się we własności intelektualnej. Miała gabinet po sąsiedzku. Uśmiechnęła się.

- Wydawało mi się, że słyszałam, jak przyszedłeś. Sprawdziłeś już pocztę?

- Nie.

- Dzisiaj o dziesiątej jest specjalne zebranie z zarządem. Kazali przyjść nam obojgu.

- Brzmi ekscytująco. - Głos Stevena sugerował coś zupełnie innego. - Może tam na dole odkryli lekarstwo na raka.

- Usłyszelibyśmy o tym - odparła z uśmiechem. - Tam--tam na korytarzu byłby jakąś wskazówką.

- Rachel, od jak dawna pracujesz dla Ultramedu?

- Jedenaście lat. Dlaczego pytasz?

- Nadal próbuję wczuć się w sprawy. Dokonano jakichś wielkich odkryć w tym czasie?

Rachel wykrzywiła się, szukając alternatywy dla „nie”.

- Nie mogę uczciwie powiedzieć, żeby się tu słyszało o jakichkolwiek przełomowych dokonaniach - odpowiedziała, akcentując słowo „przełomowych”. - Mnóstwo małych spraw, coś na niestrawność, środki na stopę atlety, pigułki na katar sienny. Chleb powszedni, prawdę mówiąc. Nic szczególnie lepszego od preparatów, które zastąpiono odkrytymi specyfikami. W każdym razie dało się zaprojektować nowe lśniące pudełka i wydać kasę na kampanię reklamową dla lekarzy internistów. Żadnych kokosów z tego nie było.

- Domyślam się, że kokosy nie zdarzają się często.

- I dlatego lekarstwa są takie drogie - stwierdziła Rachel. - Mnóstwo badań, które prowadzą donikąd, a trzeba za nie płacić. Tak czy inaczej, widzimy się na zebraniu. - Odwróciła się, żeby wyjść, ale zatrzymała się

przy drzwiach. - Jak ci się tu podoba? - Powiedziała to takim tonem, jakby naprawdę nie знаła odpowiedzi.

- Jest fantastycznie - odparł Steven. - Absolutnie fantastycznie.

- To dobrze.

Wrócił do wyglądania przez okno i żałował, że to, co powiedział, nie było prawdą. Jego samopoczucie w pracy wydawało się tak dalekie od „absolutnie fantastycznego”, jak to tylko możliwe. Zdawał sobie sprawę z tego, że będzie trudno. Zrobił, co mógł, żeby przygotować się na zawód i rozczarowanie, o których wiedział, że muszą przyjść. Czuł się jak zwierzę złapane w potrzask, ale od samego początku miał świadomość, że coś takiego może mu się przydarzyć. Postanowił nie poddać się temu uczuciu, mimo że miał teraz wielką ochotę zbiec po schodach, wypaść na wolność przez frontowe drzwi i iść przed siebie, póki nie padnie ze zmęczenia.

Pierwszym antidotum było rozmyślanie o pozytywach.

O Tally, o życiu, które razem prowadzili i nadal będą prowadzić. O Jenny, jego małej dziewczynce, której ojciec ma teraz zwyczajny, godny szacunku zawód, a nie mogący sprawić, że córka stanie się sierotą. Drugą odtrutką było przypomnienie sobie, co zmusiło go do zrezygnowania z Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Latami w Stevenie narastało przekonanie, że ludzie, dla których pracuje, nie są tak kryształowo czysti, jak mu się wydawało na początku. Że w ogóle nie ma już prawych i porządných ludzi, tylko tacy, którzy mniej lub bardziej kłamią - odcienie pośrednie między bielą a czernią, skala szarości. Że rząd tego kraju demokracją nazywa labirynt ukrytych motywów, alternatywnych programów, przetargów prowadzonych przez bandę chciwych,

wyrachowanych typków, których miłość własna nie zna granic, a obowiązki ograniczają się do zapewnienia dobrobytu im samym.

Wreszcie znalazł się daleko od nich wszystkich, od ich pokrętnych machinacji. Ale brakowało mu wyzwania, jakie dzień w dzień stawiała przed nim dawna praca. Tego, jak rozgryzał zamiary oszustów i krętaczy, a potem walki z przestępcami. Ktoś w SAS powiedział mu kiedyś, że nikt nie wie, że żyje, dopóki nie stanie na krawędzi śmierci.

I miał rację. Każdy, kto przez długi czas doświadczał niebezpieczeństwa, zna to uczucie, tę wzmożoną świadomość własnego istnienia, którą symulować mogą chyba tylko narkotyki. Kiedy to się kończy, odczuwasz ulgę, ale jeśli po jakimś czasie nie wróci, zaczynasz tęsknić za adrenaliną. I to bardzo. Kierowcy Formuły 1, alpiniści, narciarze, wszyscy oni wiedzą, jak to jest. Przejście w stan spoczynku może się wydawać dobrym pomysłem, ale po jakimś roku... Boże, ależ się tęskni! I po prostu musi się wrócić.

Plan Stevena polegał na tym, żeby myśleć o służbie w wojsku i pracy w inspektoracie jak o uzależnieniu od narkotyków, z którego teraz wychodził. Nie będzie łatwo, ale da się zrobić. Musi tylko utrzymać podenerwowanie i zły humor pod kontrolą, na czas walki z demonami. W końcu zwycięży i stanie się lepszym człowiekiem, zadowolonym mężem Tally - jeśli będzie go takiego chciała - i troskliwym ojcem Jenny, nawet jeśli córka postanowi zostać na północy z rodziną ciotki. Wrócił do komputera i przeczytał mejl, żeby sprawdzić szczegóły spotkania.

Inspektorat Naukowo-Medyczny, Ministerstwo Spraw Zagranicznych,
Londyn

Mam na linii Charliego Malloya, sir John - powiedział głos Jean Roberts, sekretarki, z głośnika na biurku Johna Macmillana.

- Daj go.

- John? Chyba nie będę miał dzisiaj czasu na lunch. Właśnie coś się pojawiło.

- Co za szkoda, Charlie. Nie mogłem się doczekać kolejnego spotkania z tobą. Wieki się nie widzieliśmy.

- Masz rację - zgodził się Malloy. - Ale skontaktowały się ze mną władze francuskie. Słyszałeś coś może o wybuchu gazu w Paryżu?

- Coś czytałem w gazetach.

- Okazuje się, że to nie gaz tylko bomba. I wygląda na to, że przynajmniej część ofiar to nasi obywatele. Podczas porządkowania znaleziono fragmenty brytyjskich paszportów

- Ach... - westchnął Macmillan. - Właśnie dostałeś cudzy bałagan do ogarnięcia. Jakies pomysły, co tam się mogło stać?

- Jeszcze nie, ale paryska policja sprawdziła, że mieszkanie wynajął Anglik o nazwisku Charles French. Najwyraźniej nie po raz pierwszy, według agencji wynajmu. Korzystał z tego mieszkania kilka razy, kiedy był w Paryżu w interesach.

- Co to mogły być za interesy?

- Agencja nie ma powodów, żeby o to pytać. Ale porównaliśmy nazwisko z raportem o osobach zaginionych. Być może to Charles French,

dyrektor generalny Deltasoftware Computing, absolwent Cambridge, podpora społeczności, według wszelkich danych.

- Jakies wnioski po badaniu pozostalosci paszportow?

- Jak do tej pory udalo nam sie zidentyfikowac jedna osobę. Zostal wystarczajacy kawalek nazwiska, zeby dopasowac je do lady Antonii Freeman, ktora zniknela ze swojego letniego domu w poludniowej Francji, niedaleko Saint-Raphael, gdzie zazwyczaj spedzala zimowe miesiace. Jej gosposia zglosila zaginięcie, najwyraźniej nie miala pojecia, ze pani pojechala do Paryza.

- Dziwne. Jeszcze raz, jakie to nazwisko?

- Antonia Freeman.

- Coś mi świta...

- Daj mi znac, jak ci sie coś przypomni - poprosil Mal-loy. - Myśle, ze jedyne, co możemy zrobic, to porównywanie tego, co mamy, z kontrolą paszportową i raportami o zaginionych. Tak czy inaczej, przykro mi z powodu lunchu. Moze przełożymy go na przyszly tydzien?

- Da sie zrobic - obiecal Macmillan. - Nie mogę sie doczekac, zeby sie dowiedziec więcej.

Nacisnal guzik intercomu.

- Jean, przełożylem lunch z Malloyem na przyszly tydzien, ten sam dzien i godzina.

- Wpisze to do kalendarza, sir John. Mogę pójsc na lunch?

- Oczywiście.

- Proszę nie zapomnieć, o wpół do trzeciej ma pan zebranie rekrutacyjne.

- A, tak. Dziękuję, Jean.

Macmillan wstał i podszedł do okna, żeby popatrzeć na deszcz. Myślał o spotkaniu, o którym przypomniała mu Jean. Unikał zastanawiania się, kto zajmie miejsce Stevena Dunbara, aż stało się całkowicie jasne, że były podwładny nie wróci. Niestety, musiał się tym wreszcie zająć. Steven dwukrotnie odrzucił propozycję pracy i nadal wydawał się nieugięty co do powrotu. Macmillan oczywiście wiedział, dlaczego były pracownik jest taki uparty, i rozumiał jego frustrację. Steven zbyt często widział, jak winni bezkarnie unikali odpowiedzialności - Macmillan sam tego nie znosił - ale przecież Dunbar, mimo gniewu, musiał rozumieć, dlaczego nie można było wnieść oskarżeń na koniec ostatniego śledztwa. Po prostu nie leżało to w interesie narodowym. Był pewien, że w końcu Steven wróci. W przeszłości zawsze tak robił. Ale wyglądało na to, że nie tym razem. Pracował teraz jako konsultant do spraw bezpieczeństwa, mieszkał w Leicester. Boże, co za strata!

Inspektorat Naukowo-Medyczny był dzieckiem Macmilla-na. Dostrzegł konieczność innego podejścia do prowadzenia dochodzeń w świecie zaawansowanych technologii. Owszem, policja dysponowała specjalnymi oddziałami, takimi jak te, które zajmowały się fałszerstwami i przestępstwami w świecie sztuki. Ale jeśli chodziło o naukę i medycynę, brakowało im wiedzy. Parę lat zajęło mu przekonanie rządu, że taka jednostka jest potrzebna i że powinna być niezależna, aż w końcu mu się udało. Inspektorat działał od piętnastu lat.

Był to bez wątpienia sukces, co musiało przyznać kilka rządów, chociaż każdy kolejny premier i jego otoczenie woleliby pewnie, żeby inspektorat okazał się mniej niezależny w przypadkach, kiedy sukces przynosił także zażenowanie, a wielkich tego kraju demaskowano jako miernoty. A że to zażenowanie nie było ograniczone do jednej partii, dokonania przemawiały na korzyść inspektoratu. Każda próba władz, by podciąć skrzydła jednostki, była ostro krytykowana przez opozycję Jej Królewskiej Mości, bez względu na to, kto stał w danym momencie u władzy. Macmillan często mawiał, że to opozycja, a nie rząd, utrzymuje Inspektorat Naukowo-Medyczny w działaniu.

Steven był najlepszym śledczym Macmillana, lekarzem i żołnierzem, sprawdzonym, dobrym zarówno w jednej, jak i w drugiej profesji. Niełatwo było go zastąpić. Sir John poprosił dwóch pozostałych śledczych, Scotta Jamiesona i Adama Dewara, żeby pomogli mu ocenić kandydatów, ale zrobił to z ciężkim sercem. Och, oczywiście mógł dać sobie z tym wszystkim spokój, pójść po linii najmniejszego oporu, zapomnieć o naborze na stanowisko Stevena i... przejść na emeryturę. W końcu nosił tytuł szlachecki i lada moment stuknie mu siódmy krzyżyk. Większość wysokiej rangi urzędników państwowych odchodzi w tym wieku, żeby hodować róże i spisywać wspomnienia. Ale Macmillan nie mógł znieść myśli o wypuszczeniu z rąk wodzy Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Tak wiele dla niego znaczyli ci ludzie... Jedyłą osobą, która mogłaby go do tego nakłonić, była żona. Ucieszyłaby się, gdyby zostawił to wszystko, żeby spędzać z nią więcej czasu. Gdyby dał jej choć cień szansy, kazałaby mu popłynąć na rejs dookoła świata, tańczyć cholerne rumby z jej koleżankami tuszującymi siwiznę niebieskimi płukankami do włosów i wysłuchiwać ich

cholernych mężów bankierów opowiadających, że przez cały czas wiedzieli, że nadchodzi kryzys. Jezu, jeszcze nie umarł!

Deszcz przestał padać i niebo pojaśniało. Stracił apetyt na lunch, ale i tak poszedł do klubu, choćby po to, żeby poczuć zapach wilgotnej trawy w parku. Poza tym chciał przemyśleć coś, co nie dawało mu spokoju. Coś, co powiedział Charlie. Wspomniał, że jedną z ofiar wybuchu była lady Antonia Freeman. Macmillan czuł, że to nazwisko powinno coś dla niego znaczyć, ale na razie nie wiedział co.

Spotkanie ze Scottem Jamiesonem i Adamem Dewarem odbyło się w luźnej atmosferze. Skrócili listę potencjalnych kandydatów na miejsce Stevena Dunbara do trzech osób -dwóch lekarzy wojskowych i absolwenta wydziału technicznego, wszyscy po trzydziestce. Macmillan miał zasadę, żeby nie rekrutować ludzi, którzy jeszcze nie sprawdzili się na innych stanowiskach, dlatego świeżo upieczonych absolwentów w ogóle nie brano pod uwagę. Obaj lekarze wyróżnili się podczas służby w Afganistanie. Jeden był specjalistą w dziedzinie chirurgii urazowej, drugi ortopedą. Obu zmobilizowano, znając ich związki z Obroną Terytorialną. Kiedyś wyśmiewane, jako żołnierka weekendowa, członkostwo w OT teraz oznaczało niemal pewną służbę czynną za granicą. Absolwent wydziału technicznego, z piątką w dziedzinie nauk biologicznych na Uniwersytecie Heriota-Wata w Edynburgu, zaliczył służbę w Iraku, w żandarmerii. Okazał się bardziej niż kompetentnym śledczym, odkrywając skandal z zaopatrzeniem medycznym.

- Jest pan pewien, że Steven nie wróci? - zapytał Scott Jamieson.

- Myślę, że podjął już decyzję.

Dewar wyglądał na skrupowanego. Chyba nie chciał otwarcie wyrazić opinii.

- Wie pan, to wcale nie jest dla mnie jasne... dlaczego odszedł.

- Dla mnie też, jeśli o to chodzi - dodał Jamieson.

- Obawiam się, że nie mogę wam tego wytłumaczyć -rzekł Macmillan. - Nie ma w tym niczego osobistego. Wam obu zaufałyby własne życie. Ale jest parę takich spraw, że im mniej ludzi o nich wie, tym lepiej. A ostatnie zadanie Stevena należało właśnie do nich.

- Skoro na koniec nie było sprawy w sądzie, możemy się domyślać, że właśnie to było przyczyną jego odejścia? -zapytał Jamieson.

- Wracajmy do meritum.

- Tak jest, szefie. - Jamieson się uśmiechnął.

- Przejrzyjcie kalendarze. Dajcie znać, jakie daty wam nie odpowiadają, a ja poproszę Jean, żeby wysłała zaproszenia na rozmowę. Nie ma pośpiechu, gdzieś w ciągu kilku najbliższych dni.

- Nadal mamy nadzieję? - zapytał Dewar.

Kiedy Macmillan sprzątał biurko pod koniec dnia, nagle przypomniał sobie, dlaczego nazwisko Antonii Freeman powinno być mu znane. Jej mężem był sir Martin Freeman, w swoim czasie wybitny chirurg. To było dawno, we wczesnych latach dziewięćdziesiątych umarł w trakcie operacji. Operował kobietę, która od urodzenia miała koszmarnie zdeformowane rysy, próbując dać jej nową twarz za pomocą nowej rewolucyjnej techniki medycznej, kiedy stracił przytomność i zmarł w sali operacyjnej.

Był jeszcze jeden skandal wiążący się z całą tą sprawą, którego szczegółów nie pamiętał. Ale wiedział, co wtedy myślał. Że to sprawa, która aż się prosi o śledztwo poprowadzone przez instytucję taką jak Inspektorat Naukowo--Medyczny. Rano poprosi Jean, żeby odszukała wszystkie informacje na ten temat. Może to nic nie znaczy, może to jedynie figiel spleatany przez pamięć, ale wdowa po chirurgu właśnie została rozerwana na kawałki w Paryżu i trzeba sprawdzić wszystko, co może się z tym wiązać. To, co dręczyło go od rozmowy z Malloyem, wreszcie się uspokoiło. Poczul się o niebo lepiej.

Restauracja Czarna Dalia, Chelsea, Londyn

Wysoki, elegancki mężczyzna popijał dżin z tonikiem, kartkując listę win, i czekał na pozostałych. Wybrał tę restaurację, ponieważ była w niej mała prywatna sala, idealna na kameralne spotkanie dla pięciu osób. Oficjalnie byli komitetem zawodów z klubu golfowego Redwood Park, a on był sekretarzem klubu, Jamesem Blackiem. Nieoficjalnie... żadne z nich nie podało prawdziwego nazwiska.

Pierwszy przybył Toby Langton, lekko zgarbiony mężczyzna z niesfornym wiechciem jasnobrązowych włosów, ubrany jak nauczyciel akademicki, którym zresztą był. Kiedy się odezwał, można było usłyszeć, jak przeciągał samogłoski. Miał skłonność do przedstawiania swoich opinii jako faktów. Zaraz po nim przyszła Constance Carradine, ubrana jak urzędniczka, jak można się było spodziewać po kimś z City. Włożyła dobrze skrojony granatowy kostium i białą bluzkę uzupełnione jasnoniebieską szyfonową apaszką. Ciemne włosy miała krótko przycięte. Nosila modne okulary w cienkich oprawkach nie z powodu wady wzroku, ale żeby

podkreślić i tak już przesywające spojrzenie. Na koniec pojawili się Rupert Coutts i Elliot Soames, którzy spotkali się na parkingu. Obaj mieli ciemne garnitury od najlepszych krawców. Wyróżniali się spośród tłumu innych biznesmenów - przynajmniej w ich mniemaniu - dzięki krawatom. Soames nosił krawat pułkowy byłego oficera gwardii, choć obecnie szefował zadaniowej grupie menedżerskiej. Coutts wybrał uniwersytecki, odpowiedni dla wysokiej rangi urzędnika, który musiał ciężko zapracować na awans.

- Miło was widzieć - powiedział Black, kiedy zamówili drinki.

Tuż po tym, jak wszyscy zasiedli do stołu, kelner, ubrany na czarno, ale noszący biały fartuch, jakby zszedł z dziewiętnastowiecznego francuskiego obrazu, zapytał, czy chcieliby przejrzeć menu.

- Daj nam pół godziny - odparł Black i kelner odszedł.

- Niczego nie widziałem w gazetach - stwierdził Coutts.

- Ja też nie - rzekł Langton.

- Była wzmianka w „Independent” - oznajmiła Con-stance Carradine. - Podejrzany wybuch gazu na paryskim przedmieściu, zginęło pięć osób.

- Właściwie to sześć, ale zabierze im sporo czasu, żeby sprawdzić, kto to taki - dodał Black. - W końcu żadnego z nich się tam nie spodziewano i żadne nie wyjawilo, dokąd jedzie. A co do tego, co tam robili... To kwestia domysłów.

- Boże, proszę - mruknął Soames.

- French był skrupulatny, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Jesteśmy bezpieczni.

- To wszystko wygląda trochę nieładnie - powiedziała Constance Carradine. - Chodzi mi o to, że to oni zaczęli całą rzecz przed laty.

- I w swoim czasie zrobili dobrą robotę - stwierdził Black. - Ale ich czas się skończył. Mieli szansę, zanim zaczął się koszmar Nowych Laburzystów i stracili ją. Jeden wścibski dziennikarz przyłożył się do swojej roboty i musieli wszystko zakończyć, zanim partia zrozumiała, o co chodzi. Nie mieli wyboru, musieli się przyczaić, aż kurz opadnie. A tymczasem skandal zniszczył partię i przegraliśmy wybory. A potem następne i następne. French i inni chcieli znów iść tą ścieżką. Uwierzycie? Odrzucili nasz plan. Spędziliśmy dziesięć lat, konstruując go, porządkując wszystko, a oni go zignorowali. Musieli odejść.

- Więc oto jesteśmy - oznajmił Langton. - Nowa egzekutywa Grupy Schillera, strażnicy wszystkiego, co uważamy za cenne.

- Zakładam, że wszyscy czytali dziś rano „Telegraph” i wiadomość o Carlisle'u? - zapytał Coutts.

- Co za dupek - rzucił Soames.

- I zaczyna stanowić problem - powiedział Black. - Właściwie nie mamy pojęcia, ile on wie. To taki pozer i idiota, że o niczym go nie informowano, jeśli można było tego uniknąć.

- Ale kiedyś był takim ślicznym chłopcem - rozmarzyła się Constance. - Szkoda, że był głupi jak but. A teraz zaczyna przypominać stary trep.

- Hm, w swoim czasie odegrał swoją rolę. Był świetną marionetką. Czasem zastanawiam się, co by się stało, gdyby French i spółka wynieśli go na sam szczyt.

- Nawet nie chcę o tym myśleć.

- Krąży plotka, że próbował telefonować do wysoko postawionych ludzi - uprzedził Black. - Oczywiście, nikt z nim nie rozmawiał, cieszy się mniej więcej równą popularnością co dzuma. Ale chyba mu się wydaje, że ma w rękawie jakiegoś asa... Coś, co zapewni mu dotychczasowy stołek. W nadchodzących wyborach cieszymy się, bez wątpienia, najwyższym poparciem. Nie są nam potrzebne dziwne historyjki krążące wśród ludzi, nawet jeśli pochodzą od takiego zdyskredytowanego błazna, jak Carlisle. Możemy zostać na lodzie.

- Ten człowiek zagraża naszej pozycji - przytaknął Langton. Pozostali odwrócili się do niego. - Jeśli istotnie wie więcej, niż myślimy, może uznać, że przyszedł czas, żeby to wykorzystać.

- Masz na myśli szantaż?

- Myślę raczej o rewelacjach dla prasy. Jeśli lider partii pokaże mu drzwi, co będzie miał do stracenia?

- Może powinniśmy... pomóc przypadkowi? - zaproponował Coutts.

Zapadła długa cisza, wreszcie odezwała się Constance Carradine.

- Myślę, że to niezły pomysł. Mamy mnóstwo mocno rozgniewanych wyborców; nie wiadomo, co mogą zrobić. Dałoby mi to również okazję do wypróbowania nowego łańcucha dowodzenia.

- Doskonale - ucieszył się Black. - Sprawa uzgodniona, chyba że ktoś ma obiekcje? - Już chciał kontynuować, ale Langton znów zabrał głos.

- Naprawdę nie sędzę, że to dobry pomysł. Nie wciągajmy w to rozgniewanych wyborców - powiedział, przeciągając samogłoski. - To tylko podkreśli naturę zbrodni w oczach ludzi: tak ich rozzłościł, że postanowili wziąć sprawy w swoje ręce... I tak dalej. To nie przysłużyłoby się partii.

- Celna uwaga - przytaknął Black.

- Co proponujesz? - zapytała Constance, zirytowana, że odrzucono jej rozwiązanie.

- Coś, co wzbudziłoby powszechne współczucie dla Carlisle'a, byłoby lepsze.

- Na przykład?

- Zostawiam to w twoich zdolnych dłoniach, Connie - rzucił z uśmiechem Langton.

Black postanowił poprowadzić rzecz dalej.

- Connie wspominała już o przetestowaniu nowego układu dowodzenia - przypomniał. - A wy, co sądzicie? Wykorzystaliście informacje z dysków? Elliot, co się dzieje z naszymi finansami?

- Nie ma absolutnie żadnych problemów - odparł Soames. - Skorzystałem z numeru kontaktowego i podałem hasło. Poinformowałem, że przejąłem od lady Antonii powiernictwo nad Fundacją Wellingtona. Zażądałem wyciągów i nadeszły następnego dnia. Sprawy mają się dobrze, naprawdę dobrze.

- Świetnie. Zawsze to miło mieć pieniądze w banku.

Pozostali zdali relacje z podobnych sukcesów w kontaktach z bazą za pośrednictwem ludzi wyznaczonych jako kontakty operacyjne.

- Musimy przyznać to Frenchowi - stwierdził Black. - Wykonał doskonałą robotę, tworząc siatkę. Ale stara gwardia musiała ustąpić. Jesteśmy teraz jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, ilu mamy członków. Ilu naszych jest, ilu podziela nasze poglądy i ilu ma ochotę dokonać zmian. Ludzie zorganizowani w komórki wewnątrz komórek, wewnątrz kolejnych komórek... Ludzie przygotowani, żeby odpracować swoją działkę dla kraju.

Rozległo się stukanie do drzwi i wszedł kelner.

- No to uzgodniliśmy zmiany przy czternastym dołku i piętnastym dołku dla pań? - zapytał Black.

Absolutnie.

Przynieść teraz menu, proszę pana? - zapytał kelner. Wiesz, chyba tak.

Melissa Carlisle wróciła do Markham House, prezentu ślubnego od ojca, w którym razem z Johnem mieszkali przez wszystkie lata ich małżeństwa - z czego dziesięć ostatnich w całkowitym przygnębieniu, przynajmniej jeśli chodzi o Melissę. Popatrzyła, jak taksówka opuszcza podjazd, a żwir chrzęści pod jej kołami. Dwaj policjanci przy bramie przepuścili samochód, ale trzymali z dala od niej małe stadko zziębniętych, żalonych fotoreporterów. Jeśli spodziewali się herbaty, tym gorzej dla nich.

Czuła się marnie. Ostatnie kilka dni spędziła u ojca, wysłuchując pouczeń, że kobiety takie jak ona nie opuszczają mężów w czasach takich jak te. Ani trochę nie liczyło się, że John tak naprawdę bezużytecznie marnował przestrzeń, którą zajmował. W swoim czasie Melissa nie

skorzystała z rady ojca, a teraz było za późno. Powinna stać przy mężu, kiedy jej potrzebował. Tak czynią ludzie z jej sfery. Wszelki argumenty okazały się bezużyteczne. Czasy mogą się zmieniać, ale podstawowe wartości nie, oświadczył ojciec, zanim odesłał ją do domu, jakby była zbuntowaną nastolatką, która nie chce wracać do szkoły po wakacjach. Matka przez cały czas siedziała cicho.

Melissa otworzyła drzwi wejściowe. Najpierw chciała krzyknąć coś, żeby uprzedzić Johna, że wróciła, ale potem zmieniła zdanie i tylko rzuciła klucze na stolik w holu. Brzęk rozszedł się po domu. Poszła do kuchni, nastawiła czajnik i stała, patrząc przez okno na podwórze. Czekwała, aż usłyszy: „Czy to ty?” Cisza.

Pomyślała, że może wyjechał, ale jego samochód, szary range rover, stał przed garażem. Zrobiła sobie herbaty i zabrała ją do salonu. Wzięła poranną gazetę i usiadła, żeby przejrzeć wiadomości, ale nie mogła się skoncentrować. Naprawdę tego nie chciała, ale ciągle się zastanawiała, gdzie jest John. W końcu rzuciła gazetę na podłogę i wyszła do holu.

- John! - krzyknęła, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej bezbarwnie i obojętnie. Boże, to okropne, co zrobiła ze mną odraza do niego, pomyślała. - John? -Nie było odpowiedzi.

Poszła na górę i sprawdziła gabinet, potem zapukała do drzwi sypialni - mieli oddzielne pokoje, od kiedy parę lat temu John wdał się w romans z sekretarką. Cisza, ale i tak zajrzała do środka, myśląc, że może się upił i zasnął. Często tak robił, kiedy pojawiały się problemy. Pokój był pusty, łóżko zasłane... nienagannie. Tak jak to robiła pani Allan, sprzątaczką. A to nie był jej dzień... wczoraj też nie.

Melissa podeszła powoli do łóżka i bez potrzeby wygładziła narzutę. Nikt nie spał w tym łóżku przez ostatnie dwa dni. Co on, do diabła, robi? Przed jaką to parlamentarną ekspertką wylewa swoje żale, zanim ściągnie jej majtki? Ale przecież nie zostawiłby samochodu. Gdzie on się, do diabła, podziewa?

Melissa zaklęła, kiedy otworzyła drzwi do ogrodu i zobaczyła, że zaczęło lać. Zamknęła je, założyła wellingtony i kurtkę od Barboura, po czym wyszła na dwór i pobiegła do budynku mieszczącego garaż i stajnię.

- John, jesteś tu?

Znalazła go w stajni. Zwisał z belki stropowej.

Melissa poczuła mocniejsze bicie serca. Stała zahipnotyzowana widokiem jego twarzy. Była pokryta fioletowymi i białymi plamami, a opuchnięty język zwisał z kącika ust, sprawiając, że John wyglądał jak obrzydliwy gargulec na dachu średniowiecznej katedry. Ciało obracało się powoli poruszane przeciągiem od otwartych drzwi. Deszcz siekł bezlitośnie przez mały świetlik w dachu.

- Och... Chryste! - mruknęła, podchodząc bliżej, żeby wziąć kopertę przypiętą do barierki. Była zaadresowana do niej. John przeproszał za ból i cierpienie, które zadał, nie ją, ale wyborców. Rozumiał ich gniew, ale miał nadzieję, że z czasem zrozumieją. Że to była zwyczajna pomyłka.

Melissa jeszcze raz spojrzała na ciało, w oczach miała mieszankę frustracji i gniewu.

- List pożegnalny... - wymamrotała. - A ty idioto napisałeś go na maszynie.

Steven siedział z nogami opartymi o stół i czytał gazetę, kiedy o wpół do siódmej Tally wróciła do domu.

- Jestem, jak obiecałam - oświadczyła. Była lekko zaczerwieniona z pośpiechu.

- Dobra robota - powiedział. Wstał i uściskał ją. - Cały wieczór dla nas. Co wolisz, kolację czy film?

- Może ty wybierzesz? Na razie to ja zawiniłam, bo pracuję do późna.

- Kolacja - zdecydował. - Od wieków nie mieliśmy okazji, żeby usiąść i porozmawiać.

- Okej, wezmę prysznic, a ty się zastanowisz, dokąd pójdziemy.

Propozycja, żeby wybrać się do włoskiej restauracji, została przyjęta z entuzjazmem.

- Jakiś konkretny powód? - zapytała Tally.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pójść do baru Firenze. Ostatnim razem nam się tam podobało. To hałaśliwe, radosne i chaotyczne miejsce, a Włosi robią wspaniałe desery.

- Będę flirtować z kelnerami.

- Zjem dwie porcje deseru.

- Co ja bym bez ciebie robiła - bardziej stwierdziła, niż spytała Tally, podchodząc i kładąc ręce na ramionach Stevena. - Mam najlepszego faceta na świecie.

- Pani, jesteś zbyt łaskawa - odparł i pocałował ją lekko w usta. - Chodź, pospieszmy się. Czas i ciasto na nikogo nie czekają.

- No to jak minął dzień? - zapytał, kiedy popijali aperitif. Wydawało mu się, że w oczach Tally pojawiło się zdziwienie. - Czy ludzie tacy jak my nie rozmawiają w ten sposób?

- Owszem - przyznała, rozczarowana, że Steven odgrywa rolę. - Chyba tak. Mój dzień był gorączkowy, pełen stresu, frustrujący i zupełnie niesatysfakcjonujący, jak wszystkie dni pracy w służbie zdrowia, która rozpada się na kawałki. Połowę czasu spędziłam na borykaniu się z zarządem, który kazał mi wstawiać ptaszki w okienka. I na wykonywaniu celów postawionych lekarzom przez polityków, których właściwie ni cholery nie obchodzi nikt poza nimi samymi, ale próbują robić wrażenie, że jest inaczej. Chodzi tylko o pozory. Istota sprawy się nie liczy, dopóki nie można sobie za jej pomocą poprawić wizerunku.

- Żałuję, że zapytałem. Ale jeśli tak jest, pozostaje pytanie, które aż się prosi, żeby je zadać, pani doktor...

Tally przez chwilę wyglądała tak, jakby rozważała, czy go ochrzanić, ale uznała, że to pytanie zasługuje na odpowiedź.

- Ponieważ... nadchodzi czas, w całym tym gównie i menedżerskich głupotach, kiedy jestem tylko ja i chore dziecko. I ja jestem tą osobą, której nie jest wszystko jedno. A kiedy już zrobię swoje i dziecko wychodzi z sali szpitalnej, ciągnąc za sobą teczkę z naklejkami, a mama i tata mają to w oczach, to szczególne spojrzenie... Po prostu nie ma uczucia, które może się z tym równać.

Steven z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Jasne.

- A jaki ty miałeś dzień, panie doktorze? Przepraszająco wzruszył ramionami, próbując uniknąć

odpowiedzi po tym, co usłyszał. Ale wyraz twarzy Tally jasno wskazywał, że czeka na jego słowa.

- Rano wziąłem udział w zebraniu zarządu. Spółka wiedziała o porozumieniu w sprawie produkcji szczepionek, o którym słyszeliśmy w radiu. Rozważają dużą zmianę w priorytetach.

- Chcesz powiedzieć, że weźmiecie udział w przetargu na produkcję? - zapytała Tally.

Steven kiwnął głową.

- Zgadza się. To rzeczywiście duża zmiana w priorytetach. Mam nadzieję, że dokładnie to przemyśleli. Chociaż porozumienie nie jest sprawą polityki partyjnej, wydaje im się chyba, że skoro inicjatywa wyszła od konserwatystów, pomoże to im w wyborach. Widzą to jako coś dobrego.

- To mogłoby nawet na mnie wpłynąć - stwierdziła Tally. - A co z tobą?

- Nie będę głosować.

Steven miał taki wyraz twarzy, że Tally zrozumiała, iż mówił na serio. Już o tym rozmawiali.

- Nie będę cię pouczać i opowiadać, co ludzie wycierpieli w przeszłości, żebyśmy mieli prawo głosu - oznajmiła. - Wiem, że masz swoje powody.

- I bardzo dobrze. Nie cierpię większości z nich. Tally uśmiechnęła się lekko.

- Nie będę się nawet sprzeczać, że w każdej partii musi być choć kilku dobrych ludzi. Po prostu zostawię ten temat i przejdę dalej.

- Dobrze.

- Co sądzisz o planach spółki? Steven się zamyślił.

- Chcą się przeciwstawić grubym rybom, zmienić profil z badań na produkcję. Mniejsze ryzyko oznacza więcej szczęśliwych udziałowców. Kontrakt zostanie poddany ofercie przetargowej, ale mówili, jakby naprawdę im na nim zależało. Wspominali o wyjściu z bardzo konkurencyjną ofertą, o obcinaniu wszelkich kosztów, żeby wygrać.

Tally milczała, Steven napełnił jej kieliszek.

- Jak do tego wszystkiego pasuje szef ochrony? - zapytała.

- Nie będziemy jedyną spółką, która ma nadzieję na zawarcie tego kontraktu. Wielką przewagę daje informacja o ofertach innych. Moim zadaniem będzie utrzymanie w tajemnicy naszych danych.

Tally skinęła głową.

- A jeśli twoja spółka zawrze kontrakt i priorytety przesuną się z badań na... Co będzie z tobą?

Steven uśmiechnął się, napełniając swój kieliszek.

- Pewnie stracę pracę, jeśli w ogóle przestaną zajmować się badaniami. Ale może znajdą dla mnie co innego do roboty, sprzątanie ubikacji czy coś takiego.

- To głupie, Dunbar.

- Prawda? Muszę popracować nad uzalaniem się nad sobą. Co byś powiedziała na kolejną butelkę?

- Mille grazie, signore.

Lark Pharmaceuticals, Canterbury, Kent

Doktor Mark Mosely zostawił ciemnozielonego jaguara na swoim miejscu parkingowym i podniósł kołnierz, żeby osłonić się przed ostrym wschodnim wiatrem. Ruszył ku szklanym drzwiom frontowym, które rozsunęły się posłusznie wykrywaczowi podczerwieni zamontowanemu nad nimi.

- Dzień dobry firmowym panienkom - powiedział, mijając w drodze do windy recepcję i ustawione obok niej palmy w doniczkach.

Dwie recepcjonistki uśmiechnęły się na ten niewybredny żart i wyskandowały:

- Dzień dobry, sir. Zupełnie jak dzieci w szkole.

Mosely był w dobrym nastroju. Oświadczenie o porozumieniu w sprawie szczepionek było dobrą wiadomością dla każdego w przemyśle farmaceutycznym i zapowiadało nową erę dla spółek takich jak jego. I nowe

zasady działania. Porozumienie powinno zniwelować górę przepisów, które nawarstwiły się przez ostatnie dziesięć lat.

Zegar wskazywał wpół do dziesiątej. Czas dokonać cotygodniowej inspekcji na piętrach produkcyjnych.

Kierownicy linii będą czekać na niego, jak zwykle, na poziomie trzecim, żeby oprowadzić go po swoich domenach. Potem odbędzie cotygodniowe zebranie z kontrolerami jakości, a później lunch w stołówce z robotnikami, gdzie wysłucha wszelkich pomniejszych zażaleń... Tak jak to robił przez dwie ostatnie dekady. Po południu czeka go inspekcja ramp załadunkowych i rozmowa z kierownikiem transportu o rozkładzie dostaw. Akurat w firmie trwała dyskusja o zakupie kolejnej floty ciężarówek. Wiedział, że kierownik transportu wolał furgonetki Mercedesa, ale jemu bardziej odpowiadały pojazdy, które przynajmniej montowane były w Zjednoczonym Królestwie.

Głównym punktem dnia miało być spotkanie o trzeciej, z przedstawicielami Oxfam i trzech innych ważnych organizacji charytatywnych. Ustalą ilość i dystrybucję zapasów szczepionki dla krajów Trzeciego Świata i ocenią raporty Światowej Organizacji Zdrowia, szczególnie przewidywane zapotrzebowanie na szczepionkę w przyszłości.

Lark Pharmaceuticals był prywatnym niedochodowym koncernem założonym przez instytucje dobroczynne jakieś dwadzieścia lat wcześniej. Dochód przynosiła jedynie część biznesu - firma produkowała zestawy diagnostyczne, kremy antyseptyczne i związki antyhistaminowe. Pieniądze z ich sprzedaży wspierały drugą część działalności Lark Pharmaceuticals. Wytwarzano tu szczepionki dla krajów Trzeciego Świata po najniższych cenach, dzięki czemu spółka cieszyła się przychylną opinią i nikt nie

zastanawiał się nad motywami jej działania, tak jak to było w przypadku innych firm farmaceutycznych. Ściany recepcji udekorowano wieloma nagrodami, które dostali od organizacji humanitarnych.

Mosely przeglądał pocztę elektroniczną, kiedy zadzwonił telefon. To z poziomu B2.

- Wszystko przygotowane. Musimy porozmawiać.

- Dziś wieczór. O siódmej.

Inspektorat Naukowo-Medyczny, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych,
Londyn

John Macmillan szedł przez park na przełożony lunch z Charliem Malloyem. Po drodze zobaczył kilka przebi-śniegów, ale w żaden sposób nie przekonało go to, że zima w jakikolwiek sposób ma się ku końcowi. Po tak zwanym upalnym lecie, które wcale takie nie było, nastąpiła ciepła, wilgotna zima, która okazała się najzimniejsza od lat. Meteorolodzy zaczęli go powoli denerwować.

Leonard, odzwierzy od lat pracujący w klubie, zaprosił Macmillana do ciepłego wnętrza i zabrał płaszcz gościa.

- Charlie Malloy już przyszedł - oznajmił Leonard przy okazji. - Posadziłem go w łożu.

John Macmillan miał w zwyczaju co jakiś czas zapraszać znajomych z rządu i administracji na lunch - nie ludzi na szczeblu ministerialnym, ale dość wysoko postawionych, żeby wiedzieli, co w trawie piszczy. To był jego sposób, by trzymać rękę na pulsie, wysłuchiwać najnowszych plotek, a

często wyciągać własne wnioski z informacji, które udało mu się wyczytać między wierszami. Inspektorat Naukowo-Medyczny prowadził dochodzenia tam, gdzie uznał za stosowne i dlatego był uzależniony od zbierania informacji. Wiele robiono za pomocą komputerów, korzystając z programów opracowywanych przez lata, żeby wyszukiwać raporty o niezwykłych wydarzeniach w nauce i medycynie, ale kontakt z ludźmi był bardzo ważny.

- Miło cię widzieć, Charlie - przywitał się Macmillan, wchodząc do łóży i podając rękę siedzącemu tam mężczyźnie. - Jak tam sprawy?

- Troszeczkę spokojniej w tym tygodniu, chociaż został nam lekki ból głowy. Pamiętasz tę domniemaną eksplozję gazu, która okazała się bombą?

- A ty zidentyfikowałeś dwoje zabitych jako Brytyjczyków?

- Zgadza się. Okazało się, że cała szóstka to Brytyjczycy.

- Co to było? Jakieś klubowe spotkanie w sprawach biznesu?

Malloy pokręcił głową.

- Nie jechali razem. Zdaje się, że przybyli z różnych stron tylko po to, żeby umrzeć w Paryżu w chłodne lutowe popołudnie.

- Ta kobieta, o której mówiłeś w ubiegłym tygodniu... Przypomniałem sobie, z czym mi się kojarzyło jej nazwisko. Jej mężem był sir Martin Freeman, wybitny w swoim czasie chirurg, który zrobił wielką karierę. Zmarł w trakcie operacji.

- Dobry Boże, materiał na koszmar - mruknął Malloy i wykrzywił się z odrazą. - Kim ona była? Lekarzem, jak mąż, czy pielęgniarką, do której uśmiechnęło się szczęście?

- Właściwie ani jednym, ani drugim. W istocie szczęście uśmiechnęło się raczej do niego. Antonia pochodziła z bardzo zamożnej rodziny, podczas gdy Martina klepano po ramieniu i chwalono, że jest dobry w swoim fachu. Mówi się, że ani ona, ani jej rodzina, nie pozwolili mu o tym zapomnieć. Według wszelkich danych nie byli to najsympatyczniejsi ludzie na świecie.

- To by pasowało, nie miała zbyt wielu przyjaciół - powiedział Malloy. - Nie wydaje mi się, żeby chłopcy odkryli, że ktoś jej bardzo żałuje. W każdym razie dzięki za pomoc.

- A co z innymi?

- Właściwie, identyfikacja nie była trudna. Macmillan zmarszczył brew.

- Jak to?

- Pozostali zmarli to same grube ryby, szybko zgłoszono ich zaginięcie. Jeden był prezesem banku handlowego, drugi wysokiego szczebla urzędnikiem, a pozostali dwaj biznesmenami. Dziwne tylko, że żadna z rodzin nie wiedziała, że są w Paryżu.

Macmillan cicho gwizdnął.

- To po co tam pojechali?

- Bo nie chcieli, żeby tutaj ich widziano? - podsunął Malloy po chwili namysłu. Upił długi łyk wina.

- Jestem przekonany, że dziś wieczorem nagroda zostanie się Charliemu Malloyowi - oznajmił Macmillan. -Charlie, czy mógłbyś mnie informować o tej sprawie? Z jakiegoś powodu mnie niepokoi, ale nie mam pojęcia dlaczego.

- Nie ma problemu. Czy twój Steven Dunbar wrócił już do ciebie, czy dalej jest naburmuszony?

Macmillan się uśmiechnął.

- Żałuję, że to nie tylko kwestia fochów, Charlie. Naprawdę.

- To co się stało?

Macmillan wyprostował się odruchowo.

- Nie mogę ci powiedzieć, Charlie. Przepraszam, sprawa wagi państwowej.

- Hej, parę razy już to słyszałem. Sedno zawsze jest takie samo. Uszło na sucho jakiemuś wysoko postawionemu dupkowi.

Macmillan nie zaprzeczył.

Jean Roberts podniosła wzrok, kiedy Macmillan wszedł do biura.

- Przyjemny lunch, sir?

- Interesujący. Jean, może miałaś okazję wyszukać informacje, o które cię prosiłem. Te na temat ostatniej operacji Martina Freemana?

Jean wyciągnęła z szuflady biurka czerwoną teczkę. Chyba sporo ważyła, bo sekretarka miała problem z podniesieniem jej jedną ręką.

- Mnóstwo się działo w związku z tą śmiercią. Macmillan wziął teczkę, nie ukrywając zdumienia.

- Porządna robota, jak zwykle, Jean - mruknął.

Resztę popołudnia spędził na czytaniu zapisów wydarzeń z 1992 roku, kiedy Martin Freeman zmarł, operując zdeformowaną pacjentkę w College Hospital, w Newcastle. Inny chirurg, doktor Claire Affric, która wtedy asystowała Freemanowi, przejęła operację i ją dokończyła. Dostęp prasy do informacji o pacjentce i śmierci lekarza prowadzącego był jednak tak ograniczony, że pojawiły się nawet pogłoski, iż obandażowana postać, którą w końcu postawiono przed kamerami, żeby zapewnić wszystkim, że operacja się udała, wcale nie była pacjentką, Gretą Marsh. Przypomnienie sobie całej tej historii wcale nie złagodziło niepokoju Macmillana. Przeciwnie, wywołało więcej wspomnień.

Pamiętał, że sprawę prowadził najlepszy dziennikarz śledczy, który pracował dla jednego z ogólnokrajowych dzienników. Zanim pojechał na północ, żeby przyjrzeć się aferze z Gretą Marsh, wykrył parę skandali finansowych w Opiece Medycznej. Kincaid, tak się nazywał, James Kincaid. Nie wrócił z delegacji na północ. On i pielęgniarka z miejscowego szpitala zostali znalezieni martwi. Mówiło się, że Kincaid zainteresował się innym reportażem dotyczącym handlu narkotykami i zapłacił za wtrącanie się w nie swoje sprawy. On i pielęgniarka, która się w nim zakochała.

Macmillan przeczytał, że Kincaid i jego dziewczyna nie byli jedynymi ofiarami tego, co gazety nazwały północną wojną narkotykową. Paul Schreiber, farmaceuta zaangażowany w tworzenie nowej inicjatywy zdrowotnej w College Hospital, także zginął, razem z dwoma

pielęgniarkami, kiedy złodzieje dokonali napadu na szpitalną aptekę. Kolejną ofiarą wojny był internista o nazwisku Tolkien, prowadzący w okolicy klinikę dla narkomanów.

Macmillan oparł łokcie na biurku i położył brodę na dłoniach. Nie przerywał czytania. Przemoc nie ograniczyła się do północy. Naczelnny Kincaida w Londynie także został zamordowany. Prawdopodobnie sprawcy pierwszego mordu obawiali się, że dziennikarz przekazał zwierzchnikowi jakieś informacje.

Coś tu do siebie nie pasowało... Macmillan wrócił do fragmentu dotyczącego Paula Schreibera. To nie morderstwo przyciągnęło jego uwagę, ale informacja o nowej inicjatywie w służbie zdrowia. Nacisnął guzik intercomu.

- Jean, jak się nazywał ten parlamentarzysta torysów, który parę dni temu popełnił samobójstwo?

- John Carlisle, sir.

Bogowie, to było to! Carlisle był figurantem w czasach... Macmillan czekał, aż przypomni mu się ta nazwa. Północny Plan Opieki Medycznej, to było to. John Carlisle był wtedy ministrem zdrowia i zdobył uznanie za wprowadzenie na północy Anglii rewolucyjnego, skomputeryzowanego systemu rejestracji medycznej, który według wszelkich danych był bardzo udany.

Ale potem... co? Macmillan, ku swemu zdziwieniu stwierdził, że niewiele więcej może sobie przypomnieć.

Carlisle zniknął wszystkim z oczu, chociaż zaledwie kilka miesięcy wcześniej został wskazany jako ewentualny przyszły przywódca Partii Konserwatywnej. Nowy, skomputeryzowany plan opieki medycznej też zniknął.

- Jakże to dziwne - powiedział na głos Macmillan.

- Co takiego? - zapytała Jean Roberts. Macmillan zostawił włączony intercom. Wyłączył go, nie przepaszając. Myślami był teraz przy czymś innym. To wszystko działo się bardzo dawno temu, zresztą torysi przegrali wybory w 1997 roku. Ale uderzył go fakt, że kariera Carlisle'a tak gwałtownie się skończyła jeszcze za czasów kadencji poprzedniego parlamentu, a tak udana inicjatywa została zahamowana. To naprawdę było dziwne.

- Jean, potrzebuję wszystkiego, co możesz znaleźć o Północnym Planie Opieki Medycznej. Wprowadzano go we wczesnych latach dziewięćdziesiątych na północy Anglii, kiedy Carlisle był ministrem zdrowia.

- Na kiedy, sir?

- Na wczoraj.

Wiedział, że nie znajdzie na ten temat niczego w archiwum inspektoratu, bo działo się to przed powstaniem wydziału. Ale Jean wykorzysta przede wszystkim archiwa prasowe i powiększy je o informację rządową, jeśli to będzie potrzebne. Godzinę później dostał pierwsze wyniki jej pracy.

Nie mógłby dokładnie określić, czego szuka. Kartkując strony, sam tego nie wiedział. Ale miał pewność, że zrozumie, kiedy to odnajdzie. A kilka

minut później istotnie znalazł. Na liście osób odpowiedzialnych za opiekę nad Północnym Planem Opieki Medycznej, wprowadzonym w listopadzie 1991 roku, obok Johna Carlisle'a widniał Charles French z Deltasoft. Ten sam Charles French, który właśnie zginął w wybuchu w Paryżu... razem z Antonią Freeman.

- Piekło i szatani - wyszeptał Macmillan, stukając z irytacją długopisem o blat. Wtedy kolejna myśl przyszła mu do głowy. Wrócił do materiału na temat Martina Free-mana, żeby rozwiać wątpliwości. Tak, ten sam szpital, College Hospital w Newcastle.

Macmillan przez dłuższy czas patrzył przed siebie, zanim zdał sobie sprawę, że tępy ból głowy, który prześladował go przez kilka ostatnich dni, się pogorszył. W istocie stał się nie do zniesienia. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło, podniósł dłonie do skroni.

- Jean, potrzebna mi pomoc...

Wyglądasz na zmarnowaną - powiedział Steven, patrząc, jak Tally bardziej bawi się posiłkiem, niż go zjada. Było po ósmej w piątkowy wieczór i Steven przygotował obiad, chociaż słowo „przygotował” było chyba przesadą. Otworzył dwa gotowe dania M&S i je podgrzał. Steven nie gotował, nigdy tego nie robił. Jedzenie nie odgrywało wielkiej roli w jego życiu i niezupełnie rozumiał, dlaczego robi się o nie tyle hałasu, szczególnie w telewizyjnych programach poświęconych gotowaniu.

- Myślę o czymś.

- Powiesz mi o czym?

Tally pokiwała głową, jakby nie miała chęci posunąć się dalej, ale potem zmieniła zdanie.

- Chodzi o moją matkę - powiedziała. - Trudno się jej z tym uporać. Ten pobyt we wspólnocie, czy jak to nazywają, po prostu nie działa.

Steven zrobił minę.

- Dom opieki by ją zabił. Zawsze tak mówiła - ciągnęła Tally.

- Większość ludzi tak mówi - odparł Steven. Wiedział, że jego słowa mogą być odebrane jako bezduszne, ale uważał, że musi to powiedzieć. - Naprawdę nie musi być aż tak źle.

- Ile takich miejsc widziałeś? - warknęła Tally.

- Niewiele.

Wzrok Tally domagał się więcej.

- Żadnego.

- Steven, to moja matka. Kobieta, która mnie urodziła, pocieszała, kiedy byłam załamana, zachęcała, kiedy się wahałam. Wiwatowała, kiedy coś osiągałam, znajdowała wymówki, kiedy mi się nie udawało. Sprawiała, że jestem taka, jaka jestem. Nie pocieszałabym codziennie dzieci innych ludzi, gdyby ona nie robiła tego dla mnie. Nie rozumiesz?

- Tak, miałem taką samą matkę - zapewnił.

Tally przez chwilę trawiła ten komentarz. Przyjęła do wiadomości słowa Stevena, ale nie chciała ustąpić. Oparła głowę na rękach i zastanawiała się, jak inaczej przedstawić swoje racje.

- Po prostu nie jestem w stanie znieść myśli, że wsadziłam matkę do jednego z tych miejsc, gdzie skończy, oglądając całymi dniami telewizję aż do śmierci. Nikt na to nie zasługuje.

- Co prowadzi nas do alternatywy...?

Tally pochyliła głowę i pozwoliła, żeby jej palce prześlizgnęły się przez włosy aż do karku.

- Nie ma żadnej... Zgadza się?

- Moja sytuacja w Ultramedzie nie jest tak dobra, żebyś mogła zrezygnować z pracy i zająć się matką - stwierdził Steven.

- Wiem, wiem... Ale dziękuję, że o tym pomyślałeś. Słuchaj, nie chcę dziś wieczorem więcej o tym mówić. Moja siostra, Jackie, przyjeżdża na weekend z Dorset. Wtedy o tym porozmawiamy.

- Chyba kiedyś wspomniałaś, że masz dwie siostry, ale nigdy nie zdobyłaś się na to, żeby mi powiedzieć, jak mają na imię.

Tally się uśmiechnęła.

- Wydaje mi się, że nie wiemy o sobie mnóstwa rzeczy.

- Więc nie powinniśmy się nudzić.

- Skoro tak mówisz - rzuciła Tally, odprężając się trochę. - Polubisz Jackie. Jest śmieszna.

- Masz coś jeszcze w zanadrzu?

- Tak, ciągnę walkę, żeby dostać lekarstwa zatwierdzone dla naszych dzieciaków chorych na raka. Wiem, że budżet opieki medycznej nie jest bez

dna, ale dzieci są naszą przyszłością. Powinniśmy dla nich robić wszystko, co się da, a nie bez końca szacować prawdopodobny wynik terapii, zanim sypniemy groszem. Zbyt wielu ludzi działa według jakichś kretyńskich programów.

- Może wybory oczyszczą atmosferę i będzie łatwiej.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Nie, pomyślałem tylko, że można by cię rozweselić.

- Jesteś nieznośny.

- To dar.

- Jeszcze jeden?

- Masz rację. Chyba mam ich więcej, niż uczciwie by mi się należało.

Ale co można na to poradzić?

Tally już miała rzucić w niego poduszką, gdy zadzwonił telefon. Sprawdziła numer na wyświetlaczu.

- To John Macmillan - poinformowała.

- Nie ma mnie - powiedział Steven.

Tally odebrała, a Steven wziął się do zmywania po kolacji.

- Przepraszam, lady Macmillan, właśnie wyszedł na chwilę - tłumaczyła, kiedy Steven wyszedł z pokoju do kuchni. - Czym mogę służyć?

Steven wrócił od kuchennych obowiązków i usłyszał, jak Tally mówi:

- Och, jak mi przykro. Oczywiście, powiem. Zaraz wróci. Powiem, żeby zadzwonił do pani... Tak... Do widzenia.

Spojrzał na nią pytająco.

- John Macmillan jest w szpitalu. Zemdłał. Ma guza mózgu i nie wygląda to dobrze. Prosił, żebyś go odwiedził.

Steven opadł na krzesło i lekko potarł czoło koniuszkami palców.

- Musisz iść.

Trudno mu było zebrać myśli. Między nim a Johnem Macmillanem nieraz dochodziło do różnicy zdań, ale to nie zmieniało faktu, że Macmillan był prawdopodobnie najuczciwszym i najbardziej honorowym człowiekiem, jakiego Steven spotkał w życiu. Myśleli w ten sam sposób. Często się spierali, ale zazwyczaj była to kwestia tego, że Macmillan chętnie kierował się doświadczeniem, żeby ostudzić niecierpliwość Stevena. Dunbar odszedł z Inspektoratu Naukowo-Medycznego, ale nie było w tym niczego osobistego. I John o tym wiedział. To on uratował Stevena przed nudą miłą egzystencji do piątej w jakiejś monotonnej pracy, gdy Dunbar odszedł z wojska. To on wybawił go od życia... które Steven teraz prowadził.

Próbował odrzucić tę ostatnią myśl i mocno zacisnął powieki.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Tally. Steven pokiwał głową.

- Zadzwonię do żony Johna.

Do Londynu pojechał rano, po tysięcznych zapewnieniach, że nie ma sensu, żeby wybierał się tam wieczorem poprzedniego dnia. Lekarze

powiedzieli lady Macmillan, że John miał dobry dzień i spał spokojnie. Był rozbudzony, kiedy Johna wprowadzono do jego pokoju w Szpitalu Króla Edwarda VII. Udało mu się lekko uśmiechnąć.

- Jak się czujesz?

- Bywało lepiej.

- Powiedzieli, że niedługo stąd wyjdiesz.

- Chyba nie - wychrypiał Macmillan.

- Jest złośliwy?

- Jeszcze nie wiedzą. Tak czy inaczej, trzeba usunąć. Mowa o operacji, pięćdziesiąt procent szans.

Steven kiwnął głową i przełknął ślinę.

- Postaram się, żeby kostucha się tu w najbliższym czasie nie kręciła.

Macmillan położył rękę na nadgarstku byłego współpracownika i lekko zacisnął palce.

- Ryzykuję, że zabrzmii to jak z plakatu werbunkowego... Ojczyzna cię potrzebuje - zaczął.

- Nie mnie - rzekł Steven. - To Inspektorat Naukowo--Medyczny jest jej potrzebny, a to wszystko twoja robota.

- Dlatego chciałem się z tobą spotkać. Steven pokręcił głową.

- Nic z tego, John. W przeciwieństwie do ciebie dotarłem do granicy. Mam dość. Najwyższy czas, żeby przestać wdawać się w bójki, których nie można wygrać. Potrzebowałem... czegoś innego.

- Znalazłeś?

- Kocham Tally.

- Nie o to pytałem.

- Zmiana wymaga czasu.

- Byłeś najlepszy. Jesteś najlepszy. Potrzebuję cię, żebyś stanął na czele Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Jeśli nie przeżyję, wszystko na nic.

- To nonsens i wiesz o tym.

Macmillan patrzył Stevenowi prosto w oczy, nie odzywał się.

- I nie w porządku - bronił się Dunbar.

- Wystarczy, żeby dobrzy ludzie nic nie robili i zło zatriumfuje...

- Masz Scotta Jamiesona, Adama Dewara. Obaj mają doświadczenie, są bardzo dobrzy. Wiesz, że tak.

- Nie chcę bardzo dobrych. Inspektorat Naukowo-Medyczny potrzebuje tego co najlepsze.

- Straciłbym Tally.

To okazało się skutecznym argumentem. Macmillan jakby stracił ducha, zapadł się w poduszkę. Mgła zmęczenia zasnuła mu oczy.

- Jest powód, dla którego potrzebuję najlepszego - wyjawiał wreszcie. -
Wysłuchasz mnie?

- Oczywiście.

- Prawie dwadzieścia lat temu zdarzyło się coś, czego nikt do końca nie wyjaśnił. Coś mi mówi, że to się może zdarzyć ponownie.

- Co?

- Nie wiem.

- Nie wiesz... - powtórzył spokojnie Steven.

- Dziennikarz o nazwisku Kincaid pojechał na północ, żeby zebrać materiał do reportażu o nowej technice chirurgicznej. Nie wrócił. Kiedy tam był, jego uwagę przyciągnęła inna rzecz, coś, co sprawiło, że on, jego naczelny i kilkoro innych ludzi zostało zabitych. Wiąże się to prawdopodobnie z Północnym Planem Opieki Medycznej.

Steven miał obojętną minę.

- Plan był dzieckiem konserwatywnego polityka, Johna Carlisle'a, ministra zdrowia w owym czasie i człowieka, o którym myślano, że jest przeznaczony do większych czynów.

Tego samego Johna Carlisle'a, który kilka dni temu odebrał sobie życie po skandalu związanym z jego wydatkami. Steven się wykrzywił.

- Inny założyciel Północnego Planu Opieki Medycznej, Charles French, zginął podczas wybuchu bomby w Paryżu kilka tygodni temu, wraz z żoną chirurga. Ów chirurg pracował w tym samym szpitalu, w którym wdrażano

nową technikę medyczną, w tym samym czasie, kiedy zainteresował się tym Kincaid.

Steven zmarszczył brwi.

- Ale jeśli to wszystko było dwadzieścia lat temu...

- Osiemnaście. Ale od tego czasu mieliśmy trzy rządy laburzystowskie.

Steven nie nadążał za rozumowaniem Macmillana. Było tego trochę za dużo, żeby mógł wszystko ogarnąć. Miał mnóstwo pytań, ale widział, że były szef jest bardzo zmęczony, więc zaczął się zbierać do wyjścia.

- Przemyśl to, Steven, tylko o to proszę... - wymruczał Macmillan, nie otwierając oczu.

- Przemyślę. Odpoczywaj.

Steven postanowił sprawdzić swoje mieszkanie przy Marlborough Court, zanim wróci do domu. Postanowił nie sprzedawać mieszkania przed przeprowadzką do Leicester, ale zatrzymać je, jak długo będzie to możliwe, i dać szansę cenom nieruchomości. Kiedyś wreszcie muszą pójść w górę. Tally zgodziła się, że to ma sens.

W środku było zimno, znajomo, ale kiedy chodził po pokojach, jakoś dziwnie obco. Odkręcił zawory i pozwolił, żeby z kranów z charkotem spłynęła woda i przy okazji odpowietrzyła rury. Potem usiadł na swoim ulubionym fotelu przy oknie.

Mieszkanie znajdowało się przecnicę od rzeki, ale miał na nią widok przez przerwę między budynkami po drugiej stronie jezdnii. Widział mnóstwo przepływających statków ze swojego miejsca. Rozmyślał nad

zagadkami, które Inspektorat Naukowo-Medyczny postawił na jego drodze. Spojrzał w niebo. Zwykle kiedy wracał do domu, świeciły gwiazdy. Dżin z tonikiem sprawiał, że łatwiej mu było odprężyć się po całym dniu. Ale to wszystko przeszłość, przeprowadził się.

Dotarł do przedmieścia Leicester, kiedy w radiu podali godzinę. Tally jeszcze była w szpitalu i szybko stamtąd nie wyjdzie. Steven postanowił wpaść do pracy, zanim pojedzie do domu, żeby sprawdzić, czy jest coś, co wymagałoby jego uwagi, i zapoznać się z pilną pocztą - chociaż nie przypominał sobie, żeby w tej pracy coś takiego w ogóle do niego przychodziło. Wcześniej zadzwonił, żeby uprzedzić o nieobecności, ale nie podał przyczyny.

Rachel Collins spotkała go, kiedy wysiadał z windy. Właśnie wychodziła z pracy.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Dziękuję, świetnie.

- Myśleliśmy, że może jesteś chory.

- Nie, mój przyjaciel jest chory.

- Och, to dobrze. O Boże, nie chodziło mi o twojego przyjaciela, ale wiesz... dyrektor szukał cię wcześniej.

- Dziękuję, Rachel.

Steven ciężko usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać mejle. Wszystkie były rutynowe i głównie zawierały dodatkowe raporty sprawdzające referencje nowych pracowników, zatrudnionych parę miesięcy temu.

Żadnych problemów. Nawet sobie nie wyobrażał, że mógłby znaleźć w tych dokumentach jakieś rewelacje. Był tam wewnętrzny list z biura dyrektora generalnego z listą nazwisk ludzi pracujących w wydziałach rachunkowości i statystycznym, których obarczono przygotowaniem ofert dotyczących rządowej inicjatywy ze szczepionkami. Steven czytał nazwiska, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł dyrektor generalny Lionel Montague. Poruszał się, jakby prezentował na pokazie mody czarny kaszmirowy płaszcz i kontrastujący z nim czerwony szalik. Brakowało tylko obrotu o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Już miałem wyjechać z parkingu, kiedy zobaczyłem, że u ciebie pali się światło. Próbowałem skontaktować się z tobą wcześniej.

- Musiałem pojechać do Londynu. Montague zmarszczył brwi.

- W związku z czym, jeśli wolno zapytać?

Steven wyczuwał, że ten człowiek szuka awantury, ale niezupełnie rozumiał, o co chodzi. Odkąd tutaj nastał, niewiele miał z nim styczności, chociaż czasem spostrzegał, że nazwisko Montague'a zdaje się wywoływać strach albo szacunek u innych członków zespołu. Nie wiedział dlaczego. Znowu miał to znajome uczucie, że jest outsiderem w świecie, którego w pełni nie pojmował.

- W związku z tym, że mój przyjaciel i poprzedni pracodawca jest umierający. Prosił, żebym się z nim spotkał.

- Wiesz, naprawdę nie powinienem zwracać uwagi osobom na wyższych stanowiskach, że ich pierwszym obowiązkiem jest praca dla spółki. Sprawy osobiste powinny się znaleźć na drugim miejscu. Czy jasno się wyraziłem?

- Aż za jasno.

Montague najeżył się na te słowa, ale postanowił nie przeciągać struny.

- Czym mogę ci służyć? - spytał Steven i od razu pożałował, że to powiedział. Musi się wreszcie nauczyć, że czasami warto ugryźć się z język.

- O co ci chodzi?

- Mówiłeś, że szukałeś mnie wcześniej.

- A, tak. Chciałem porozmawiać o dodatkowym sprawdzeniu księgowych, którzy przygotowują ofertę dla rządu.

- Właśnie sprawdziłem listę osób za to odpowiedzialnych - oznajmił Steven, podnosząc papiery.

- Utrzymanie wszystkich naszych działań w tajemnicy jest absolutnym priorytetem. Nie muszę chyba tego podkreślać?

- Oczywiście.

- I twoim zadaniem będzie dopilnowanie, żeby tej tajemnicy dochowano.

- Zgadza się.

- No, to się rozumiemy.

- Rozumiemy się.

- I weź pod uwagę to, co wcześniej powiedziałem o konflikcie między interesem prywatnym i zawodowym.

- Wezmę.

Montague wyszedł, Steven patrzył na zamknięte drzwi. Aż go skręcało, żeby nazwać Montague'a paroma mocnymi słowami. Nie powinien. Cóż, było to tylko kolejne wyzwanie, któremu trzeba będzie stawić czoło w cudownym świecie handlu. Dunbar odwrócił się do komputera i zaczął przeglądać mejle.

- Jak on się czuje? - zapytała Tally, kiedy Steven wszedł do domu tuż po siódmej.

- Niedobrze.

- Już wiedzą, czy guz jest złośliwy?

- Nie. Rozmawiałem potem z lekarzem. Pokazał mi skany. Muszą to usunąć, ale nie będzie łatwo. Dają Johnowi szansę pół na pół.

W oczach Tally czaiło się pytanie.

- Pół na pół, jeśli to będzie dobry dzień - dodał.

- Mogłeś z nim porozmawiać?

- Tak, był bardzo zmęczony, ale zupełnie przy zdrowych zmysłach. Chce, żebym przejął Inspektorat Nauko-wo-Medyczny, gdyby zdarzyło się najgorsze. Odmówiłem.

- Jak to przyjął?

- Był... rozczarowany. Zdaje się, że jego zdaniem wkrótce zdarzy się coś strasznego.

- Gambit ostatniej misji - powiedziała Tally.

- Może - odparł Steven. Tally zawsze potrafiła zrozumieć gry prowadzone przez ludzi, pojąć motywy. Jak zwykle zrobiło to na nim wrażenie.

- Musiało ci być trudno odmówić umierającemu, zwłaszcza że to dobry przyjaciel. Jaki podałeś powód?

- Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby cię stracić. Odpowiedź sprawiła, że Tally zamarła. Przełknęła ślinę

i bez przekonania zmieniła temat.

- Późno wróciłeś.

- Pojechałem do mieszkania w Londynie, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. A potem, po drodze, wpadłem do pracy, żeby przejrzeć pocztę. Nie trzeba było się fatygować. Dostałem ochrzan od Lionela Montague'a, że przedkładam sprawy osobiste nad zawodowe i jak gdyby nigdy nic jadę do Londynu. Tak to widzi.

- Co? - krzyknęła Tally z oczami jak spodki. - Ale ty... Nie, nie, nie, to wszystko jest nie tak. To nie powinno się dziać... - Zaczęła chodzić po pokoju, jakby zmagając się z jakimś problemem.

- Hej, to nic takiego - próbował ją pocieszyć Steven. Był zaniepokojony i nie rozumiał jej reakcji.

Tally pokręciła głową.

- Nie. To po prostu nie tak. Oszukiwałam się. To wszystko jest złe. Miałam nadzieję, że nasze wspólne życie się ułoży, ale na to nie wygląda. Nie jesteś taki, jak inni, tylko... szczególny. I dziękuję, że próbowałeś się

zmienić ze względu na mnie. Ale nie mogę pozwolić, żeby tak było dalej. Musisz powiedzieć Johnowi, że wracasz do inspektoratu.

Steven był oszołomiony.

- Ale co z nami? Dogadaliśmy się. Zgodziłem się rzucić wszystko.

- Nie możemy żyć tak, jak sobie wymarzyłam. Po prostu muszę to zaakceptować. Jakoś przez to przejdziemy. Jesteś Stevenem Dunbarem, najlepszym z najlepszych, najdzielniejszym z dzielnych. I w istocie dzień z tobą to więcej niż całe życie spędzone z pozbawionym męskości gryziopórkiem, który liże dupę szefowi od dziewiętej do piątej i który postawiłby wyżej spółkę niż prośbę umierającego przyjaciela. Przepraszam, że chciałam cię zamienić w kogoś takiego. Bardzo przepraszam.

Steven, kiedy ją objął, poczuł jej ciepłe, wilgotne łzy na swoim policzku.

- Może powinniśmy się z tym przespać i porozmawiać rano.

- Nie. - Tally odsunęła się delikatnie, próbując odzyskać równowagę. Wytarła dłońmi łzy i przygładziła włosy, nadal związane z tyłu, tak jak nosiła je w pracy. - Podjęłam decyzję.

Spółka farmaceutyczna dostała odpowiednią rekompensatę od rządu Jej Królewskiej Mości za podebranie pracownika. Steven przeżył jakoś koszarne przyjęcie pożegnalne przy sherry w gabinecie Lionela Montague'a. Uśmiechał się, słysząc żarty, że życie w sektorze prywatnym okazało się dla niego trochę za trudne, więc zmyka do bezpiecznego sektora publicznego.

- Pacan - wyszeptała stojąca obok Rachel Collins.

Uśmiech Stevena stał się jeszcze szerszy. Był po prostu szczęśliwy, że odchodzi. Kiedy zbiegał po raz ostatni po schodach i odjeżdżał z parkingu, czuł się, jakby miał skrzydła. Razem z Tally poszli na kolację do francuskiej restauracji, tej samej, w której byli po ich pierwszym spotkaniu. Była to spokojna, przyjemna kolacja i żadne z nich nie siliło się na odgrywanie jakiejś roli. Wszystkie karty już dawno wyłożyli na stół. Nigdy nie czuli się bardziej bliscy sobie, mimo że Steven miał rano wyjechać do Londynu.

- Jakieś wieści o stanie sir Johna? - zapytała Tally.

- Żadnej zmiany. Trzyma się.

- Bez wątpienia rychły powrót najlepszego śledczego dodaje mu sił.

- Zgodziłem się tylko przyjrzeć sprawom, które go niepokoją.

Tally ujęła Stevena za rękę.

- Nie sądzisz, że mógł wymyślić całą sprawę, żebyś tylko wrócił? - zapytała poważnym tonem.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął Steven. Ulżyło mu dopiero, kiedy zobaczył, że to żart, i w odpowiedzi na jego reakcję na twarzy Tally pojawił się uśmiech.

- To dobrze, bo inaczej miałby jeszcze jeden powód do zmartwień. I ten powód trzymałby w ręku skalpel.

Następnego dnia rano Steven pojechał prosto do mieszkania w Londynie i zaparkował hondę w garażu, w piwnicy. W windzie zebrał myśli. Trzeba było jeszcze dwa razy obrócić. W Leicester zostawił tyle rzeczy, ile się tylko dało, żeby w żaden sposób nie podkreślać zmiany, jaka zaszła w jego

związku z Tally. Ogrzewanie bulgotało i trochę protestowało, ale w końcu rozprawiło się ze swoimi problemami. Zanim wyszedł do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zaczęło miarowo buczeć. Włożył ciemny garnitur i krawat. Takiego stroju wymagał Macmillan i chociaż go tam nie było, to wydawało się to jedynym właściwym ubiorem.

- Miło cię widzieć - krzyknęła Jean Roberts, kiedy Steven pojawił się w biurze. - Nie mogłam uwierzyć, kiedy usłyszałam plotki, że wracasz. Tak się cieszę, że to prawda.

Steven i Jean znali się od dawna. Miło było znowu wymieniać uprzejmości. Jean poprosiła, żeby opowiedział, co nowego u Jenny i jak jej się żyje w Szkocji, więc Steven rozgadał się o Chórze Bacha, którego członkiem była jego córka. Wreszcie zamilkli na chwilę oboje, a potem Jean zapytała.

- Będziesz korzystał z gabinetu sir Johna? Steven pokręcił głową.

- Nie, na razie skorzystam z tego mniejszego. Nie rezygnujemy jeszcze z niego. Poza wszystkim zgodziłem się tylko przyjrzeć sprawom, które go najbardziej niepokoją. Zakładam, że masz dla mnie trochę notatek?

- Właściwie całe mnóstwo. - Jean wyciągnęła kilka teczek z szuflady biurka. - Z braku jakichś konkretnych poleceń ze strony sir Johna musiałam uznać, że chodzi

o pełną relację.

- No, no - westchnął z podziwem Steven, przeglądając stos. - Od czego mam zacząć?

Jean się uśmiechnęła.

- Ile wiesz?

- Zobaczmy. Prawie dwadzieścia lat temu dziennikarz pojechał do Newcastle, żeby zebrać materiał do artykułu i nie wrócił. On, jego naczelny i parę innych osób zmarło. Oficjalnie artykuł miał dotyczyć operacji, która odbywała się w szpitalu, w którym w tym samym czasie wprowadzano nowy plan opieki medycznej. Plan ten - bardzo udane dziecko ministra zdrowia Johna Carlisle'a - został zarzucony z nieznanych powodów. Carlisle zniknął potem z pola widzenia i skończył, odbierając sobie życie w ubiegłym tygodniu. Ktoś inny związany z tym planem został wysadzony w powietrze w Paryżu. Jak mi idzie?

- Myślę, że ująłeś najważniejsze punkty.

- Tyle że większość z tego wszystkiego działa się prawie dwadzieścia lat temu - oznajmił Steven. - Co wzbudziło zainteresowanie Johna?

Jean się zamyśliła.

- Wydaje mi się, że to się stało po lunchu z Charliem Malloyem. Sir John wrócił z niego i zażądał szczegółów na temat operacji, o której wspomniałeś. Żona chirurga była jedną z osób, które zginęły w Paryżu, i jej nazwisko skojarzyło się sir Johnowi. To chyba od tego się zaczęło.

- Dziękuję, Jean. Może go znowu odwiedzę, zanim z tym zacznę.

- Przekaż mu moje życzenia.

John Macmillan odpoczywał z zamkniętymi oczami, kiedy Steven przybył do szpitala i zatrzymał się przy drzwiach. Zastanawiał się, czy po

prostu nie odejść, kiedy Macmillan wyczuł, że ktoś u niego jest, i otworzył oczy.

- Steven.

- Jak się czujesz?

- Jakbym miał guza mózgu.

- Głupie pytanie. Wyznaczyli już termin operacji?

- Na następny tydzień. Steven usiadł obok niego.

- Potrzeba więcej niż garstki komórek, żeby powalić Johna Macmillana, którego znam.

Macmillan uśmiechnął się pogodnie, jakby wiedział swoje.

- Spotkałeś się z Jean?

- Przyszedłem prosto z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dała mi teczki, które uznała za istotne. Wszystkie.

Macmillanowi udało się zachichotać.

- Przepraszam, że jest ich tak dużo.

- No to od czego powinienem zacząć?

- Od śmierci Carlisle'a. Z tym człowiekiem zawsze wiązały się jakieś dziwne wydarzenia. Myślę, że może stanowić klucz do tego, co się dzieje, cokolwiek by to było.

- Trup?

Macmillan zamknął oczy i lekko skinął głową, jakby przyjmował problem do wiadomości.

- Co oznaczają dziwne wydarzenia? - dociekał Steven.

- Wzleciał jak meteoryt i spektakularnie spadł. I z jednym, i z drugim jest coś nie w porządku.

- Okej, zacznę od tego - stwierdził cicho Steven. Widział, że Macmillan nie ma siły, żeby dalej rozmawiać. -Pogadamy po operacji.

Przy drzwiach odwrócił się, żeby popatrzeć na śpiącego. Łzy podeszły mu do gardła.

Kiedy wrócił do mieszkania i przygotował sobie kawę, postąpił według rady Macmillana. Wydzielił z teczek materiał dotyczący Johna Carlisle'a. Zabrało mu to niecały kwadrans. Dalszą godzinę stracił na lekturę raportów. I wreszcie zgodził się z Johnem Macmillanem. Z tym człowiekiem wiązały się dziwne wydarzenia. Pojawił się na scenie politycznej jakby znikąd. Po marnych wynikach w Cambridge dostał kilka etatów w City - żaden nie trwał dłużej niż pięć miesięcy - a potem wyskoczył jako kandydat w Ryleigh, w Cotswolds, siedzibie torysów. Dlaczego? Dlaczego zagwarantowano mu pewny wybór do parlamentu? O start z tego okręgu wyborczego na pewno rywalizowało wielu członków partii, bardziej zasłużonych i doświadczonych niż Carlisle.

Normalnie kandydat ubiegający się o mandat parlamentarny próbował swych sił w beznadziejnej walce, w mateczniku przeciwnika. Udowadniał tym odporność, determinację i oddanie sprawie, zanim został przyjęty przez elektorat, który mógł zapewnić szansę na wygraną. Ale nie John Carlisle.

Zmaterializował się znikąd, nowy, nieznany kandydat, w okręgu wyborczym, w którym wybraliby kukię, gdyby tylko nosiła niebieskie barwy. I wygrał miejsce w parlamencie większością ponad dziesięciu tysięcy głosów.

Steven widział w wycinkach prasowych z tamtych czasów, że Carlisle był uderzająco przystojnym mężczyzną, w typie ślicznego chłopca - bielutkie zęby, kręcone włosy. Mógł sobie wyobrazić, jak pociągał konserwatywne matrony, ale nawet wtedy... Wszystko wydawało się zbyt łatwe. Przez pierwszy rok Carlisle ani razu nie zabrał głosu w izbie, ale potem zaczął okazywać zainteresowanie Służbą Zdrowia i w ciągu następnego półtora roku przedstawił łańcuszek propozycji, jak powinno się ją zmodernizować i poprawić. Jego zainteresowanie tematem i znajomość rzeczy zdawały się pochodzić znikąd. Rok później, po reorganizacji gabinetu, uczyniono go ministrem zdrowia. Ku wielkiemu uznaniu rozpoczął na północy Anglii ambitny plan modernizacji.

Czytając dalej wycinki z tamtych czasów, Steven stwierdził, że niewiele złego mógłby powiedzieć o Północnym Planie Opieki Medycznej, chociaż jeden czy dwaj miejscowi interniści wyrazili zaniepokojenie w związku z zauważalnym brakiem wolności w przepisywaniu tego, co uznawali za stosowne. Steven przyjrzał się temu, ale nie znalazł wielu argumentów, które usprawiedliwiałyby ten niepokój. Plan zakładał, że to komputer dokonuje ostatecznego osądu, jakie lekarstwa mają dostawać pacjenci, ale było oczywiste, że komputer nie wybierał po prostu najtańszych. Skomplikowany program weryfikował wskazania lekarskie, szukał alternatyw i sprawdzał wartość całości, na podstawie opublikowanych badań, przed podjęciem

ostatecznej decyzji, co podawać pacjentowi. Jeśli dwa lekarstwa miały w literaturze jednakową wartość, wybierał tańsze.

Komputer był bezstronny, czego nie można było powiedzieć o lekarzach, na których mogły wpływać lśniąca reklamy i łapówki od spółek farmaceutycznych. Kiedy komputer dokonał wyboru, lekarstwo szybko i sprawnie dostarczano z centralnego magazynu aptecznego wprost do szpitala albo do lekarza, od którego odbierał je pacjent. Jednym pociągnięciem eliminowano krążące w systemie papiery i interpretujących je ludzi, a także potrzebę wystawiania w kolejkach do aptek, gdzie realizowano recepty. Lekarze w College Hospital i okoliczni interniści po prostu wprowadzali do programu szczegóły dotyczące pacjentów i zalecane leki, a reszty dokonywał komputer.

Steven stwierdził, że podziwia ten system. Jak w przypadku wielu dobrych pomysłów, jego jądro stanowiła prostota, a dodatkową zaletę fakt, że pieniądze zaoszczędzone poprzez usprawnienie procesu wracały do budżetu państwa. W odróżnieniu od wielu okręgów medycznych, na obszarze Newcastle nie było lekarstw niedostępnych, nawet tych najdroższych, przeciwko rakowi. Jeśli komputer zaakceptował rozpoznanie i zalecenia lekarza i nie był w stanie znaleźć lepszej alternatywy, dostarczał lekarstwo. Wszyscy byli zadowoleni z nowego planu i dawały się słyszeć głosy, żeby wprowadzić go w całej Anglii. Jedynym pytaniem, które nie dawało spokoju Stevenowi, kiedy wstał, żeby zrobić więcej kawy, było dlaczego, u licha, tak się nie stało.

Czytając dalej, Steven zrozumiał, że los Północnego Planu Opieki Medycznej był nierozdzielnie złączony z losami jego autora Johna

Carlisle'a. U szczytu sławy o Carlisle'u dyskutowano jako o przyszłym przywódcy torysów, a potem, bez oczywistych powodów, wszystko to jakby zwiędło i umarło. Północny Plan Opieki Medycznej został zamieciony pod dywan. Według relacji prasowych nastąpił „koniec etapu doświadczalnego”. Carlisle został przesunięty do innego ministerstwa, w którym stał się całkowicie anonimowym pracownikiem, zanim wyrzucono go z rządu. Został równie anonimowym parlamentarzystą z tylnych ław, aż w końcu stoczył się po równi pochyłej i nakłamał w swojej deklaracji majątkowej, zanim odebrał sobie życie. Wzlot i upadek meteorytu, jak to ujął John Macmillan.

Światło dzienne szybko przygasało, a Steven nie miał nic do jedzenia w mieszkaniu. Pomyślał, że wybierze się do nowej tajskiej restauracji, którą chciał wypróbować. Potem zadzwoni do Tally, żeby pogadać, a resztę wieczoru spędzi na przeglądaniu teczek. Jeśli poczuje się na siłach, może potem pójdzie na wieczorne zakupy do całodobowego supermarketu, żeby zaopatrzyć się w podstawowe rzeczy: bekon, jaja, ser, chleb, dżin, tonik, piwo i mnóstwo gotowych mrożonych posiłków.

Była druga w nocy, kiedy Steven skończył czytać. Wyłączył światło i oparł głowę na zagłówku fotela, żeby popatrzeć na chmury płynące pod księżycem. Chociaż zgadzał się, że w niespodziewanej odmianie losów Johna Carlisle'a i nagłym końcu doskonałego i nowatorskiego planu opieki medycznej kryła się zagadka, nie rozumiał, czym właściwie martwił się Macmillan. To wszystko wydarzyło się lata temu. Wszystko z wyjątkiem samobójstwa Carlisle'a.

Oczywiście, w Paryżu wybuchła bomba. A jedna z ofiar była zaangażowana w plan opieki medycznej przedstawiony przez Carlisle'a. Może nawet dwie, jeśli lady Antonia miała pojęcie o wszystkim, co działo się w szpitalu, w którym pracował jej mąż. Ale to nie dawało Macmillanowi żadnych podstaw, żeby wszczynać alarm.

Nieszczęśliwie się składało, że szef inspektoratu nie był w stanie podać szczegółów, które wzbudziły jego obawy. Wszystko sprowadzało się do przeczucia, ale przeczucie Johna Macmillana należało traktować śmiertelnie poważnie. Jeśli Macmillan wyczuł szczur, przychodził czas na rozstawienie pułapek. Ale nawet przewidując najgorszy z możliwych scenariuszy i zakładając, że paryski zamach bombowy był związany z planem opieki medycznej, należało odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ktoś chciałby zabijać tych ludzi dwadzieścia lat po wydarzeniach w Newcastle?

Czas kłaść się spać.

Steven rozpoczął nowy dzień od kanapek z bekonem i kawy i był zadowolony, że poprzedniego wieczoru poszedł na zakupy, chociaż nie lubił tego robić. W późnych nocnych wizytach w supermarketach widział coś podobnego do odwiedzania restauracji na krańcu wszechświata. Ale na szczęście miał tylko kilku towarzyszy podróży, w dodatku rozproszonych, i do kasy dotarł szybko.

Postanowił spędzić cały ranek na studiowaniu reszty teczek, tym razem skupiając się na innych rzeczach niż to, co zdarzyło się na północy Anglii, w czasach, kiedy wprowadzano plan opieki medycznej. Miał nadzieję, że znajdzie jakiś związek, powiązanie, nici, które sprawią, że poczuje ten sam niepokój co Macmillan.

Przeszły go dreszcze, kiedy czytał historię o chirurgu, który umarł podczas operacji, zostawiając współpracownikom koszmar dokończenia zabiegu bardzo odległego od rutynowo wykonywanych. Łatwo zrozumieć, dlaczego zainteresowała się tym prasa ogólnokrajowa i dokoła sprawy zaczął węszyć James Kincaid.

Pacjentka doktora Freemana, Greta Marsh, mimo tragicznej śmierci lekarza prowadzącego, wracała podobno do zdrowia i mogła nawet wystąpić na konferencji prasowej - mimo to, że niemal całe jej ciało było pokryte bandażami. Miało to upewnić wszystkich obserwatorów zainteresowanych tematem, że operacja się udała i nie ma żadnych powikłań. Spodziewano się przecież, że zabieg może uszkodzić wzrok. Niby wszystko wydawało się w najlepszym porządku, ale zaraz potem przytrafiła się kolejna straszliwa rzecz.

Kincaid został zamordowany z zimną krwią wraz z pielęgniarką, która z nim wtedy była. Uważano, że zabójcy byli członkami dużego gangu narkotykowego. Ten sam gang obwiniano o śmierć Neila Tolkiena, miejscowego internisty zaangażowanego w leczenie narkomanów. Steven uśmiechnął się blado, gdy zobaczył to nazwisko, myśląc, jak bardzo Shire różniło się od okolic Newcastle w początkach lat dziewięćdziesiątych. Gang obarczono też winą za śmierć szefa farmacji Północnego Planu Opieki Medycznej, Paula Schreiber, i dwóch pielęgniarzy, na których bandyci natrafili podczas napadu na szpitalną aptekę.

Steven zmarszczył brwi głównie z powodu przyczyny śmierci. Kincaida i pielęgniarkę zastrzelono, ale Tolkienowi wstrzyknięto wybielacz. Jeden z pielęgniarzy został dźgnięty nożem, drugi zginął w pożarze laboratorium.

Naczelnego Kincaida, noszącego nazwisko Fletcher, także zamordowano. Ale stało się to w Londynie, a prawdopodobnym motywem była chęć powstrzymania publikacji reportażu Kincaida o baronach narkotykowych działających na północy.

- Jacy baronowie narkotykowi działają na północy? -Wymamrotał Steven, któremu nie udało się znaleźć żadnej Wzmianki o tym, żeby którakolwiek ze spraw, o których teraz czytał, zakończyła się sukcesem, rozprawą sądową i skazaniem winnych. Siedem morderstw i ani jednego aresztowania? Jeśli szukał przyczyny niepokoju Macmillana, to chyba szedł we właściwym kierunku. Dlaczego nikogo nie Postawiono przed sądem? Z pewnością odbyłby się wtedy jakiś publiczny protest... Ale jak widać, nie było takiego. Kiedy kurz osiadł, Północny Plan Opieki Medycznej po prostu anulowano, a kariera Johna Carlisle'a rozwiała się jak dym. Skończyły się też doniesienia o tym, co gazety nazywały wojną narkotykową. Życie, na pozór, w rekordowym czasie wróciło do normy.

Konserwatyści wrócili w 1992 roku i mianowano nowego ministra zdrowia. Ogłoszono koniec Północnego Planu Opieki Medycznej i przez kolejne pięć lat panował względny spokój, póki obywatele nie odwrócili się od torysów i do władzy nie doszli Nowi Laburzyści. Teraz, po prawie trzynastu latach, w przeddzień wyborów, znów zanosilo się na zmianę. I ten scenariusz zbiegał się ze śmiercią dwojga, może trojga ludzi, którzy byli zaangażowani w plan opieki medycznej, we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Przypadek czy może coś więcej?

Steven uznał, że za długo przebywa w mieszkaniu, a siedzenie w jednej pozycji sprawiło, że rozboleły go plecy. Słońce tak świeciło, że trudno było

nie ulec pokusie i nie wybrać się na spacer, nad rzekę. Miał nadzieję, że świeże powietrze rozjaśni mu w głowie - tyle rzeczy musiał jeszcze przemyśleć. Potrzebna mu była jakaś hipoteza robocza, ale na razie miał wrażenie, że szuka ogólnej teorii wszechświata - zawsze znajdował jakiś fragment, który nie pasował do całości. Macmillan zasugerował, że kluczem do tych wszystkich wydarzeń jest John Carlisle, więc Steven skupił się na nim.

Załóżmy, że Carlisle zawsze był nieuczciwy, a tylko ostatnio mu to udowodniono. Załóżmy, że był zamieszany w coś nie całkiem legalnego w czasach, kiedy sprawował funkcję ministra zdrowia i wprowadzał nowy plan opieki medycznej. Czy jest do pomyślenia, że dowiedziała się o tym i zepchnęła go na margines jego własna partia, która potem zmontowała jakąś przykrywkę, żeby uniknąć skandalu? Wtedy, w 1992 roku, obejmująca władzę konserwatywna administracja mogła go odsunąć na bok - co w istocie zrobiła - i zmusić do milczenia, grożąc tym, co na niego mają. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego anulowali nowy plan opieki medycznej, skoro tak dobrze działał.

To nie miało sensu. Politycy nie lekceważą sukcesu, a plan, najwyraźniej, był wielkim sukcesem. Oczywiście, że nowy minister zdrowia kontynuowałby to dzieło i wprowadził plan w całym kraju, ku ogólnemu zadowoleniu społeczeństwa. Tymczasem zarzucono sprawę, nadając jej etykietkę eksperymentu - nieudanego, skoro z niego zrezygnowali. Steven musiał coś przeoczyć.

Może to miało związek z samym planem ochrony medycznej, zastanawiał się. Z jakimś równoległym kantem, może z zaopatrzeniem w

lekarstwa albo cenami? Po chwili uznał to za jeszcze bardziej niedorzeczną teorię. Nawet jeśli Carlisle był najbardziej skorumpowanym z ludzi, pewnie nie chciałby tworzyć zagrożenia dla swojej błyskotliwej w owym czasie kariery i rezygnować z kierowania własną partią dla paru groszy na boku. To nie był dobry punkt zaczepienia.

Po powrocie do domu Steven doszedł do wniosku, że musi więcej dowiedzieć się o Johnie Carlisle'u. Jakim człowiekiem był naprawdę. W tej chwili wydawał mu się to obiecującym przyszłym przywódcą partii i ewentualnym premierem, to nieuczciwym małym zerem przyłapanym na machlojkach z wydatkami. Carlisle nie żył, ale została po nim wdowa, która mieszkała w hrabstwie Kent.

Pomysł był nieudany od samego początku. Torysowskie żony były ślepo lojalnie, jeśli chodziło o kogoś z zewnątrz. Stały wiernie u boku męża i było to dla nich bardziej naturalne niż dla Tammy Wynette.

Potrzebował raczej wymiany zdań z jednym z oponentów Carlisle'a, współczesnym mu, który po wszystkich tych latach mógł przedstawić bezstronną ocenę. Poprosi Jean Roberts, żeby znalazła kogoś, kto wtedy był w zespole zdrowia laburzystów i, jeśli to możliwe, żeby umówiła go na rozmowę.

Trzy dni później Steven jechał do Yorkshire na spotkanie z Arthurem Bleasdale'em, emerytowanym parlamentarzystą laburzystów z Knowesdale, a zarazem człowiekiem, który był cieniem Johna Carlisle'a i jego następcy aż do własnej emerytury przed wyborami w 1997 roku. Dunbar postanowił odwiedzić tego człowieka, bo w drodze powrotnej chciał zatrzymać się w Leicester.

- Miło, że zgodził się pan na spotkanie - powiedział Steven, kiedy pani Bleasdale wprowadziła go do wielkiego salonu z oknami wykuszowymi, który znajdował się we frontowej części willi na przedmieściach Knowesdale.

- Nie mamy tu ostatnio tak wielu gości, chłopcze - odparł Bleasdale, wstając sztywno z fotela, żeby podać rękę. - Siadaj, proszę.

Steven natychmiast polubił tego człowieka. Był może po siedemdziesiątce i, sądząc po sękatych dłoniach i sztywnych ruchach, cierpiał na artretyzm. Ale na głowie miał gęstwę białych włosów, a jasne, niebieskie oczy nie potrzebowały okularów. Ton głosu i fakt, że patrzył Stevenowi prosto w oczy, kiedy się do niego zwracał, świadczyły o uczciwości.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Jestem pewien, że musiał pan słyszeć o śmierci Johna Carlisle'a - zaczął Steven.

- Tak, słyszałem.

- Musiał go pan dobrze znać.

- Można tak powiedzieć. Przez parę lat, gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych, byłem jego odpowiednikiem w gabinecie cieni.

- W czasach Północnego Planu Opieki Medycznej?

- Zgadza się.

- Co pan myślał o tym planie?

- Nie mogłem tego wtedy powiedzieć, ale wydawał się genialny, sprawdzał się jak marzenie. Pozostało mi pytać, dlaczego nie zrobili tego wcześniej - przypominał sobie Bleasdale z urywanym śmiechem. - Nie udało mi się wymyślić niczego więcej, żeby krytykować.

- Więc był pan zwolennikiem Johna Carlisle'a? - zapytał Steven i natychmiast zdał sobie sprawę z błędu, więc dodał. - No, niezupełnie zwolennikiem, byliście w końcu politycznymi przeciwnikami, ale podziwiał pan jego zdolności?

- Nie, nigdy ich nie podziwiałem - odparł Bleasdale. Steven lekko się zdumiał.

- Ale uważał pan jego plan za genialny.

- Bo to był genialny plan.

- Przepraszam?

- Tego na pewno nie wymyślił John Carlisle, chłopcze. Nie dałbym grosza za jego zdolności. Był głupi jak but.

- Minister w rządzie?

- Który unikał wywiadów jak zarazy. Ile razy występował publicznie, czytał przygotowaną mowę. Ktoś inny pociągał za sznurki, dałbym sobie za to rękę uciąć.

Steven pomyślał, że wreszcie do czegoś dochodzi.

- Nie wie pan przypadkiem kto? Bleasdale pokręcił głową.

- Myślę, że nawet członkowie jego partii nie mieli bladego pojęcia o tym, co się dzieje.

- Nawet koledzy z gabinetu? Bleasdale wybuchnął śmiechem.

- To brzmi jak jakiś chory żart, kiedy tak to ujmujesz, ale nie sędzę, żeby ktokolwiek był wtajemniczony w ten przekręt. Czuło się pewną powściągliwość, jeśli w tamtych czasach rozmowa schodziła na Złotego Chłopca. Jakby szkodziło to czyjejs... karierze? Nie wiem. Ale torysi po prostu zaakceptowali, że siedzi obok nich palant. I jakoś z tym żyli.

- Dlaczego, na nieba, godzili się na taką sytuację?

- Bo ten ktoś, kto stał za Carlisle'em, okazał się cholernie dobry - wyjaśnił Bleasdale. - Północny Plan Opieki Medycznej był genialny i prawdopodobnie stanowił powód, dla którego torysi wrócili do władzy w 1992 roku. Poza tym dobra prezencja Carlisle'a dawała im furę głosów. Paniusie z hrabstw robiły się wilgotne na sam jego widok.

Steven się uśmiechnął.

- Ale potem wszystko poszło źle? Bleasdale się zamyślił.

- Tak, poszło źle. Chociaż, ni diabła, nie wiem dlaczego.

- Żadnego pomysłu?

- Pamiętam, że wtedy w Newcastle wybuchła wojna narkotykowa. Ludzie umierali i nagle wszystko się skończyło. Carlisle'a przeniesiono do jakiegoś ministerstwa zajmującego się przepisami handlu europejskiego, a kobieta, która przejęła Ministerstwo Zdrowia, porzuciła plan Carlisle'a. Gdybym został po dziewięćdziesiątym siódmym, z radością podkradłbym

pomysł i wprowadził go ponownie bez namysłu - dodał Bleasdale, chichocząc zaraźliwie. - A teraz siedziałbym w tej cholernej Izbie Lordów.

- Dlaczego odszedł pan z parlamentu? Bleasdale wzruszył ramionami.

- Partia się zmieniła, chłopcze. Przyszedł Blair. Jeśli o mnie chodzi, Nowi Laburzyści to starzy torysi. Nie podobali mi się ani jedni, ani drudzy.

Steven pokiwał głową.

- Wygląda na to, że kraj wkrótce się z panem zgodzi. Dziękuję za pomoc. Jestem bardzo zobowiązany, proszę pana.

- Mów mi po imieniu, chłopcze. Ale, zanim pójdziesz, wyjaśnij dlaczego Inspektorat Naukowo-Medyczny się tym interesuje?

Steven zapytał Bleasdale'a, czy czytał o wybuchu w paryskim mieszkaniu.

- Tak, czytałem.

- Przynajmniej jedna z ofiar morderstwa miała coś wspólnego z Północnym Planem Opieki Medycznej, może dwie. A zaraz potem John Carlisle odebrał sobie życie...

Bleasdale pokiwał głową.

- Wiesz, nigdy nie pomyślałbym, że będzie go na to stać. Na to trzeba odwagi, chłopcze. Całe to gadanie o łatwym wyjściu to bzdury. To wcale niepodobne do Carlisle'a.

Steven zapisał to sobie w pamięci.

- Sporo ludzi zginęło wtedy w Newcastle - ciągnął w zamyśleniu Bleasdale. - Ludzi z College Hospital i z okolicy.

- W wojnach narkotykowych... - powiedział Steven tonem, który sprawił, że Bleasdale odczytał zawarte w nim powątpiewanie i zbył je lekkim wzruszeniem ramion.

- Hm, to było tak cholernie dawno.

Steven wstał, żeby wyjść. Podał Bleasdale'owi rękę, jeszcze raz mu podziękował i poprosił, żeby nie wstawał.

- Daj mi znać, jak ci poszło, chłopcze.

Do mieszkania Tally dotarł tuż przed dziewiątą wieczór.

- Jak się masz? - mruknął jej do ucha, kiedy się obejmowali.

- Jestem wykończona.

- Szkoda.

Tally odsunęła się trochę, uśmiechnęła się i odparła:

- Nie aż tak wykończona. Drinka?

Usadowili się na kanapie, popijając dzin z tonikiem. Tally przytuliła się do ramienia Stevena, a on oparł stopy o podnózek.

- No, opowiedz mi o tym.

- Jestem w gęstym lesie - wyznał. - Nadal nie mam pewności, o co w ogóle w tym wszystkim chodzi.

- Wiedziałaś. To była sztuczka, żebyś wrócił. Steven odrzucił z uśmiechem tę uwagę.

- Trafiłem na całe mnóstwo zagadkowych rzeczy, ale na razie nie wiem, jak do siebie pasują.

- Daj mi szansę. Zawsze byłem dobra w układaniu puzzli.

Steven powiedział Tally, co robił i o spotkaniu z Bleas-dale'em.

- Wiesz, to mi przypomina film, który kiedyś widziałam - zauważyła Tally - Kandydat opowiada o komunistycznym spisku, żeby postawić swojego człowieka na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Pamiętam - odparł Steven. - W wersji z sześćdziesiątego drugiego grał Frank Sinatra. Ale nie wydaje mi się, żeby John Carlisle przeszedł pranie mózgu. Był po prostu głupi.

- Przystojny figurant bez grama charakteru - przytaknęła. - To nie takie znów niezwykle w polityce, jeśli się nad tym zastanowić.

- Zgadza się - rzekł Steven. - Ale ludzie stojący za Carlisle'em byli tacy dobrzy, że nikt w partii nie narobił szumu. Bo skoro ich tajny plan tak doskonale służył modernizowaniu i ulepszaniu Narodowej Służby Zdrowia, to niby dlaczego mieliby się burzyć? A potem coś poszło źle i wszystko zniknęło w bałaganie niewyjaśnionych morderstw.

- Wydawało mi się, że mówiłeś o wybuchu wojny narkotykowej?

- To była wersja oficjalna.

- Nie wierzysz w to?

- Nie było żadnych aresztowań.

- Mam propozycję - powiedziała Tally po krótkim namyśle.

- Hm?

- Chodźmy do łóżka.

Nawet nie zapytałem o twoją matkę - przypomniał sobie Steven. I nagle poczuł się winny, że ta myśl wpadła mu do głowy dopiero podczas śniadania. - Czy twoja siostra pojawi się w weekend? Tally kiwnęła głową.

- Nie martw się. Masz mnóstwo na głowie w związku z chorobą Johna i innymi rzeczami. Zgodziłyśmy się, że poszukamy jakiegoś domu. Dziś wieczór mam jeden obejrzyć.

Steven kiwnął głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Chciałby stwierdzić, że prawdopodobnie to najlepsze rozwiązanie, ale widział, jak ta myśl rani Tally.

- Mam nadzieję, że to ten właściwy. Tally wstała i zaczęła uprzątać talerze.

- Wielki dzień Johna - przypomniała.

- Operację wyznaczono na jedenastą.

- Daj mi znać, kiedy się czegoś dowiesz. Najlepiej wyślij esemes.

Obiecał, że zawiadomi ją, kiedy tylko się czegoś dowie.

- Zostaw to - powiedział, kiedy Tally zaczęła zmywać. -Nie spieszy mi się. Pozmywam przed wyjściem.

- Dziś po południu jest spotkanie starszego personelu medycznego - oznajmiła Tally, osuszając ręce. - Myślę, że to ma coś wspólnego z tym nowym porozumieniem w sprawie szczepionek, ze spółkami farmaceutycznymi, tym, o którym mówiliśmy.

- Dlaczego ma cię to dotyczyć?

- Chyba będą nas prosili, żebyśmy zaproponowali priorytety - zastanawiała się Tally. Włożyła kurtkę i podeszła, żeby pocałować go na do widzenia.

- Podejrzewam, że ludzie od obrony królestwa będą mieli pierwszeństwo - stwierdził.

- Nic się nie stanie, jeśli poznają nasze poglądy. Nie wszyscy jesteśmy pesymistami w kwestii bioataku. Nie zapominajmy o broni masowego rażenia. Nadal szukają?

Steven się uśmiechnął.

- Kocham cię.

- Też cię kocham.

Steven pojechał z powrotem do Londynu. Zastanawiał się, jaki powinien być jego następny ruch, ale niepokój o życie Johna i wynik operacji sprawiała, że nie mógł się na niczym skupić. Jeśli John umrze, czy naprawdę powinien zająć jego stanowisko? A jeśli do tego dojdzie, czy władze dadzą mu szansę? Może i jest następcą, którego wybrałby John, ale jeśli w pobliżu zabraknie Macmillana, który miałby ostatnie słowo, rząd, nowy czy stary, może zwietrzyć okazję do wtrącania się w sprawy inspektoratu. A Steven

przez ostatnie lata napsuł sobie trochę stosunków, więcej niż trochę, jeśli ma być uczciwy.

Ale jeśli John to przetrzyma i znów chwyci ster, to czy powinien odejść, czy pozostać? Tally nalegała, żeby wrócił do Inspektoratu Naukowo-Medycznego, ale słusznie bądź niesłusznie czuła się wtedy winna. A to może się zmienić pod wpływem stresu. No i chodziło też o jego uczucia.

O zasady, które teraz nie były takie jasne, po tym jak doświadczył życia na tym cholernym, beznadziejnym stanowisku konsultanta w Ultramedzie.

- Cholera, nie wiem! - krzyknął, kiedy wjeżdżał na przedmieścia stolicy. Było po prostu za dużo zmiennych... jak w tej sprawie, w której teraz prowadził śledztwo. Postanowił zostawić samochód pod domem i zrobić sobie spacer do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, żeby poczekać na wynik operacji Johna razem z Jean Roberts.

Kiedy się pojawił, Jean szeroko się uśmiechnęła.

- Tak się cieszę, że nie siedzę tu sama dzisiaj rano -powiedziała. - Jak ci poszło na północy?

- Bleasdale okazał się bardzo pomocny. Dziękuję za umówienie spotkania. Wyszło na to, że Carlisle był figurantem.

- Większość mężczyzn to figuranci - stwierdziła Jean. -Nie licząc tu obecnych - szybko dodała.

Steven się uśmiechnął. Wiedział, że Jean nie wyszła za męża, i zastanawiał się, czy jej komentarz nie wynikał z jakiegoś życiowego i

niezbyt miłego doświadczenia. Ale nie chciał ciągnąć tej rozmowy. Zobaczył, że wskazówki na zegarze dochodzą do jedenastej.

- Szczęścia, John - rzucił cicho.

- Amen - dodała Jean.

Steven stwierdził, że wyobraża sobie zapach palonej kości na sali operacyjnej, kiedy chirurgiczny trepanator usuwa fragment czaszki Johna Macmillana, żeby umożliwić dostęp do mózgu. Próbował odegnać ten obraz.

- Jean, skąd John wiedział, że Charles French, zamordowany w wybuchu w Paryżu, był jednym z zaangażowanych w Północny Plan Opieki Medycznej?

Jean się zamyśliła.

- Chyba zorientował się po nazwisku.

- Myślisz, że po tylu latach pamiętał Charlesa Frencha jako człowieka zajmującego się tamtą reformą?

- Nie. Chyba nie tak... Niech pomyślę... Charlie Mal-loy powiedział mu, że Charles French wynajął mieszkanie w Paryżu i zginął w wybuchu... Zidentyfikowano także Antonię Freeman, a sir John pamiętał, że była żoną doktora Freemana... Potem John Carlisle odebrał sobie życie i poproszono mnie o wyszukanie informacji o planie opieki medycznej. Sir John musiał zobaczyć to nazwisko w materiałach, które mu dałam na ten temat.

- To ma sens - przytaknął Steven. - Co wiemy o Fren-chu?

- Głównie to, co Malloy powiedział sir Johnowi. Był absolwentem Cambridge, dyrektorem generalnym Deltasoft Computing i cieszył się nieskazitelną opinią.

- Carlisle uczęszczał do Cambridge. - Steven rozmyślał na głos.

- Uważasz, że mogli się znać podczas studiów?

- Warto to sprawdzić.

- Zgadza się. Właściwie, przypomniałam sobie coś innego. John w zebranych przeze mnie raportach zobaczył nie tylko nazwisko Charlesa Frencha, ale też nazwę spółki. French kierował Deltasoftem, kiedy wprowadzano plan opieki medycznej.

- Masz rację. Powinienem od tego zacząć. Dobra robota, Jean. Więc jego wkład prawdopodobnie polegał na dostarczaniu software'u do przeprowadzenia operacji.

- Brzmi logicznie.

- Spory wkład, bo komputery nie były takie jak dzisiaj... Może to nasz człowiek stojący za figurantem?

- Co mam zrobić? - zapytała Jean.

- Sprawdź, czy Charles French i John Carlisle studiowali w Cambridge w tym samym czasie. Od tego zaczniemy.

- Się zrobi - odparła Jean. Popatrzyła na zegar. - Za wcześnie, żeby dzwonić? - zapytała.

- Chyba tak. Chirurgia mózgu jest skomplikowana i czasochłonna.

Steven zatelefonował o wpół do drugiej. Powiedziano mu, że Macmillan nadal jest na sali operacyjnej. zaproponował Jean, żeby poszła na lunch, i czekał z drugim telefonem, aż wróci. Operacja już się skończyła: chirurdzy uważali, że udało im się usunąć całego guza, który okazał się łagodny. Zaznaczyli jednak, że tylko czas może określić poboczne zniszczenia wywołane jego usunięciem. Na razie pacjent był stabilny i spał spokojnie.

- Na razie jest dobrze - ucieszyła się Jean. Ale oboje zastanawiali się, co mogą znaczyć „poboczne zniszczenia”. Nie wyrazili jednak głośno swoich obaw.

Steven wyszedł, żeby kupić kanapkę i zaczerpnąć świeżego powietrza, a Jean zaczęła poszukiwania dotyczące studiów Carlisle'a i Frencha. Kiedy wrócił, miała odpowiedź.

- Byli w Cambridge jednocześnie, ale w różnych col-lege'ach.

- Ten sam kierunek?

- Nie. Carlisle ukończył historię ze słabym wynikiem, French z bardzo dobrym matematykę i fizykę.

- Więc mogli się nie znać - powiedział w zamyśleniu Steven.

- Pracuję nad tym. Moje źródło oddzwoni za parę godzin.

- Okej. Chyba pójdę do szpitala i zobaczę, czy uda mi się porozmawiać z żoną Johna.

- Pewnie będzie jej potrzebna odrobina wsparcia.

Steven nie zabawił w szpitalu długo, bo nie można tam było niczego zrobić, tylko czekać, a to zawsze lepiej zostawić rodzinie. Zapewnił żonę

Johna, że pracownicy inspektoratu są przy niej cały czas myślami, i wyraził radość, że guz okazał się łagodny i chirurdzy wycięli go w całości. Potem wrócił do mieszkania na Marlborough Court.

Jean zadzwoniła, kiedy robił kawę.

- Znali się - powiedziała. - Obaj byli członkami klubu konserwatywnego przez cały czas studiów w Cambridge.

- Dobra robota. Teraz coś mamy.

- Jest więcej. French miał kłótnię z innymi członkami klubu na początku ostatniego roku i odszedł, żeby stworzyć oddzielną frakcję, zabrał ze sobą sporo członków. Moje źródło uważa też, że były tam jakieś problemy z policją, a później French stanął przed sądem, ale nie zna szczegółów. Chcesz, żebym się tym zajęła?

Steven przemyślał to, co usłyszał.

- Nie, chyba zapytam o to Charliego Malloya. I tak chciałem z nim porozmawiać o innych, którzy zginęli w Paryżu. Jean, myślałem o czymś. Może w końcu powinienem zamienić słowo z żoną Johna Carlisle'a. Dałabyś radę to zorganizować?

- Zrobi się.

Steven zadzwonił do Malloya.

- Słyszałem, że wróciłeś - powiedział Malloy. - Ale w niepomyślnych okolicznościach. Jak on się czuje?

Steven naprędce poinformował Malloya o stanie zdrowia Johna Macmillana.

- Porządny facet ten twój szef.

- Owszem - zgodził się Steven. - Charlie, ten Charles French, który zginął w Paryżu, ma jakąś kartotekę policyjną?

- Kartotekę policyjną? Hm, jest ofiarą, a nie podejrzanym. Nawet nie jestem pewien, czy go sprawdzaliśmy po identyfikacji. Prawdopodobnie nie mieliśmy powodu, kiedy tylko ustaliliśmy, że był milionerem, szefem spółki komputerowej i filarem lokalnej społeczności.

- Myślę, że mógł mieć jakieś problemy, kiedy studiował w Cambridge.

- To nie było wczoraj - powiedział Malloy.

- Nie, raczej bardzo dawno temu - zgodził się Steven. -Może macie akta o innych zabitych w wybuchu?

- Skoro uważasz, że to niezbędne...

- Będę zobowiązany, Charlie. Chwytam się każdej możliwości, przyznaję, ale to pomysł Johna i skoro on uważał, że warto się tym zająć...

- Jasne. Będę w kontakcie.

Telefon zadzwonił, ledwie skończył rozmowę. Jean pytała, czy mógłby spotkać się z Melissą Carlisle u niej w domu, w Markham House w hrabstwie Kent, o jedenastej rano następnego dnia.

- Potem wyjeżdża za granicę i nie wie, kiedy wróci -wyjaśniła sekretarka.

- Doskonale.

O siódmej wieczór, kiedy już zaczynał myśleć, że Malloy zadzwoni następnego dnia, odezwał się dzwonek telefonu.

- Miałaś rację. French posiada kartotekę z 1975 roku. Najwyraźniej był mocno zaangażowany w politykę na uniwersytecie, ale pokłócił się z konserwatystami i zorganizował konkurencyjną grupę, która pod jego kierownictwem zbierała siły. Ich zwyczajem było zapraszanie rozmaitych prawicowych mówców na wiece, co irytowało ich kolegów ze studiów. Kiedy French i jego chłopaki zaprosili południowoafrykańskiego polityka, który nie cieszył się najlepszą sławą ze względu na liberalne poglądy na temat rasy, lewicowcy zorganizowali wiec protestacyjny i udało im się nie dopuścić do spotkania. French stracił panowanie nad sobą i rzucił się na jednego z protestujących. Według świadków zachowywał się jak szaleniec. Facet stracił jedno oko, a French został oskarżony o spowodowanie ciężkich obrażeń fizycznych.

- Nie najlepszy początek dla obu - zdziwił się Steven.

- French wywinął się grzywną.

- Co?

- Sędzia zobaczył w tym skutek młodzieńczej pasji, która trochę wymknęła się spod kontroli. Nie widział powodu, żeby niszczyć przyszłą karierę genialnego studenta.

- Kto przewodniczył ławie sędziowskiej? - Steven zapisał nazwisko. - Coś na innych z Paryża?

- Czyści jak świeży śnieg, chyba że uznasz przekazywanie dużych sum dla Partii Konserwatywnej za przestępstwo.

- Jestem ci bardzo zobowiązany, Charlie.

Po rozmowie Steven spojrzał na nazwisko sędziego w leżącym przed nim notatniku, słowa „młodzieńcza pasja” krążyły mu po głowie.

- Chyba trochę pobłaźliwie jak na stratę oka, psze sądu - wymamrotał, włączając laptop i zabierając się do wyszukiwania informacji o sędzim w Google. Okazało się, że „dobry sędzia” wcale nie cieszył się reputacją pobłaźliwego w swojej karierze. Przeciwnie, był znany z surowych orzeczeń. Jeden z obserwatorów zauważył, że rozgoryczenie wywołane faktem, iż nie ma już wśród kar stryczka ani chłosty, wywołało uraz. Sędzia najwyraźniej wylewał swe frustracje na każdym, kto miał to nieszczęście, że stanął przed nim i został uznany za winnego.

- Więc dlaczego był taki łaskawy dla Frencha? - mruknął Steven i cynicznie pomyślał, że może Wysoki Sąd sam był absolwentem Cambridge... Nie, to nie o to chodziło. Dunbar przejrzał akta i dowiedział się, że sędzia zmarł w 1988 roku, zostawiając żonę Matildę i córkę Antonię, która wyszła za chirurga Martina Freemana. Wnuków nie było.

Steven wpatrywał się w ekran. Sędzia, który ukarał Charlesa Frencha tylko grzywną, był ojcem Antonii?

Steven zadzwonił do Tally, żeby omówić z nią wydarzenia.

- Dostałam twój esemes - powiedziała. - Cieszę się, że udało im się usunąć całego guza.

Przytaknął.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać na wiadomość, czy operacja nie uszkodziła zanadto mózgu.

- Zakładam, że nie ryzykowali domysłów?

- Znasz chirurgów.

- Mhm.

Opowiedział jej, na co natknął się w ciągu dnia.

- To brzmi, jakbyś robił postępy.

- Udało mi się skojarzyć Carlisle'a i Frencha, studiowali w Cambridge, w tym samym czasie - zgodził się. - Wiem też, że mieli wspólne zainteresowania polityką na prawo od centrum. Ale niemal nie wierzyłem własnym oczom, gdy ojciec Antonii Freeman okazał się sędzią, który odpuścił Frenchowi winy, gdy oskarżono go o poważne uszkodzenia ciała. To już naprawdę coś. Nie spodziewałem się tego.

- Dlaczego tak postąpił?

- Trudno powiedzieć. Skłaniam się ku myśli, że musiał mieć ku temu jakiś dobry powód... Coś, co jeszcze muszę ustalić. I powinienem dowiedzieć się jeszcze czegoś innego... - Steven się zamyślił.

- Dziwnym trafem French i córka sędziego, który uratował mu tyłek, wylecieli w powietrze razem w Paryżu jakieś dwadzieścia lat później - stwierdziła Tally. - Co z tym zrobisz?

- Najpierw muszę porozmawiać z żoną Carlisle'a. Jutro się z nią spotkam.

- Z wdową po nim - poprawiła go Tally. - Jak sądzisz, co ci powie?

- Może się dowiem, czy French rzeczywiście był mózgiem stojącym za jej mężem. Przypuszczenia są jak cienki lód, byłoby miło, gdybym miał coś solidniejszego pod nogami.

- Szczęścia - rzuciła Tally, ale w jej głosie dało się słyszeć wątpliwość.

- Wiem, że to niepewna sprawa, ale warto spróbować. Jak poszło twoje zebranie?

- Tylko przedstawiano szczegóły nowego planu i pytano o nasze opinie. Rząd ogłosił już przetarg i próbuje go rozstrzygnąć. Potem zamówią różnorodny asortyment szczepionek, coś jak główną dostawę, która ma zabezpieczyć kraj w pierwszym rzucie. W razie jakiejś epidemii powinno starczyć szczepionek na kilka dni, żeby nie powtórzyła się sytuacja ze świńską grypą, kiedy zabrakło preparatów w aptekach. Dzięki temu ludzie będą mniej narażeni na zachorowania.

- Czy to w porządku, że Ministerstwo Obrony jako pierwsze wypowiedziało się, jakie szczepionki mają być produkowane?

- Tak. I, niespodzianka, to ma pozostać tajemnicą.

- Domyślam się, że podjęli trudną decyzję, mieli niełatwy wybór.

- Rzeczywiście.

- Hm, o ile nie zaczną się spierać o szczegóły, wkrótce wszystko się rozkręci.

- Możesz mieć rację.

- A na szczęśliwą nutę... Co powiesz? - spytał.

- Hm, myślisz, że uda ci się wstać w weekend?

- Z pewnością to planuję, chyba że los zrządzi inaczej.

- Nie zakochaj się jutro w nieutulonej w żalu wdowie -rzuciła żartobliwie.

Steven znów zaczął myśleć o śledztwie. Zbierał kawałki puzzli, ale nadal nie wiedział, jaki rysunek był na pudełku. Potrzebował chociaż szkicu. Wyjął notes i zaczął spisywać wszystko, czego dowiedział się do tej pory.

John Carlisle, wykształcony w Cambridge, ale nie za mądry, zainteresowany polityką - przystojny figurant, za którym stali bardziej rozgarnięci ludzie. Doszedł do rangi ministerialnej z pewną pomocą ze strony przyjaciół, obdarzony uznaniem za opracowanie Północnego Planu Opieki Medycznej, który prawdopodobnie wcale nie wyszedł spod jego ręki. Usunął się z pola widzenia, a potem odebrał sobie życie, kiedy ujawniono jego oszustwa związane z oświadczeniem majątkowym.

Charles French, wykształcony w Cambridge, genialny, miał najlepsze oceny - bardzo zainteresowany polityką, zamieszany w nieprzyjemny incydent i oskarżony o ciężkie naruszenie ciała, ale uratowany dzięki nadmiernej pobłażliwości sędziego. Założył Deltasoft, spółkę software'ową, która była zaangażowana w Północny Plan Opieki Medycznej. Zrobił karierę i został dużym graczem w świecie komputerowym. Zamordowany w Paryżu.

Antonia Freeman, żona chirurga, sir Martina Freemana, operującego w tym samym szpitalu, w którym wypróbowywano Północny Plan Opieki Medycznej, a jednocześnie, i co może nawet ważniejsze, córka sędziego,

który uwolnił Charlesa Frencha od zarzutów, gdy oskarżono go o ciężkie uszkodzenie ciała. Zamordowana w Paryżu.

Steven czytał notatki raz po raz i bazgrał długopisem po brzegu kartki. Frenchowi nie upiekło się tak całkowicie, przypomniał sobie. Sędzia ukarał go grzywną. Jako kara to pewnie nic wielkiego, ale wystarczyło, żeby znalazł się w rejestrze skazanych za szczególnie paskudne przestępstwo. Taka rzecz na pewno odbiłaby się rykoszetem, gdyby próbował na własną rękę robić karierę polityczną. Z drugiej strony, nic nie mogło go powstrzymać od podstawienia figuranta i działania w jego cieniu, z dala od publiczności i zainteresowania prasy.

Wszystko wskazywało na to, że French był mózgiem stojącym za poczynaniami Carlisle'a. Razem studiowali, obaj należeli do klubu konserwatystów, a później spółka Frencha dostarczała skomplikowanych programów do innowacyjnego planu opieki medycznej w Newcastle.

Steven stwierdził, że na razie jego wnioski dają więcej pytań niż odpowiedzi. Niezależnie od tego, jak wspaniałym studentem byłby French, a później jak genialnym planistą software'u, nie miał najmniejszych możliwości, żeby zagwarantować Carlisle'owi bezpieczne zdobycie mandatu, a potem wygładzić mu drogę do sukcesu w parlamencie. Musiał być w to zaangażowany ktoś inny... Nieznana osoba lub osoby. To nie Północny Plan Opieki Medycznej łączył tych ludzi. Istniało coś jeszcze, coś większego, jakaś grupa bądź stowarzyszenie, do którego należał sędzia wyższej instancji i ludzie dysponujący prawdziwą władzą. Wszyscy zaangażowali się w Północny Plan Opieki Medycznej, ale nie to było najważniejsze.

Steven delectował się wolnością, którą dawał mu ten wniosek. Mógł teraz poszukać nowych wątków, które pozwolą włączyć w tę zagadkę innych. Tych, którzy zginęli w Paryżu. I zobaczyć, do czego się to wszystko sprowadza. Przejrzał dokumenty, które zgromadził, i znalazł informacje, które Charlie Malloy zebrał o paryskich ofiarach eksplozji bomby. Obok Antonii Freeman i Charlesa Frencha znalazł tam trzy znaczące nazwiska ze świata biznesu i wysokiego rangą urzędnika państwowego. Charlie wspomniał też o wysokich darowiznach na Partię Konserwatywną. Wystarczyło tego, żeby mieć nad czym pracować, wychodząc od hipotezy roboczej. Tym, co łączyło tych ludzi, była prawicowa polityka, może nawet polityka skrajnie prawicowa.

Oczywistym wspólnym gruntem, na którym się spotykali, mogła być Partia Konserwatywna. Ale fakt, jak potoczyła się historia Johna Carlisle'a sugerował, że to błędne założenie. Wszystko wskazywało na to, że ci ludzie działali poza ścisłym przywództwem partii. Dwadzieścia lat temu wykorzystali Johna Carlisle'a jako marionetkę, która pozwoliła im osiągnąć swoje cele. Tylko o co im tak naprawdę chodziło? Trudno będzie znaleźć odpowiedź na to pytanie, pomyślał Steven. Jedyne fakty, jakim dysponował, to sukces, jaki odnieśli, wprowadzając Północny Plan Opieki Medycznej. Uśmiechnął się, kiedy stwierdził, że oto ma przed sobą skrajnie prawicową frakcję, która poprawiła działanie Narodowej Służby Zdrowia na północy Anglii. Wszyscy uważali, że torysi bardzo chcą się pozbyć tego problemu, zapomnieć o nim. Może wszyscy mieszkali w Sherwood i stąd troska o ludzi? - pomyślał, odkładając długopis.

Nie powinien zapominać o innych wydarzeniach towarzyszących tej sprawie. Na północy doszło wtedy do serii zabójstw, które należało wziąć

pod uwagę. Ofiary tak zwanej wojny narkotykowej wyglądały w świetle zebranych przez niego informacji jeszcze dziwniej. Musiał istnieć inny niż narkotyki powód, dla którego pozbawiono ich życia. No i trzeba pamiętać, że nie wniesiono żadnego oskarżenia... Steven poczuł zimno na plecach, kiedy pomyślał, jaką władzę dysponowali ludzie, którzy za tym wszystkim stoją. Miał teraz prawdziwy powód, żeby sprawdzić, co tak zaniepokoiło Johna Macmillana. Nie rozumiał, co w istocie kryło się za Północnym Planem Opieki Medycznej, ale cokolwiek to było, można się spokojnie założyć, że nie miało nic wspólnego z opieką i troską o ludzi.

Steven spostrzegł, że idzie w ślady Jamesa Kincaida, dziennikarza, którego zamordowano razem z jego dziewczyną, pielęgniarką. To nie baronom narkotykowym podpadł Kincaid. To byli „oni”. Musiał za bardzo się zbliżyć do sedna sprawy, rozgryźć, o co w tym wszystkim chodziło. I zapłacił za to życiem, tak jak jego zwierzchnik.

Steven zastanawiał się, czy dotyczyło to także wszystkich innych, którzy wtedy zginęli. Musiał wziąć pod uwagę możliwość, że nie wszyscy stali po tej samej stronie - stary dylemat z zakładnikami, kiedy odsiecz przybywająca z zewnątrz nie potrafi odróżnić dobrych od złych, gdy zdobędzie budynek. Steven roztrząsał problem na tysiąc sposobów, ale w końcu dał spokój, kiedy musiał przyznać, że ludzie stojący dwadzieścia lat temu za Północnym Planem Opieki Medycznej - Carlisle, French i inni z paryskiego mieszkania - nie byli w stanie powtórzyć swojego planu. Wszyscy nie żyli.

Akt zemsty? Może ktoś przez wszystkie te lata pielęgnował urazę i w chłodny, zimowy dzień w Paryżu wziął odwet na sprawcach dawnych

morderstw. A może chodziło o coś innego? Czy paryskie zabójstwa mogły być skutkiem jakiegoś wewnętrznego konfliktu? Jeśli tak, czy grupa, organizacja, czy jakkolwiek się to nazywało, właśnie się odrodziła?

Steven jeszcze raz przypomniał sobie pobłażliwy wyrok ojca Antonii Freeman w sprawie Charlesa Frencha. Teraz to miało sens. Ojciec Antonii, według wszelkich danych, należał do naj skraj niej szych pravicowców. Musiał zobaczyć we Frenchu pokrewnego ducha, może nawet przeciągnął go, wraz z jego pravicowym odłamem, do lepiej zorganizowanej grupy, która dysponowała odpowiednimi środkami, żeby wypromować Johna Carlisle'a i podarować mu wpływy i władzę.

I wtedy Steven zrozumiał, że to nie zemsta była motywem ataku w Paryżu. Charlie Malloy odkrył już tajną naturę spotkania - osoby, które na nie przybyły, bardzo się starały, żeby nie zostawić śladów swoich podróży i nie poinformować nikogo, dokąd się udają. Nawet swoich bliskich. Ale człowiek, który podłożył bombę, musiał wiedzieć, gdzie odbędzie się zebranie i odpowiednio się przygotować. Zamachowiec był prawdopodobnie jednym z zaproszonych. Wywodził się spośród nich. On albo ona. Zatem to nie była zemsta. Tylko zamach.

- Cholera - mruknął Steven pod nosem, kiedy stwierdził, jaki ogrom pracy go czeka. Nie wiedział, kim są „oni”, jak duża jest ich organizacja ani co planują. Uznał, że jedyne, co może zrobić, to próbować dowiedzieć się tego wszystkiego, wyciągając wnioski z wydarzeń z przeszłości. Być może obecnie historia się powtarza. I jeśli teraz ktoś planuje odnowienie prac nad Północnym Planem Opieki Medycznej, Steven będzie musiał zrozumieć, do

czego zmierzał Carlisle i jego koledzy wtedy, w początku lat dziewięćdziesiątych.

- Przechadzka ścieżką wspomnień - mruknął i zakończył pracę na dziś.

Steven wysiadł z samochodu, żeby zadzwonić z bramy. Pomyślał, że Markham House robi wrażenie. Udało mu się tylko rzucić okiem na rezydencję, bo zaraz się odwrócił, żeby uniknąć silnego wiatru nawiewającego mu w twarz śnieg z deszczem.

- No, dalej, dalej... - marudził, kiedy nikt w domu nie kwapił się odpowiedzieć na dzwonek. Nacisnął go jeszcze dwa razy, zanim odezwał się kobiecy głos z akcentem z wyższych sfer.

- Tak, kto tam?

- Steven Dunbar, Inspektorat Naukowo-Medyczny.

- Lepiej niech pan wejdzie.

- Tak, lepiej będzie, jak wejdę - mruknął Steven, wstrząsając ramionami, bo woda deszczowa znalazła sobie drogę za kołnierz i skapywała mu wzdłuż pleców. Żelazne wrota otworzyły się i wjechał na teren posiadłości.

Steven pomyślał, że wyraz twarzy Melissy Carlisle najlepiej można określić jako neutralny. Przytrzymała drzwi i gestem zaprosiła go do środka. Z faktu, że drzwi przytrzymała prawą ręką można było wywnioskować, że nie ma ochoty jej podawać, więc Steven wszedł do holu i czekał.

- Tędy.

Poszedł za nią do salonu i usiadł na krześle, które wskazała mu po drodze.

- Mam mało czasu. Jutro wyjeżdżam z kraju.

- Wakacje? - zapytał Steven.

- Południowa Afryka. Czas na dojsście do siebie.

- Ach, tak... Pani nieodżałowana strata.

- Nigdy nie słyszałam o Inspektoracie Naukowo-Me-dycznym, ale zakładam, że przyszedł pan, żeby porozmawiać o Johnie. Kobieta, która do mnie zadzwoniła, jasno dała do zrozumienia, że nie mam wielkiego wyboru w tej kwestii. Z dnia na dzień robimy się coraz bardziej państwem policyjnym. O co chodzi tym razem? Bogowie, mój biedny mąż jeszcze nie ostygł w grobie. Czego właściwie chce szanowny elektorat? Jego oczu?

- Jeśli dobrze zrozumiałem, pani mąż popełnił samobójstwo po dokonaniu fałszywych wpisów do oświadczenia majątkowego związanych nieruchomością, której w istocie nie posiadał, i został zdemaskowany - powiedział Steven.

- Całkowite nieporozumienie.

- Bzdura.

- Słucham pana?! - wykrzyknęła Melissa, otwierając szeroko oczy z udawanym niedowierzaniem.

- Skoro ma pani niewiele czasu, pomyślałem, że warto przejść do rzeczy - stwierdził spokojnie Steven. Jeszcze przed przyjazdem tutaj uznał, że szybkie przejście do natarcia to jedyna szansa na sukces. - Nie interesują mnie oświadczenia majątkowe. Nie jestem z prasy i nie mam obowiązku informować kogokolwiek o naszej rozmowie. Muszę wiedzieć, jak to się

stało, że człowiek, według wszystkich danych, o ograniczonej inteligencji i wiedzy, osiągnął stopień ministerialny, zyskał powszechne uznanie za opracowanie rewolucyjnego planu opieki zdrowotnej, którego w istocie nie opracował, a potem zniknął w zapomnieniu, zanim potknął się o drobny, brudny przekręt z wydatkami.

Zapadła długa cisza, Melissa patrzyła na Stevena bez mrugnięcia okiem. Już zaczęło mu się wydawać, że jego ryzykowne posunięcie się nie opłaciło, kiedy odwróciła wzrok i powiedziała.

- Mnie też zaskoczyło jego samobójstwo. Nie sądziłam, że zdobędzie się na taką odwagę.

Steven przypomniał sobie, że Arthur Bleasdale powiedział mniej więcej to samo. To uruchomiło dzwonek alarmowy w głowie Dunbara. Przybrał wyraz twarzy mówiący, że czeka na więcej.

- Chryste, nie wiem, jak w ogóle został ministrem - rzekła wreszcie Melissa. - Był niewiarygodnie głupi.

- Ale miał dobrą prezencję i poprawny akcent - odparł Steven. Kolejne ryzykowne posunięcie.

Melissa lekko się uśmiechnęła.

- Nie przebiera pan w słowach, prawda, doktorze Dunbar? Ale ma pan rację. Zrozumiałam to za późno. Był pusty w środku, powtarzał tylko to, co mu kazali inni.

- To właśnie ci inni mnie interesują - oznajmił Steven.

- Nie sędę, żebym w tej kwestii mogła panu pomóc. Byłam posłuszną żoną, zawsze w tle, stosownie do mojej roli.

Steven się uśmiechnął.

- Czy mówi coś pani nazwisko Charles French?

- Był z Johnem na uniwersytecie. John utrzymywał, że są przyjaciółmi, ale szczerze w to wątpię.

- Jak to?

- Spotkałam Johna, kiedy był młodym parlamentarzystą. Przystojny, czarujący... zakochałam się w nim. Chyba po prostu myślałam, że jest zdolny, więc zignorowałam pewne sygnały, włączając w to ostrzeżenia ze strony mojego ojca, który uważał go za idiotę. Charlesa przedstawiono mi jako jednego z naukowców Johna. Ale odniosłam wrażenie, że nie szanował mojego męża, zawsze patrzył na niego i na wszystkich innych z wyższością.

- A co sądził o pani?

- Chyba mnie trochę lubił. Pochwalał mój związek z Johnem.

- Widział w pani odpowiednią żonę?

- Nadawałam się na nią.

- Nie sądzi pani, że Charles French był mózgiem stojącym za karierą Johna?

- Z pewnością bił go na głowę intelektem - odparła Melissa z powątpiewaniem. - Ale był mody, miał tyle samo lat co John. Nie mógł mieć żadnych wpływów w partii, więc nie wydaje mi się...

- Czy mógł należeć do większej wpływowej grupy?

- Wie pan, ostatnio pytałam o to ojca. To był błąd. Myślałam, że dostanie zawału. Chyba nigdy nie widziałam, żeby się tak rozzłościł. Koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego o to pytam.

- A dlaczego pani pytała?

- Pokłóciliśmy się z Johnem. Powiedziałam mu parę okrutnych słów. Co o nim myślę i że partia natrze mu uszu za tę aferę z oświadczeniem majątkowym i odmówi członkostwa. I wtedy zaczął sugerować, że tego nie zrobią, bo on coś wie. I że mają wobec niego dług.

- Jaki dług?

- Nie wiem. Tak naprawdę wcale mnie to nie obchodziło. Miałam dosyć słuchania tych bredni. Wybiegłam z domu i pojechałam do rodziców.

Więcej dzwonek alarmowych. Dwoje ludzi, którzy dobrze znali Carlisle'a, nie sądziło, że starczy mu odwagi, żeby odebrać sobie życie. A teraz jego żona twierdzi, że mąż posiadał jakieś informacje, którymi chciał kogoś szantażować.

- Wiem, że to może zabrzmieć nietaktownie, ale czy pozwoli pani, żebym obejrzał miejsce, w którym go pani znalazła?

Melissa wyglądała na zaskoczoną, ale nie wzbraniała się.

- Oczywiście. - Poprowadziła go na tyły domu, włożyła kurtkę, otworzyła drzwi i przeszli do stajni. - Znalazłam go tutaj, zwiisał z belki. - Pokazała ręką. - Co właściwie chce pan wiedzieć?

- Jak to zrobił - odparł Steven. Postanowił, że nie będzie owijał w bawełnę.

- To nie jest wielka filozofia, nawet Johnowi się udało - odparła gorzko Melissa. - Przywiązał linę do tej belki, zarzucił pętlę na szyję i zeskoczył. Niech pan posłucha, naprawdę nie widzę powodu, żeby to rozpatrywać. To makabryczne...

- Skąd zeskoczył? - przerwał jej Steven.

- Chyba z górnej barierki boksu.

- Dlaczego z górnej barierki?

- Wisiał dość wysoko nad podłogą... kiedy go znalazłam.

- Niezły gimnastyk.

Melissa zamilkła. Zrozumiała uwagę Stevena. Przyjrzała się drodze, którą musiałby przebyć jej mąż, żeby wspiąć się na górną barierkę boksu i pomyślała o fizycznych umiejętnościach, których by to wymagało. Potem pokręciła głową.

- Chyba że tu była drabina... - zasugerował Steven.

- Nie - odparła. - Żadnych drabin, krzeseł, pudeł. Niczego. Pan myśli, że go zamordowano, prawda?

- Nie jestem pewien.

- Ale zostawił list... Wrócili do domu.

- Co dalej robimy? - zapytała Melissa przygnębionym tonem.

- W tych okolicznościach proponowałbym, żeby na razie nic nie robić. Niech pani jedzie do Południowej Afryki i spokojnie dochodzi do siebie.

Melissa pokiwała głową, Steven wyczuł, że jej ulżyło, chociaż wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał.

- Czy poza Charlesem Frenchem pamięta pani kogoś, kto przyjaźnił się lub bywał u pani męża w czasach Północnego Planu Opieki Medycznej?

- Był ministrem, odwiedzało go mnóstwo ludzi.

- Żadnych bliższych znajomych?

- Chyba Paul Schreiber. Myślę, że odpowiadał za lekarstwa. I Gordon Field, menedżer szpitala.

- Nikt poza nimi?

- Nie wiem, czy nazwałby ją pan bliską znajomą, ale dość często bywała u nas bardzo niesympatyczna kobieta o nazwisku Freeman. Była żoną chirurga w szpitalu, ale zachowywała się, jakby pełniła jakąś oficjalną funkcję, chociaż nigdy nie udało mi się stwierdzić jaką. Inni mieli dla niej bardzo wiele szacunku.

- Lady Antonia Freeman - rzekł Steven.

- Zgadza się. Zna pan ją?

- Nie żyje. Charles French też. Melissa przełknęła ślinę.

- Wiem o Charlesie.

- Te sprawy, o których wspominał pani mąż... Jest pani całkowicie pewna, że nie wie, o co chodziło?

- Całkowicie. Nigdy wcześniej nie wspominał o niczym takim.

- Dobrze.

Melissa wyglądała na zaskoczoną, ale potem zrozumiała.

- Chce pan powiedzieć, że o niektórych rzeczach lepiej nie wiedzieć?

- Życzę miłych wakacji.

Steven opuścił Markham House zadowolony z tego, co ustalili. Z samochodu zadzwonił do Jean Roberts.

- Jean, potrzebuję tyle informacji, ile zdołasz wygrzebać o dwóch ludziach ze starego Północnego Planu Opieki Medycznej: Paulu Schreiberze i Gordonie Fieldzie. Schreiber odpowiadał za dostawy lekarstw, a Field był wtedy menedżerem College Hospital.

- Zobaczę, co się da zrobić, ale...

- Tak, wiem. To było dawno temu. Postaraj się. Potrzebuję też więcej informacji o ludziach, którzy zginęli w Paryżu. Nie o Frenchu i Freeman. O innych.

- Doskonale. Sprawdzaleś, jak się miewa sir John?

- Jeszcze nie. Dam ci znać.

Ale najpierw Steven zadzwonił do Charlesa Malloya.

- Wiem, że to nie twoja parafia, Charlie, ale zaczynam mieć wątpliwości co do samobójstwa Johna Carlisle'a. Czy ktoś mógłby się dyskretnie przyjrzeć okolicznościom tej tragedii? Bardzo poważnie mówię tu o dyskrecji.

- Wiesz, Dunbar. Zaczynam żałować, że wróciłeś -zażartował Malloy. -
Zobaczę, co się da zrobić. Na czym dokładnie polega problem?

- Nie wiem, skąd skoczył. Według żony jego nogi znajdowały się jakieś
półtora metra nad ziemią. To znaczy, że musiał zeskoczyć z górnej bariery
w stajni. W okolicy nie było krzesła ani drabiny, więc musiałby być sprawny
jak komandos, żeby się tam dostać. Gdyby służył w piechocie morskiej,
może bym w to uwierzył, ale nie wyglądał na takiego.

- Nie jestem pewien, czy post factum da się coś takiego udowodnić -
wahał się Malloy.

- Nie da się. Zapomnijmy o tym, że dopiero co o tym rozmawialiśmy.

Steven zadzwonił do szpitala. Powiedziano mu, że John Macmillan jest
stabilny i czuje się dobrze. Nie wybudzono go jeszcze ze śpiączki
farmakologicznej. Stanie się to prawdopodobnie następnego dnia.

- Szczęścia, stary - szepnął Steven, kiedy się rozłączył.

Steven nie zrobił wielkich postępów w śledztwie przez kolejne trzy
tygodnie. Informacje, o które wystarała się Jean, na temat ofiar z paryskiego
mieszkania potwierdziły tylko materiały zebrane przez Charliego Malloya -
dwa nazwiska ze świata biznesu, bankier z banku handlowego i urzędnik
państwowy. Żaden z nich nie miał kartoteki kryminalnej ani nie był
związany z jakimś skandalem uznanym przez media za godny wzmianki.

Jedynie Paul Schreiber miał bardziej interesujący życiorys. Był szefem
spółki farmaceutycznej, zanim został zamieszany w przekręt z ustalaniem

cen i zmuszony do rezygnacji. Pozostał większościovym udziałowcem spółki Lander Pharmaceuticals i miał duży wpływ na jej zarządzanie. Był odpowiedzialny za dostawy lekarstw zamawianych przez program Charlesa Frencha. Zginął, wraz z pielęgniarzem, w pożarze oddziału aptecznego College Hospital.

Gordon Field, menedżer szpitala, też miał cokolwiek niejasną przeszłość, będąc jakoś tam zamieszany w podejrzaną spółkę PR-owską, zanim odnalazł się w administracji opieki medycznej.

Mało, żeby zacząć, pomyślał Steven. Chociaż, o ile wiedział, Field nadal żył... gdzieś. Wielki plus w tym śledztwie.

Carlisle, French, Freeman, Schreiber, Field... doskonała ferajna, takich chciałoby się spotkać, pomyślał Steven. A jedyną rzeczą, o którą im chodziło, było ulepszenie służby zdrowia na północy kraju. Piramidalna bzdura!

Dyskretne śledztwo Charliego Malloya w sprawie samobójstwa Carlisle'a, także nie przyniosło niczego nowego. Anatomopatolog nie miał wątpliwości, że denat zginął wskutek złamania karku odniesionego po tym, jak zeskoczył ze znacznej wysokości z pętlą zaciśniętą na szyi. Jak Carlisle'owi udało się wspiąć na barierkę i zeskoczyć ze znacznej wysokości, tego nie dało się dojść. Ludzie często dokonują czegoś wymagającego od nich sporej siły, znajdując się w skrajnym napięciu, zauważył Malloy.

- Ale wyszła jedna rzecz - dodał. - List, który zostawił, był pisany na maszynie albo raczej wydrukowany. Podpis był jego, ale list nie wyszedł z

żadnej z dwóch drukarek w Markham House. Niewiele tego, ale chyba warte uwagi.

- Dziękuję, Charlie. Doceniam to.

Steven nie dokonał wielkich postępów w ostatnich tygodniach, za to John Macmillan radził sobie świetnie. Od czterech dni był już w domu, podobno w dobrym nastroju, chociaż bardzo zmęczony po przebytej operacji. Jak dotąd, żona nie zauważyła utraty zdolności umysłowych, ale nadal było za wcześnie, żeby o tym przesądzać. Sam fakt, że John ją rozpoznawał, był uważany za pokrzepiający.

Postęp dał się zauważyć także w kwestii rządowego porozumienia co do produkcji szczepionek. Rząd szybko rozstrzygnął przetarg. Merryman Pharmaceutical, spółka z Midlands, miała zaopatrywać państwo w szczepionki. Steven poczuł lekkie łaskotanie, kiedy to przeczytał, bo to znaczyło, że jego stara spółka, Ultramed, musiała przegrać przetarg. Jego współczucie miało się jednak zmienić w irytację, kiedy zadzwonił do niego osobiście Lionel Montague, żeby ponarzekać.

- W Merryman musieli wiedzieć, o jaką stawkę gramy - gotował się ze złości Montague. - Ścieliśmy wszystkie koszty i narzuty niemal do zera, a oni i tak nas wyprzedzili. Byliśmy nawet przygotowani na stratę w pierwszym roku, żeby dostać kontrakt.

- Może oni zrobili to samo. Po co mi o tym mówisz, Lionel? - zapytał Steven. - Nie wiem, jaka była wasza oferta, i nic nie wiem o kontrakcie.

- Pracujesz dla rządu, a to jest jakiś rządowy przekręt. Musieli potraktować ofertę Merrymana w sposób uprzywilejowany.

- Szczerze? To śmieszne. Przede wszystkim nie znam się na kontraktach rządowych, ale po co mieliby to robić? Jestem pewien, że im jest wszystko jedno, kto wytwarza szczepionki, dopóki robi to dobrze i dostarcza je jak najszybciej i jak najtaniej. Najwyraźniej dali kontrakt Merry-manowi, bo przedstawił najlepszy pakiet.

- Nigdy mnie co do tego nie przekonasz.

- Więc nawet nie będę próbował.

- Nie zostawię tak tego.

Montague odłożył słuchawkę. Steven przez chwilę tkwił ze wzrokiem wbitym w telefon.

- Dziękuję i dobranoc, Panie Zdenerwowany - parsknął. W piątek po południu zadzwonił do Jean Roberts, żeby

powiedzieć, że planuje wyjazd na długi weekend. Miał pojechać wieczorem do Leicester, a potem, w sobotę rano, do Szkocji, żeby odwiedzić córkę. Wróciłby w poniedziałek.

- Długa podróż - stwierdziła Jean. - Czy chcesz, żebym coś zrobiła?

- Ten dziennikarz, który zginął na północy, John Kin-caid. Jak myślisz, dałabyś radę sprawdzić, czy ma jakichś żyjących krewnych?

- Zrobi się. Coś jeszcze?

- Menedżer College Hospital, Gordon Field... Możesz sprawdzić, czy nadal pracuje w zawodzie? I w ogóle czy jeszcze żyje?

- Zajmę się tym.

- Dziękuję, Jean. Teraz rozumiem, dlaczego John myślał... tyle myślał o tobie.

Jean się roześmiała.

- Nie wiedziałam.

- To te jego szkockie geny - powiedział Steven. - Rzucić komuś miłe słowo to objaw słabości.

Kiedy Steven odłożył słuchawkę, pomyślał o tym, co Jean powiedziała o długiej podróży. Miała rację. W ten weekend Tally pracowała, więc nie mogła pojechać z nim do Szkocji. Czas, żeby znowu wyjechać porsche na szosę. Zadzwoił do Stana Silvera. Stary kumpel poprosił, żeby dał mu kilka godzin na przygotowanie auta.

- Rozumiem, że znowu zaciągnąłeś się na służbę - bardziej stwierdził, niż zapytał Silver. Trzymał w ręku klucz francuski i pracował nad przednimi hamulcami saaba, kiedy Steven zaparkował hondę i podszedł do niego.

- Tymczasowo. Mój były szef przeszedł właśnie ciężką operację, więc wróciłem, żeby przypilnować gospodarstwa.

- Wiesz co? Szlachetne sprawy chodzą za tobą wszędzie jak szczeniak - rzekł Silver, zdejmując suwmiarkę z dysku.

Steven nie odpowiedział. Znali się od dawna. Cenił to, że Silver zawsze mówił, co myślał, nie zastanawiając się, czy to wypada. Czasem trudno było go słuchać.

- Bak ma pełny, można jechać - oznajmił mechanik, kiwając głową w stronę boxtera.

- Najpierw musimy się rozliczyć.

- Nie ma się z czego rozliczać, koleś. Kumple z wojska i w ogóle.

Steven skinął głową i się uśmiechnął.

- Dzięki, Stan. Jestem twoim dłużnikiem.

- Dbaj o niego. Jeśli planujesz jazdę po polach i przez rzeki, na czym zwykle się kończy w twoim przypadku, to lepiej zostań przy hondzie. Tak bym zrobił na twoim miejscu.

- Nie mam takich planów, Stan. Kościół w niedzielę, a potem będę odprowadzał Tally na lekcje francuskiego.

Steven odpalił silnik porsche i z uwielbieniem wsłuchiwał się w jego odgłos. Po raz ostatni spojrzął na stateczną, wygodną i całkowicie niezawodną hondę, uśmiechnął się i docisnął pedał porsche, zanim odjechał. Spojrzął wstecz i w lusterku zobaczył, jak Silver śmieje się i macha ręką.

- Odebrałem porsche - poinformował Steven wkrótce po tym, jak dotarł do mieszkania Tally. Leżało mu to na sercu.

- Tak sobie pomyślałam - powiedziała, stojąc do niego tyłem. Właśnie przygotowywała kolację.

- I? - zapytał niepewnie.

Tally odwróciła głowę i się uśmiechnęła.

- I nic. Pasuje do ciebie.

- Czy ostatnio mówiłem, że cię kocham?

- Dość dawno.

Steven objął ją od tyłu ramionami w pasie i pocałował w szyję.

- Kocham cię, Tally Simmons.

- Oczywiście, że kochasz. Jesteś głodny, a potem będziesz chciał seksu.

- Dlaczego mam wrażenie, że z tobą nie wygram?

- Bo nie dasz rady. Otwórz wino, dobrze? Opowiedział jej o telefonie od Lionela Montague'a.

- Głupek. Po co do ciebie dzwonił?

- Chyba potrzebował kogoś, kto pracuje dla rządu, żeby na niego nawrzeszczeć. Co wiesz o Merrymanie?

- Spółka o doskonałej reputacji. Widzę ich nazwę na bardzo wielu rzeczach. Uczciwie mówiąc, więcej tego niż z Ultramedu.

Steven pokiwał głową.

- Chyba się po prostu wściekł, że stracił kontrakt. To była dla niego wielka sprawa.

- Dla Merrymana chyba też - oznajmiła Tally. - Dla mnie liczy się tylko, żeby ktoś szybko zaczął wytwarzać szczepionki.

Rozmowa zeszła na śledztwo prowadzone przez Stevena i to, jak w jego przekonaniu nagle się zatrzymało.

- Wiesz, chyba John miał rację. W Północnym Planie Opieki Medycznej i w siłach, które stały za Carlisle'em, kryło się coś podejrzanego. Ale nie

wiem, jak to odkryć po tylu latach. I jak to połączyć z tym, co się dzieje teraz.

- Hm, sądząc po ostatnich wieściach, wkrótce będziesz mógł osobiście porozmawiać o tym z Johnem - stwierdziła Tally.

- Masz rację - zgodził się Steven i znalazł powód do uśmiechu. - Wbrew wszelkim przeciwnościom... No, a co u ciebie?

- Nie licząc zwykłych potyczek o pieniądze z zarządem, niewiele. Chociaż, razem z siostrami wybrałyśmy dom opieki dla mamy. Chyba się jej spodobał. Słyszałam, że mają tam dobry personel, że jest czysto i wygodnie. I tak czuję się winna. To akt zdrady...

- Nie myśl tak - uspokajał ją Steven. - Postępujesz właściwie. A jak już wygramy na loterii, przeprowadzimy się do domu na wsi i zabierzemy ją, żeby mieszkała z nami. To tylko tymczasowe.

- Idiota.

Edynburg, piątek, 30 kwietnia 2010

O jedenastej wieczorem citroen picasso wjechał na jedną z zatoczek parkingowych otaczających Charlotte Square. Kierowca, Azjata w średnim wieku, wysiadł i odsunął drzwi pasażerskie.

- Gotowi? - zapytał dwóch młodszych mężczyzn siedzących z tyłu.

- Tak - odpowiedzieli cichymi, spiętymi głosami.

- Witamy w Edynburgu. Tędy.

Starszy poprowadził ich przez ruchliwą ulicę i zatrzymał się przy zachodnim krańcu George Street, jednej z szerokich arterii edynburskiego New Town, biegnącej z zachodu na wschód, równoległej do Princes Street. Za dnia ulica ukazywała światu szacowną georgiańską fasadę. W piątkowy wieczór była pełna światła i zgiełku. Właśnie zaczynały żyć bary i kluby, usytuowane na parterach i w piwnicach budynków, pod bankami i urzędami mieszczącymi się na parterach i piętrach tych samych kamienic. Biznes panował za dnia, przyjemność wieczorem. Drzwi otwierały się i zamykały nieustannie, a klientela wysypywała się ze środka na zewnątrz. Na samej ulicy śmiech, krzyki i wrzaski rozdzierały nocne powietrze, kiedy grupy ludzi przemieszczały się jak wielokomórkowe organizmy, szukając ciągle nowych źródeł pożywienia i rozrywki.

- Zachodnie społeczeństwo - rzucił starszy mężczyzna. - Chodźcie, obserwujcie.

Trzech mężczyzn przyłączyło się do tłumu na ulicy, zatrzymując się tylko, żeby przepuścić wchodzących w drogę zataczających się pijaków albo równie nietrzeźwych -przemieszczających się do tyłu i w bok. Jedna dziewczyna potknęła się i upadła, wychodząc z drzwi. Przetoczyła się na plecy, rozłożyła nogi i roześmiała się, ukazując bieliznę pod króciutką spódniczką. Jej dwaj przyjaciele wydawali się zbyt pijani, żeby pomóc jej wstać, ale dołączyli się do śmiechu. Trzech mężczyzn okrążyło pijane trio i zatrzymało się dopiero, kiedy na drodze stanęła im grupa młodzieży kłócącej się z policjantem.

- To wasza ostatnia szansa - ostrzegał posterunkowy. - Albo opuszczacie ulicę, albo was, cholera, przymknę.

- Kurwa! Nic nie zrobiliśmy - sprzeciwiał się jeden, wyrywając się towarzyszom, którzy próbowali go odciągnąć.

- Zdenerwowaliście mnie. Zaraz zacznę liczyć do trzech...

Młodzi spuścili z tonu, a Azjaci poszli dalej. Grupa dziewczyn przebranych za pielęgniarki zbliżyła się do nich, rozciągnięta wzdłuż chodnika. Śpiewały na cały głos, fałszując okropnie. Nieuniknionej kolizji zapobiegło kilku biznesmenów, który wyłonili się z jednego z barów - ubrani w garnitury, z teczkami, ale ewidentnie pijani. Prawdopodobnie poszli do baru zaraz po pracy. Wybuchnęli hałaśliwym śmiechem na widok „pielęgniarek” i zaczęli robić sprośne komentarze.

Dziewczyny bardziej zdenerwował ich akcent niż komentarze.

- Możesz sobie tylko pomarzyć, pacanie - powiedziała jedna.

- Widziałam, jak bardziej utalentowani wynurzali się z wysypiska - dodała druga.

Panna młoda, z tabliczkami oznaczonymi literą L na piersiach i plecach, szybko wbiła kolano w pachwinę jednego, który z głupoty podszedł za blisko.

- Pieprzona krowa - wysapał mężczyzna, padając na ziemię.

- Ojej! - rzuciła fałszywie jedna z druhen, kiedy przechodząc, nadepnęła mu na palce.

Azjaci, którzy zeszli z chodnika i stanęli między dwoma zaparkowanymi samochodami, pozostali niezauważonymi obserwatorami, dopóki jakiś

pijany młody człowiek, który na chwiejnych nogach oddawał mocz w drzwiach, nie odwrócił się i ich nie zobaczył.

- Zdaje się, że przybyli Pakistańcy - powiedział do czekających na niego kumpli.

- Czego oni, kurwa, chcą? - wybełkotał jeden, ze śladem po wymiocinach na przedzie puloweru. - Przecież, kurna, nie piją, nie?

- Chyba przyszli po nasze sikorki. Nie widzą, jak wyglądają ich własne, póki nie zajrzą pod te ich cholerne koce, co im je zakładają na głowy, co?

Azjaci nie zareagowali, szli dalej.

- Zgadza się. Hej! Koleś! Wracajcie do swojego sklepu na rogu!

- I do podpłomyków, poppadom, poppadom! - zaintonował inny.

Tłum zaczął rzednieć, hałas cichł, kiedy Azjaci zostawili hulaków za sobą. Starszy mężczyzna zatrzymał się i odwrócił.

- Hm... - zaczął. - Myślicie, że Allah chciał, żebyśmy tak żyli?

- Nie - zgodzili się z żarem dwaj młodszy. Jeden z nich nadal trząsał się z tłumionego gniewu, że musiał zignorować szyderstwa.

- Odrażające - powiedział drugi, kręcąc głową, najwyraźniej wstrząśnięty tym, co zobaczyli.

- Zostaliście wybrani, żeby wymieść śmieci, bracia. Oczyszczyć społeczeństwo z nieprawości, nieść prawdę i światło w ciemność, rozprzestrzenić moralność i rządy prawa. Prawo nie może być lekceważone, bo to Jego prawo. Allah jest wielki.

Młodzi mężczyźni powtórzyli te słowa, zanim starszy poprowadził ich cichszymi ulicami i zaułkami z powrotem do samochodu. Pojechali do małego odosobnionego bungalowu, stojącego przy spokojnej podmiejskiej uliczce w Corstorpine, prawie pięć kilometrów na zachód od centrum. Starali się nie trzaskać drzwiami samochodu, żeby nie zakłócić sąsiadom ciszy nocnej.

W pokoju na tyłach domu stary mężczyzna usiadł i gestem kazał zrobić dwóm młodszym to samo.

- Jesteście młodzi. Zabrałem was tam dziś wieczorem, żeby pokazać, co nas otacza - powiedział. - Na wypadek gdybyście mieli jakieś wątpliwości. Obaj urodziliście się w tym kraju, ale nie padliście ofiarą zła, które widzieliście dziś wieczorem. Wasza wiara utrzymała was w czystości. Wasi bracia zawsze byli z wami. A teraz muszę was zapytać. Czy jesteście gotowi, żeby wziąć udział w walce?

Obaj młodzi mężczyźni potwierdzili, że są gotowi, chociaż zabrzmiało to nerwowo i niepewnie.

- To wielki honor zostać wybranym - przypomniał im przewodnik.

- Tu w Edynburgu jest tylko dwóch z nas. Było ośmiu, kiedy zaczęliśmy - wtrącił jeden.

- Zło panoszy się w całym kraju. Wasi bracia przystąpią do działania w tym samym czasie, ale nie w tym samym miejscu.

- Co powinniśmy zrobić?

- Czytajcie Koran. Wasz trening zacznie się pojutrze. Identyczne wycieczki dla pozostałych sześciu młodych

Azjatów, pokazujące, jak wygląda Zjednoczone Królestwo pijane i rozbawione, zbliżały się ku końcowi w Manchesterze, Londynie i Liverpoolu.

W sobotni poranek Steven czule pożegnał się z Tally, która musiała iść do pracy.

- Masz zamiar wstąpić po mnie w drodze powrotnej? - zapytała.

- Możesz być pewna. Dlaczego nie mielibyśmy wyjść na kolację?

- To jedyny powód, żeby żyć - drażniła się z nim. - Do zobaczenia w niedzielę. Przekaż moje pozdrowienia Jenny. Powiedz, że wkrótce się z nią spotkam.

Steven posprzątał i wypił ostatnią filiżankę kawy, zanim wyruszył do Szkocji. Jechał już około dwóch godzin, kiedy odezwał się jego telefon. Skręcił na zewnętrzny pas, zwolnił, żeby spokojnie porozmawiać. Dzwoniła Jean Roberts.

- Jean, jest sobota - zażartował. - Masz wolne.

- Tak. Hm... wczoraj wieczorem odkryłam, że James Kincaid, ten dziennikarz, o którego pytałeś, ma krewnego, zamężną siostrę mieszkającą w Newcastle. Pomyślałam, że skoro będziesz w ten weekend w Szkocji, może wpadniesz do niej w drodze powrotnej.

- Dzięki, Jean. Jestem zobowiązany - odparł i natychmiast zaczął kalkulować podróż powrotną w niedzielę, jeśli miałby włączyć w nią marszrutę do Newcastle.

- Jestem teraz na autostradzie. Mogłabyś wysłać mi adres mejlem albo eemesem? Potem odbiorę.

- Uważaj to za zrobione.

- Tato! Zgryźliwiec do ciebie wrócił - krzyknęła Jenny, kiedy zobaczyła, że Steven znowu prowadzi porsche. Nazwa pochodziła od przymiotnika, którego użyła ciocia Sue, kiedy po raz pierwszy zobaczyła boxtera. „Trochę zgryźliwy, prawda, Steven?” Z jakiegoś powodu nazwa się przyjęła.

- Lubię Zgryźliwca - cieszyła się Jenny. - To znaczy Blaszone Kalesony też lubiłam - była to nazwa nadana przez Sue hondzie, którą uważała za bardziej stateczną -ale myślę, że Zgryźliwiec jest lepszy.

Ani Jenny, ani jej kuzyni, Mary i Peter, nie rozumieli konotacji tych nazw, co czyniło je tym bardziej zabawnymi dla dorosłych, którzy bali się tylko, że dzieci je rozpowszechnią. Jak dotąd tak się nie stało.

- Wieki cię nie widziałam, tato. - W drodze do domu Jenny wzięła Stevena za rękę i oświadczyła: - Przyprowadził ze sobą Zgryźliwca.

- Właśnie widzę - stwierdziła Sue, usiłując zachować poważną minę. Podeszła, żeby uściskać Stevena. - Richard jest w gabinecie, nadrabia coś w papierach. Za minutkę zejdzie. Rynek poszedł trochę do góry. - Richard był prawnikiem w Dumfries i specjalizował się w nieruchomościach.

- A jak tam moja mała Jenny, ciociu Sue?

- Wzorowo.

Jenny się rozpromieniła.

- A jak jej idzie w szkole?

- Też doskonale. Nauczycielka jest bardzo zadowolona. Zresztą podobnie jak i nauczyciele Petera i Mary, ku naszemu zdumieniu. - Zwichrzyła włosy Petera. - W ostatni wtorek była wywiadówka.

Steven przełknął ślinę i szybko się uśmiechnął, żeby ukryć ukłucie żalu.

- Skoro tak, to dlaczego nie miałbym zabrać tych troje wzorowych uczniów do kina w Dumfries dziś wieczorem? Możemy się załapać na wczesny seans i być w domu o... dziesiątej!

Oczy dzieci otworzyły się szeroko z podniecenia perspektywą późnego powrotu. Rzuciły się do Sue z prośbami, żeby pozwoliła na takie szaleństwo. Kobieta zastanawiała się, niespiesznie podejmując decyzję.

- W końcu jutro nie ma szkoły... - ponaglał ją Steven.

- Na pewno nie jesteś zmęczony po takiej długiej jeździe?

- Nie, ale teraz zła nowina. Obawiam się, że będę musiał wyjechać jutro, wcześniej rano, więc tym razem nie będziemy mogli pójść na basen.

Stało się tradycją, że Steven zabierał dzieci do Dumfries na basen, kiedy przyjeżdżał na weekend, a potem zapraszał je na lunch z pizzą i lodami.

- Mogę za to zaproponować wieczór z popcornem i lodami... Tyle że dzisiaj.

To wywołało głośne zadowolenie.

- Hm, no niech będzie - zgodziła się Sue. Do pokoju wszedł Richard, pytając, skąd te hałasy.

- Niezłe show - powiedział, uśmiechając się do Sue, kiedy mu wyjaśniła, co się dzieje. - Chodźmy do pubu. Wieki minęły, odkąd tam ostatnio byliśmy.

Steven wyruszył do Newcastle w niedzielny rano, przed ósmą, z nadzieją, że porozmawia z Lisą Hardesty, siostrą Jamesa Kincaida. Według notatek Jean kobieta wyszła za Kevina Hardesty'ego i w czasie, kiedy zginął jej brat, oczekiwała pierwszego dziecka. Miał zamiar raczej wybrać się do niej w ciemno, niż telefonować i uprzedzić o przyjeździe. Często stwierdzał, że to lepiej działa - ludzie nie mają czasu, żeby się przygotować do spotkania, ułożyć sobie jakąś historyjkę, wybrać bezpieczne odpowiedzi. Wstukał kod pocztowy Hardestych do nawigacji satelitarnej Złóśliwca i ruszył zgodnie ze wskazówkami na ekranie.

Państwo Hardesty mieszkali w przyjemnej dzielnicy położonej w zachodnim Newcastle. Wszędzie dookoła stały domki jednorodzinne i bliźniaki podobne do zabudowań w każdej innej części kraju. Siostra Jamesa Kincaida była właścicielką niewielkiego, wolno stojącego domku. Steven popatrzył na ładnie utrzymany ogród i żywopłot i poczuł się jak agent nieruchomości. Piękna działka w popularnej okolicy, nowe okna, ogrzewanie gazowe, główna sypialnia z osobną łazienką...

Na podjeździe przed garażem parkował trzyletni vaux-hall astra, co oznaczało, że ktoś jest w domu i otworzy przybyszowi. Nie pomylił się. W drzwiach stanęła jasnowłosa uśmiechnięta kobieta około czterdziestki.

Idealnie pasowała do idyllicznego otoczenia. Spokojne życie na przedmieściach wyraźnie jej służyło.

- Pani Hardesty?

- Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

Stevenowi spodobał się sposób, w jaki to powiedziała. W jej głosie nie było cienia podejrzenia, że próbuje jej coś sprzedać.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - zaczął. Przedstawił się i pokazał legitymację.

- Proszę mi wybaczyć, nie rozumiem, jak mogłabym panu...

- Chciałbym porozmawiać o pani bracie, Jamesie.

- Od wielu lat nie żyje.

- Wiem.

Spojrzała na niego zbita z tropu.

- W takim razie proszę, niech pan wejdzie. Wpuściła go do schludnej sieni i dalej, do niewielkiej

oranżerii, gdzie wskazała jeden z wiklinowych foteli.

- Jest pani sama w domu?

- Mąż z synem pojechali na mecz. Są fanami drużyny z Newcastle. No dobrze, w czym mogłabym panu pomóc?

- Interesuje mnie, jak zginął pani brat.

- Został zastrzelony! - wykrzyknęła Lisa. - Musiał pan to przecież wiedzieć. Został zamordowany, razem z Eve, swoją dziewczyną. Była cudowną osobą.

- Przykro mi - powiedział Steven. - Powiniennem być się inaczej wyrazić. Chodzi mi raczej o okoliczności jego śmierci.

- To się stało wiele lat temu. - Lisa pokręciła smutno głową. - Policja twierdzi, że mój brat padł ofiarą wojny narkotykowej. Mogą mnie pocałować z tymi narkotykami...

- To oficjalna wersja - potwierdził spokojnie Steven. Ukrywał ekscytację, którą poczuł, gdy usłyszał jej słowa. Miał nadzieję, że Lisa powie coś więcej.

- Jim wpakował się w poważne kłopoty i przyszedł do mnie po pomoc. Na pewno nie zadarł z baronami narkotykowymi, jak potem wyczytałam w gazetach. Chodziło raczej o ludzi z tego szpitala. Ze stolicy. James nadepnął im na odcisk.

- Ze stolicy? - powtórzył Steven.

- Wdrażali nowy system opieki zdrowotnej, a jako placówkę pilotażową wybrali sobie College Hospital.

- A pani brat im się naraził...

- Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale Jim bał się o swoje życie.

- I udzieliła mu pani pomocy?

W oczach Lisy pojawił się żal. Steven uznał, że to pewnie wyrzuty sumienia.

- Nie - odpowiedziała. - Mój mąż nie chciał nas w to mieszać. Jim poprosił wtedy, żeby chociaż Eve mogła u nas zostać, bo z nim nie była bezpieczna... Musiałam mu odmówić. To był ostatni raz, kiedy widziałam go żywego.

Lisa rozejrzała się w poszukiwaniu chusteczek, wyjęła jedną z paczki i wytarła wilgotne oczy.

- Domyśla się pani, kim mogli być ci ludzie? Pokręciła przecząco głową.

- W jaki sposób pani brat naraził się tym ludziom? Co takiego zrobił?

Pani Hardesty wytarła nos.

- Wiem tylko tyle, że Jim zaprzyjaźnił się z jednym z lekarzy, Neilem Tolkienem. Obaj doszli do wniosku, że w szpitalu dzieje się coś złego. Jim uznał, że nasz ojciec zmarł właśnie przez tych ludzi i przez nowy plan opieki zdrowotnej. Martwił się też o swoją córkę.

- Pani brat miał córkę? Lisa potaknęła.

- Kerry. Jako dziecko była operowana i doszło do uszkodzenia mózgu. Od tego czasu mieszkała w domu opieki. Jej matka, bo Jim miał żonę, tylko byli w separacji, zupełnie się nią nie interesowała. Ułożyła sobie życie na nowo i tyle. Jim zawsze wierzył, że stan Kerry może się poprawić, jeśli będzie miała odpowiednią opiekę i leki. Był bardzo troskliwym ojcem. Kiedy przyjeżdżał, przesiadywał u niej całymi godzinami, ale nie mógł tu zostać na stałe.

- Czy Kerry...?

- Nie, zmarła kilka miesięcy po śmierci ojca. Lekarze stwierdzili, że to zapalenie płuc. Może tak jest lepiej dla tej biedulki. Niewiele miała z życia.

- Proszę mnie poprawić, jeśli źle panią zrozumiałem, ale dotychczas byłem przekonany, że wszyscy bardzo chwalili nowy plan opieki medycznej, kiedy był wdrażany?

- Nie, nie pomylił się pan. Wszyscy byli zadowoleni. Nie było kolejek i czekania. Lekarz przepisywał odpowiednie leki, wprowadzał je do komputera, a po godzinie czekały już na odbiór.

- Więc co złego widział w tym pani brat?

- Wydaje mi się, że nie ufał ludziom ze szpitala. On i Eve twierdzili, że niektórzy lekarze tuszowali sprawę jakiejś nieudanej operacji.

- Też, w czasie której zmarł chirurg? Kobieta potaknęła.

- Było o tym naprawdę głośno, prasa długo się interesowała tymi wydarzeniami. Jim powiedział, że na konferencję prasową przywieźli na wózku zabandażowaną aktorkę. Chcieli przekonać wszystkich, że operacja się udała i w ten sposób pozbyć się dziennikarzy, którzy wszędzie węszyli.

- Czy pani bratu udało się zdobyć jakieś dowody?

- Nie jestem pewna. Artykuł nie poszedł w końcu do druku, ale to może dlatego, że Jim skupił się na czymś innym, niż powinien. Nasz tata, który całe życie przepracował w kopalni, zachorował na raka płuc. Operowano go. Jim uznał, że po zabiegu podano mu niewłaściwe lekarstwa. W tym samym czasie doktor Tolkien stwierdził, że z jego pacjentami dzieje się coś niedobrego. Moim bratem kierowały wtedy właściwie wyłącznie gniew i żal.

Chyba dlatego połączyli siły. Zresztą Eve, pielęgniarka, też miała jakieś zastrzeżenia... Potem przyszło im zapłacić za to wysoką cenę.

Steven ledwie mógł zachować spokój, słuchając tej historii. To gotowy scenariusz na horror, pomyślał. Widział, że Lisa źle znosi tę rozmowę, ale musiał zadać jej jeszcze kilka pytań.

- Czyli pani brat i doktor Tolkien połączyli siły, a potem dołączyła do nich jeszcze Eve... Czy pomagał im ktoś jeszcze?

Kobieta się zastanowiła.

- Tak, chyba tak - powiedziała w końcu. - Przypomniałam sobie, kiedy pan o to zapytał. Holland. Ktoś o nazwisku Holland. Miał coś wspólnego z komputerami w szpitalu.

- Ktoś jeszcze?

- Nie, nie sądzę.

- No cóż... Jeszcze raz przepraszam za niespodziewaną wizytę i przywołanie bolesnych wspomnień. Bardzo mi pani pomogła.

- Cieszę się, że po tylu latach ktoś zajmuje się śmiercią Jima. Nikt nie chciał podjąć się śledztwa, kiedy zginął mój brat.

- Myślałam, że już nie przyjdiesz - oznajmiła Tally, kiedy Steven przed ósmą dotarł do jej mieszkania.

- Przepraszam. Musiałem po drodze wstąpić do Newcastle. Szybki prysznic i zaraz będę gotowy. Dokąd chcesz iść?

- Słuchaj, nie musimy wychodzić - zaproponowała Tally. Usłyszał współczucie w jej głosie. - Mogłabym szybko coś przygotować, odprężyłbyś się i nabrał sił...

- Nie, chodźmy gdzieś.

- W takim razie w porządku. - Uśmiechnęła się, słysząc jego zdecydowanie. - Ale ja prowadzę. Wyglądasz, jakbyś potrzebował drinka.

Pojechali do indyjskiej restauracji. Mimo niedzielnego wieczoru nie było problemów z wolnymi stolikami. Tylko połowa miejsc była zajęta. Melodia grana na sitarze sprawiała, że miejsce wydawało się miłe i przytulne. Usiedli pod dużym świecznikiem, przy ścianie pokrytej tapetą w czerwony wzorek.

- Po co pojechałeś do Newcastle? - zapytała Tally. Steven opowiedział jej o spotkaniu z siostrą Kincaida i wszystkim, czego się od niej dowiedział.

- To się zaczyna układać w coś bardzo nieprzyjemnego - stwierdziła dziewczyna.

Steven przytaknął.

- Ale teraz przynajmniej mam już pewność, kto ze zmarłych był dobry, a kto zły.

- A wiesz już, co kombinowali?

- Nie, nie mam jeszcze pojęcia - przyznał. - System miał być niezawodny, ale Kincaid uważał, że ojca zabiły niewłaściwe lekarstwa. Neil Tolkien twierdził to samo odnośnie do swoich pacjentów.

- Z tego, co mówiłeś, system nie zostawiał zbyt wiele miejsca na błędy - stwierdziła z rezerwą Tally. - Jeśli lekarz ordynował konkretny lek,

komputer sprawdzał, czy jest to rzeczywiście odpowiedni medykament, a tańsze zamienniki sugerował jedynie w sytuacjach, kiedy badania kliniczne dowiodły ich skuteczności. Potem zamówienie z instrukcją przygotowania leku trafiało do zautomatyzowanego oddziału aptecznego. Co tu mogło nawalić?

- Zgadza się, taki system powinien być bezpieczniejszy niż tradycyjny - przytaknął Steven.

- Poczekaj. - Tally się zamyśliła. - Wspomniałeś, że Tolkien był zaangażowany w leczenie narkomanów...

- Co ci chodzi po głowie?

- Na co zmarł ojciec Kincaida?

- Z tego co zrozumiałem, przez wiele lat pracował w kopalni i miał chroniczne problemy z układem oddechowym. W końcu dostał raka płuc. Operowali go, ale niedługo potem zmarł.

Tally naląła Stevenowi wina.

- Nie mamy jak tego sprawdzić w tej chwili, ale dowiedz się, czy pacjenci, o których martwił się Neil Tolkien, byli narkomanami. Jeśli tak... może to były przypadki nie-rokujące.

- Co masz na myśli?

- Staruszek przewlekle chory, na dodatek pojawia się rak... Grupa uzależnionych od narkotyków, wśród których na porządku dziennym są zachorowania na AIDS i nosicielstwo wirusa HIV... Wszystko to jednostki

obciążające Północny Plan Opieki Medycznej ogromnymi kosztami. I nierokujące wyleczenia...

- Mój Boże, chyba wiem, do czego zmierzasz - zdziwił się Steven. - Chociaż wolałbym nie mieć o tym zielonego pojęcia... Kincaid martwił się o córkę. Dziewczynka miała uszkodzony mózg i mieszkała w domu pomocy. Zmarła kilka miesięcy po ojcu; jako przyczynę śmierci podano zapalenie płuc.

- Wiesz, to tylko taki domysł.

- Niestety, genialny i odrażający - szepnął Steven, gorączkowo analizując w myślach wszystkie dane w kontekście pomysłu Tally. - Muszę sprawdzić, czy uda mi się dostać do dokumentacji medycznej z tamtego okresu. Mam nadzieję, że jeszcze istnieje. Może znajdziemy jakiś wzór. Przedwczesna śmierć przypadków nierokujących.

- Przerazające, jeśli się okaże, że to prawda... - Urwała.

- Ale?

- Wiem, że to może zabrzmieć brutalnie, ale to... przeszłość. To wszystko wydarzyło się niemal dwadzieścia lat temu, a sprawcy, jeśli rzeczywiście możemy o nich mówić, już nie żyją.

Steven spojrzał na Tally i przez chwilę zastanawiał się, czy przyznać jej rację, czy powiedzieć więcej. Wolałby zachować jak najwięcej informacji dla siebie - to naturalny odruch u każdego śledczego - ale wiedział też, że w jego życiu pojawił się ktoś, komu mógł bezgranicznie zaufać.

- Niekoniecznie. - Pokręcił głową i opowiedział o podejrzeniach, które nasunęły mu się podczas sprawdzania tożsamości ofiar z Paryża. - To mogła być próba przejęcia władzy, zwykły zamach - zakończył. - W każdym razie sprawca był jednym z nich.

- A wzięłeś pod uwagę to, że ci ludzie mogli planować ponowne wprowadzenie planu w życie, a zamachowiec temu zapobiegł?

- To też możliwe. Choć obawiam się, że grupa będzie działać dalej, tyle że pod nowym kierownictwem.

- W każdym razie teraz w rozumiem, dlaczego musisz ustalić, co się wtedy wydarzyło. - Tally pokiwała głową.

- Jeśli zmierzamy we właściwym kierunku, to odkryliśmy przestępstwo i mamy motyw. Najwyraźniej chodziło o oszczędności. Nie wiemy jedynie, jak tego dokonali.

- Padam ze zmęczenia.

- Widzę. Chodźmy do domu.

Tally wstała przed Stevenem, bo wcześniej wychodziła do pracy.

- Ostatni wieczór był kamieniem milowym - powiedziała, całując go w usta.

- Jak to?

- Kamieniem milowym dla naszego związku. Po raz pierwszy poszliśmy do łóżka i się nie kochaliśmy.

- Rany, racja. Strasznie mi przykro, nie wiem, jak... Tally oparła palec na jego ustach.

- Nie przejmuj się. Było miło. Trzymałeś mnie za rękę, powiedziałaś, że mnie kochasz i padłeś jak kłoda. Ja też spałam jak kamień.

Jak minął weekend? - zapytała Jean Roberts, witając Stevena w biurze, do którego dotarł wczesnym popołudniem.

- Wycieczka do Newcastle i spotkanie z siostrą Kincaida były warte każdej minuty poświęconego czasu - oznajmił. - Kincaid razem z Neilem Tolkienem rozpracowywali Północny Plan Opieki Medycznej, obaj twierdzili, że niektórzy pacjenci umierają, choć nie powinni. Historyjka o porachunkach baronów narkotykowych to tylko wybieg, który miał zatuszować morderstwo Kincaida. Lisa Hardesty jest przekonana, że ludzie, którzy stali za wdrożeniem planu opieki, są też odpowiedzialni za śmierć jej brata. Najwyraźniej dowiedzieli się, że odkrył ich prawdziwe zamiary.

- To znaczy? Myślałam, że ludzie byli zadowoleni z udogodnień, jakie niósł Północny Plan Opieki Medycznej - stwierdziła Jean.

- Generalnie tak - zgodził się Steven - ale Lisa Hardesty uświadomiła mi, że jej brat podejrzewał, iż plan ma też swoją ciemną stronę. Śmiertelnie mroczną.

- Obawiam się, że nie rozumiem?

- Ojciec Jamesa Kincaida był przewlekłe chory. W końcu wykryto u niego raka. Zmarł krótko po operacji.

Wyraz twarzy Jean mówił wyraźnie, że taki obrót spraw nie wydawał jej się niczym dziwnym.

- Kilkoro pacjentów Neila Tolkiena doświadczyło podobnego losu. Zmarli, choć nic nie zapowiadało, że tak szybko odejdą z tego świata. Dlatego Tolkien zaczął coś podejrzewać.

Jean przygryzła usta, ale wciąż milczała.

- James Kincaid umieścił córkę w zakładzie opieki, bo doznała uszkodzenia mózgu. Zmarła na zapalenie płuc.

- Sugerujesz, że ludzie, którzy stali za Carlisle'em, mordowali obywateli? - Jean była wyraźnie zszokowana.

- Selektywnie ich eliminowali - potwierdził Stevens. -Uważam, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że pozbywali się „przypadków nierokujących”. Tally użyła takiego określenia. Spisali ich na straty.

- Jak to możliwe? To brzmi, jakby realizowali jakieś nazistowskie plany!

- Nie wiem, jak to możliwe. Nie wiem nawet, czy po tylu latach uda nam się cokolwiek udowodnić.

- Musisz zdecydować, od czego zacząć.

- Dokumentacja medyczna. Trzeba przejrzeć karty osób, które były leczone w czasie wprowadzania Północnego Planu Opieki Medycznej, a w szczególności takich, które można by uznać za przypadki nierokujące...

- Jak je rozpoznać? Steven się zamyślił.

- Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że te osoby długo korzystałyby z dobroczynności państwa.

- Zakładając, że jakimś cudem uda nam się dotrzeć do tych akt, co po tylu latach może być dość trudne, i tak będziemy potrzebowali pomocy. Czeka nas masa pracy.

- Bierz tylu ludzi, ilu będzie trzeba. Ale najpierw dowiedz się, czy ta dokumentacja jeszcze w ogóle istnieje i czy będziemy mieli do niej dostęp. Skontaktuj się z administracją College Hospital, a potem podzwoń do lokalnych prywatnych gabinetów. Zacznij od ówczesnej partnerki Neila Tolkiena. Pamiętaj, że Tolkien zajmował się też kuracjami odwykowymi dla narkomanów... Chociaż wątpię, żeby ten ośrodek jeszcze funkcjonował. Takie miejsca działają kilka lat i znikają.

- Rozumiem, że mamy pełne wsparcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? - zapytała Jean.

- No pewnie. - Steven uśmiechnął się, jakby usłyszał niewypowiedziane pytanie. - Lecę zobaczyć, co u Johna. - Pokiwał głową. - Mam nadzieję, że czuje się dość dobrze, żeby oficjalnie przekazać mi kierownictwo. Poproszę, żeby podpisał odpowiednie papiery.

- Przekaż mu pozdrowienia. Ach! Prawie bym zapomniała. Dzisiaj rano trafiłam na coś, co może cię zainteresować. Pytałeś o Gordona Fielda, menedżera College Hospital na początku lat pięćdziesiątych. Znalazłam go.

- Świetna robota.

- Siedzi w Leigh Open Prison. Dostał osiemnaście miesięcy za nadużycia finansowe.

Steven westchnął z rezygnacją.

- Przynajmniej wiem, gdzie go szukać.

John Macmillan rozwiązywał akurat krzyżówkę w „Timesie”. Dyrektor Inspektoratu Naukowo-Medycznego, ubrany w szlafrok i kapcie, siedział w wysokim fotelu, naprzeciwko kominka, z nogami opartymi na podnóżku. Na głowie wciąż miał bandaż, ale jego oczy odzyskały blask i ciekawość świata.

- Witaj. Dobrze cię widzieć.

- No nie, nie wierzę! - krzyknął Steven z uśmiechem. -Dopiero co wróciłeś do domu po poważnej operacji mózgu, a już siedzisz nad krzyżówką?

- Pozory mylą, mój drogi. Wcześniej całość zajmowała mi góra dwanaście minut, a dzisiaj od dwóch godzin męcę się z cztery pionowo.

Steven uśmiechnął się, słysząc niezadowolenie w głosie Macmillana, choć widział wyraźnie, że trzy czwarte haseł w krzyżówce było już wpisanych.

- Nalej sobie czegoś. Zaprosiłbym cię na obiad, ale żona z córką wyjechały na kilka dni. Pomyślałem, że potrzebują odpoczynku po tym wszystkim, więc w domu jest tylko kobieta z agencji pielęgniarek i pani od sprzątan.

Steven podszedł do barku i napełnił szklanę dzinem z tonikiem. Macmillan odmówił machnięciem dłoni.

- Powiesz mi, jak wam idzie?

- Myślę, że miałeś powód, żeby... bliżej zainteresować się niedawnymi wydarzeniami w Paryżu i śmiercią Johna Carlisle'a. - Steven pokiwał głową.

- Poszedłem twoim śladem. Konkretniej rzecz biorąc, rozszerzam śledztwo, dlatego nasza współpraca musi mieć podstawy formalne. Podpiszesz mi kilka papierów?

Macmillan potaknął.

- Chodzi ci o oficjalne przekazanie obowiązków dyrektora inspektoratu?

- Nie. Chodzi mi ustanowienie mnie p.o. dyrektora inspektoratu do twojego powrotu. Po prostu muszę mieć jakąś podkładkę. Będę spokojniejszy, czując za sobą autorytet instytucji. Jean też będzie łatwiej załatwiać różne sprawy. Przy okazji, kazała cię pozdrowić.

- Załatwione - zgodził się Macmillan. - Przygotuję odpowiednie pismo i wyślę z samego rana. Dobra, to teraz opowiedz, czego się dowiedziałeś.

Dunbar zreferował wszystko, do czego doszedł. Z prawdziwą radością obserwował, jak John wraca do siebie. Macmillan siedział w milczeniu i słuchał, nie przerywając. Wpatrywał się w bliżej nieokreślony punkt przed sobą, jak to miał w zwyczaju, lecz Steven wiedział, że każde słowo trafia tam, gdzie powinno. Kiedy skończył, John zastanawiał się jeszcze chwilę nad nowymi informacjami.

- W takim razie nie ma się co dziwić, że Północny Plan Opieki Medycznej był tak cholernie skuteczny - odezwał się w końcu. - Problemów nie rozwiązywano, tylko wysyłano je na cmentarz.

- Na to właśnie wygląda - zgodził się Dunbar. - Ale czeka nas kupa roboty, żeby ustalić, jak mogło dojść do czegoś takiego.

- Jeśli wszystko, o czym mówiłeś, okaże się prawdą, to spotkanie w Paryżu mogło być pierwszym krokiem, żeby znów wcielić plan w życie.

- Można założyć, że wizja rychłej zmiany rządu i łatwiejsza do zdominowania administracja sprawiły, że wyszli ze stanu hibernacji.

- Tyle że coś poszło nie tak. Zamiast dyskretnie spotkać się w Paryżu, z dala od czujnych oczu obserwatorów, wylecieli w powietrze. Jakies hipotezy, dlaczego tak skończyli?

- Zabójca prawdopodobnie był jednym z nich - stwierdził Steven i wyjaśnił, jak na to wpadł. - Przecież nikt nie chodzi z kostką semteksu w kieszeni, szukając okazji, co by tu wysadzić...

- Raczej nie - przytaknął Macmillan.

- Chciałbym myśleć, że ktoś z nich miał po prostu wyrzuty sumienia i zdecydował się położyć kres tej ohydnej działalności, ale... No cóż, to nie jedyne wyjaśnienie.

- Doprawdy? Co ci chodzi po głowie?

- Przewrót? Walka o władzę? Chęć zmiany dotychczasowej polityki? - Steven rzucił propozycjami, a potem opowiedział o swoich wątpliwościach

dotyczących samobójstwa Johna Carlisle'a. - Moim zdaniem ktoś zdecydował się sprzątnąć całą starą gwardię, włącznie z Carlisle'em.

- Tylko po co? - zastanawiał się Macmillan.

- I tu jest pies pogrzebany. Zakładam, że może chodzić o ten sam plan, a ludzie, którzy zginęli w Paryżu, nie chcieli wydać zgody na jego wprowadzenie. Ale przecież za pierwszym razem plan chwalili wszyscy... Gdyby nie James Kincaid i jego banda nieznośnych wichrzycieli, pewnie zostałyby wdrożony w całym kraju, przez co dziś mielibyśmy...

- Młodsze, zdrowsze i bogatsze społeczeństwo. - Macmillan uśmiechnął się gorzko. - Prawicowcy mają ten nieszczęsny dar odwoływania się do zdrowego rozsądku, prawda? Prawda wraca do głosu dopiero, kiedy zaczynasz ekshumować masowe groby.

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła kobieta w średnim wieku, ubrana w pielęgniarski fartuch.

- Wybaczenie, panowie, ale już czas - oznajmiła, wskazując wymownie na zegarek zawieszony na szyi. - Sir John, tak dobrze panu idzie, nie chce pan chyba wszystkiego zepsuć, prawda?

- Wybaczenie... - Macmillan spojrzał na gościa. - Informuj mnie o postępach w śledztwie. A list będzie jutro w ministerstwie.

James Black, nowy szef Grupy Schillera, udający sekretarza komitetu organizacyjnego turnieju golfa klubu Red-wood Park, zwołał spotkanie zaledwie z czterogodzinnym wyprzedzeniem. Dlatego nie miał pewności, ilu członków pojawi się o ósmej w prywatnej sali niebudzącej podejrzeń restauracji. Okazało się, że dwadzieścia po ósmej wszyscy już tam byli.

- Jak rozumiem, nie masz dla nas dobrych wieści? -zapytał Toby Langton.

Pozostali mruknęli, jakby potwierdzając jego obawy.

- Nie ma powodów do niepokoju, ale pomyślałem, że wszyscy powinniście wiedzieć. Inspektorat Naukowo-Medyczny zainteresował się Północnym Planem Opieki Medycznej.

- Nie ma powodów do niepokoju? - krzyknęła Con-stance Carradine. - To ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy!

- Skąd to nagle zainteresowanie? - dopytywał się Ru-pert Coutts.

- Spokojnie, tylko spokojnie... - Black uniósł ręce. -Nie mają pojęcia, na co trafili. Wygląda na to, że kiedy potwierdzili tożsamość ofiar z Paryża, zaczęli się zastanawiać, co je łączyło, i w ten sposób trafili do Johna Carlisle'a...

- Co z kolei doprowadziło ich do Północnego Planu Opieki Medycznej - dokończył Elliot Soames. - Nie podoba mi się to.

- Ile wiedzą? - zapytał Langton.

- A co tam jest do wiedzenia? - odparował Black. -Plan był przez wszystkich wychwalany, a jego wprowadzenie uznano za wielki sukces. Nie żyje żadna z osób, które za nim stały. Sic transit gloria mundi. Koniec, kropka.

- Mimo to mam złe przeczucia. - Constance pokręciła głową. - Mówi się, że inspektorat lubi wyciągać rzeczy, których inni nie zauważyli.

- Jak w ogóle się o tym dowiedziałeś? - spytał Toby Langton.

Black zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi. Wiedział, że to, co powie, nie pomoże mu uspokoić pozostałych.

- Dostałem informację od kogoś z laboratorium policji. W Inspektoracie Naukowo-Medycznym mieli ponoć zastrzeżenia co do tego, czy Carlisle sam odebrał sobie życie.

- Jezu Chryste, mamy przerabane! - mruknął Coutts.

- Zaraz, spokojnie - przystopował go Black. - Nikt nie podważył pierwotnego raportu z sekcji zwłok.

- I dzięki Bogu!

- Słyszałem, że szef inspektoratu jest poważnie chory - odezwał się Soames.

- To prawda.

- W takim razie kto zaczął węszyć wokół śmierci Carlisle'a?

- Doktor Steven Dunbar. Wychodzi, że to szef pionu dochodzeniowego w inspektoracie.

- Wiemy, dlaczego nabrał podejrzeń? - zapytała Constance.

- Zaczął zadawać pytania po spotkaniu z żoną Johna.

- Wiemy, po co się z nią spotkał?

- Nie.

- Może powinniśmy ją zapytać?

- Myślałem już o tym - zgodził się Black. - Ale nie ma jej w kraju. Wyjechała do RPA, żeby odpocząć po niespodziewanej śmierci męża. Moi drodzy, jestem przekonany, że w ogóle niepotrzebnie zaprzątamy sobie tym głowy. Nic nas nie łączy z Frenchem ani z żadną inną ofiarą wybuchu w Paryżu. A tym bardziej z tym, co zrobili. Zresztą wszyscy nie żyją.

- Chyba masz rację - przytaknął Coutts. - Ale mimo wszystko myśl, że Inspektorat Naukowo-Medyczny zaczął węszyć, sprawia, że czuję się nieswojo.

- Mogę się założyć, że lada chwila przestaną się tym interesować, jeśli już nie przestali - wyjaśnił Black. - Poczuli się zobowiązani do sprawdzenia zamachu w Paryżu i samobójstwa byłego ministra zdrowia. Mają, czego szukali, i dadzą sobie spokój.

- Skoro tak twierdzisz... - Coutts się zamyślił. - Mimo wszystko nie zaszkodzi trzymać ręki na pulsie.

- Z całą pewnością nie przestanę monitorować tej sprawy - zgodził się Black. - Tylko pamiętajcie, proszę, że to niezależna organizacja i nie dość, że nie muszą, to jeszcze nie lubią się afiszować ze swoimi zainteresowaniami.

- Co wiemy o tym całym Dunbarze? - zapytała Con-stance.

- Słyszałem tylko tyle, że jest dobry w tym, co robi. Jakiś czas temu odszedł z inspektoratu, ale teraz wrócił ze względu na osobistą prośbę sir Johna Macmillana, kiedy ten zachorował. Pilnuje interesu i denerwuje się zdrowiem przyjaciela. To wszystko. Czy możemy przejść do punktu dotyczącego naszych planów?

Nie istnieje oficjalna dokumentacja medyczna pacjentów szpitala z czasów działania Północnego Planu Opieki Medycznej - poinformowała Jean Roberts. - A gabinet, w którym pracował Neil Tolkien, został zamknięty piętnaście lat temu. Brak informacji o przeniesieniu leczących się tam pacjentów. Nikt już nawet nie pamięta o leczeniu odwykowym dla narkomanów, które prowadził Tolkien. Dość pesymistyczny początek.

- Cholera! - zaklął Steven. - Zaraz, czyżbyś celowo użyła słowa: „oficjalny”?

- Wiedziałaś, że zauważysz. - Jean uśmiechnęła się szeroko. - Wygląda na to, że szpitale lubią się pozbywać dokumentacji medycznej najszybciej jak się da, więc zazwyczaj kiedy mija ustawowy czas przetrzymywania kartotek, dane po prostu znikają z systemu, co wcale nie oznacza, że zostają zniszczone. Często jest z nimi tak jak z danymi na dysku twardym: po skasowaniu znikają z rejestru, ale wciąż istnieją, choć nie ma do nich dostępu.

- I?

- Całkiem możliwe, że dokumenty zostały zmagazynowane gdzieś w podziemiach szpitala, wykorzystywanych do przechowywania wszystkiego, co przestało być przydatne na górze. Osoba, z którą rozmawiałam, nie mogła mi zagwarantować, że znajdziesz akurat to, na czym ci zależy, ale są na to spore szanse.

- W takim razie nie mam nic do stracenia - zdecydował Steven. - Powiadom College Hospital oficjalną drogą, czego szukamy. I postaraj się załatwić mi pozwolenie na przewertowanie ich papierów na miejscu. Dasz radę?

- Oczywiście.

- Chciałbym się też spotkać z Gordonem Fieldem, chociaż nie wiem jeszcze kiedy. Tak na marginesie, gdzie w ogóle jest to więzienie?

- W Yorkshire. Mam się skontaktować z biurem dyrektora?

- Tak, proszę. Umów odwiedziny jakoś w najbliższych dniach.

Steven wrócił w niedzielę do Leicester i został na noc w mieszkaniu Tally.

- Jak myślisz, co teraz zrobią liberałowie? - zapytała dziewczyna, kiedy zmywali naczynia po obiedzie. Uzyskała dokładnie taką odpowiedź, jakiej się spodziewała. Niechętne mruknięcie.

- Masz to gdzieś, prawda?

- Zgadłaś.

- Oj, Steven! Wiem przecież, że napatrzyłeś się na złe rzeczy w polityce, i wiem, że nie lubisz ludzi, którzy uprawiają ten zawód, ale...

- Nie wiesz nawet połowy tego, co ja wiem.

- Może i nie, ale pomyśl, że to wszystko się nie zmieni. Chyba że ty postanowisz coś z tym zrobić.

- Tally, ludzka natura nigdy się nie zmieni. To siła, która wszystko napędza. Zawsze tak było i zawsze będzie. Zmieniają się tylko okoliczności.

- Co masz na myśli?

- Sama wiesz... Dzisiaj bojownicy o prawdę i wolność, a jutro skorumpowani politykierzy. Wczorajsi idealisci to dzisiejsi egoistyczni kłamcy. Zmienia się wszystko dookoła, ale wciąż nami kieruje gen chciwości. Ludzie zawsze będą szukali okazji, żeby jak najwięcej ugrać dla siebie.

- Boże! - Tally pokręciła głową, jakby usłyszała więcej, niż się spodziewała. - A co ty zamierzasz ugrać dla siebie?

- Twój tyłeczek... jak tylko skończymy zmywać - odpowiedział Steven, siląc się na powagę.

- No dobrze. - Poddała się. - Nie ma sensu walczyć z ludzką naturą, prawda?

Steven miał problem ze znalezieniem wolnego miejsca, kiedy podjechał pod duży miejski szpital. Brak parkingów częściowo był spowodowany tym, że College Hospital -najstarsza tego typu placówka w mieście - została wzniesiona w czasach, kiedy najpopularniejszym środkiem lokomocji były nogi. Steven robił właśnie drugie okrążenie, kiedy w końcu dostrzegł światła cofania i zatrzymał się, żeby wypuścić srebrne kombi, a potem szybko zajął jego miejsce. Przez chwilę rozkoszował się smakiem zwycięstwa, nieodłącznym w podobnych sytuacjach.

- Jestem umówiony - oznajmił recepcjonistce, kiedy zapytała, w czym może mu pomóc. Kobieta podniosła słuchawkę i zadzwoniła do pani Rutherford. Rozłączyła się i poprosiła, żeby usiadł i poczekał. Zaraz ktoś po niego przyjdzie. Steven wykorzystał ten czas, żeby rozejrzeć się dokoła. Zgodnie z oczekiwaniami dostrzegł jedynie wiktoriańskie wnętrza, nowoczesne znaki wskazujące drogę do oddziałów, o których nikt nie śnił w

czasach, kiedy stawiano budynek, wyłożone płytkami ściany i korytarze ciągnące się w nieskończoność, jakby żywcem przeniesione z sennych koszmarów. W powietrzu unosił się typowy szpitalny zapach. Do biurka recepcjonistki zbliżył się młody mężczyzna w garniturze. Zapytał o coś, a kobieta wskazała na Stevena.

- Pan Dunbar? Witam, Paul Drinkwater. Dyrektor szpitala poprosił, żebym przekazał jego przeprosiny, akurat ma ważne spotkanie. W związku z tym ja się panem zajmę.

Steven podał mu rękę i wyjaśnił, że potrzebuje dostępu do piwnic szpitala.

- Mam nadzieję, że wziął pan ze sobą jakieś ubranie robocze? - zapytał Drinkwater. - Tam na dole jest dość brudno.

- Hm... Nie pomyślałem o tym.

- Proszę za mną. - Paul wyprowadził Stevena z głównego budynku.

Przeszli przez wyłożony kamienną kostką dziedziniec i podeszli do grupy niewielkich budynków opisanych jako Dział Techniczny. Tam Drinkwater przedstawił gościa pracownikowi, Dennisowi Drysdale'owi. Następnie polecił temu niewysokiemu, krępemu mężczyźnie, by wskazał doktorowi Dunbarowi drogę do piwnic.

- Jeśli będzie pan czegoś jeszcze potrzebował, proszę zadzwonić. Mój numer wewnętrzny to 117.

Steven, który naiwnie wierzył, że zejście do piwnicy będzie wymagało jedynie otworzenia drzwi i ruszenia schodami w dół, ponownie został

poprowadzony na safari między zabudowaniami. W końcu zatrzymali się przed podwójnymi drewnianymi drzwiami w ścianie głównego budynku. Drysdale otworzył kłódkę.

- Proszę się nie krępować.

Dunbar spojrział na wąskie, strome schodki, które bardziej pasowałyby do jakiejś starej kopalni. Na kamiennych ścianach w dość dużych odstępach zamontowano nagie żarówki osłonięte stalowymi kratkami.

- Jak pan skończy, niech mi pan da znać, żebym mógł zamknąć - poprosił Drysdale. - Inaczej zaraz mi się tu zakwaterują narkomani i pijacy.

Przynajmniej nie jest zimno, stwierdził Steven, kiedy znalazł się na pierwszym skrzyżowaniu podziemnych korytarzy. Miał przed sobą trzy drogi do wyboru. Zdecydował się na środkową, zakładając, że w ten sposób dotrze pod centrum głównego budynku i znajdzie jakieś sale, a nie tylko korytarze, rury i kable na ścianach. Większość z tej infrastruktury musiała służyć do transportu ciepłej wody i pary, pomyślał, bo z każdym krokiem robiło się coraz goręcej. Miejscami musiał się schylać, żeby uniknąć uderzenia w głowę, lecz nawet wtedy czuł na twarzy ciepło bijące od rur.

W końcu z ulgą dostrzegł, że korytarz zaczyna się rozszerzać, a po obu stronach pojawiły się pomieszczenia -niektóre z drzwiami, inne otwarte. W jednym z nich zmagazynowano zniszczone meble, w innym coś, co wyglądało na starą aparaturę anestezjologiczną. Nieużywane stalowe łóżka i lampy naftowe sprawiały, że czuł się jak w muzeum. W wyobraźni Stevena pojawiły się pielęgniarki w sukniach do ziemi i wysokich czepkach i chirurdzy w surdutach.

Spodziewał się, że ostatnie drzwi będą zamknięte, lecz kiedy naparł na nie ramieniem, ustąpiły. Nienaoliwione zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie, a zwielokrotniony echem dźwięk świadczył o tym, że następne pomieszczenie jest znacznie większe niż to, w którym stał. W środku panowała ciemność. Żarówka na korytarzu oświetlała jedynie fragment podłogi przy drzwiach. Po omacku sprawdził ścianę i trafił na staroświecki włącznik. Odetchnął z ulgą, kiedy pod sufitem rozbłysnęła lampa.

Pomieszczenie było wielkości dwóch kortów tenisowych, lecz gęsto poustawiane ceglane kolumny, na których wspierał się szpital, sprawiały, że wydawało się dużo mniejsze. Przy wejściu ułożono w stosy drewniane stoły i krzesła. Szybko pokonał tę przeszkodę i znalazł to, czego szukał - szereg szaf na akta, wypełnionych tekturowymi teczkami. Sięgnął po pierwszą z brzegu i otworzył. W środku znajdowała się karta leczenia pani Matildy Gardner, która trafiła do szpitala z kamieniami żółciowymi w 1976 roku.

Najważniejsze było teraz ustalenie, czy tecki trafiły na półki bez ładu i składu, czy też ułożono je według jakiegoś klucza. Jeśli porozkładano je bez ładu i składu, miał przed sobą iście syzyfową pracę. I wcale się na nią nie cieszył. W całkowitej ciszy przyglądał się aktom, szukając jakichkolwiek znaków na półkach, czy choćby na grzbietach teczek, lecz niczego nie dostrzegł. Podeszedł do kolejnego rzędu, zastanawiając się z rezygnacją, ilu ludzi będzie potrzebował, żeby przebrnąć przez górę papieru i ułożyć dokumenty chronologicznie. I wtedy kątem oka dostrzegł coś na podstawie półek. Przesunął palcem po drewnie i z ulgą zauważył, że pod warstwą kurzu i brudu znajdowały się niewyraźne cyfry wypisane czarnym tuszem -

75.

Znów wstąpiła w niego nadzieja. Steven sięgnął po kilka teczek, przyniósł je bliżej wejścia, rzucił na ziemię i ze stosu mebli wy dobył stolik i krzesło. Urządził polowe biuro, by móc usiąść i przeglądać dokumenty. Po chwili wiedział już, że wszystkie papiery, jakie wziął z półki, dotyczyły pacjentów hospitalizowanych w 1975 roku. Serce zabiło mu szybciej, kiedy trafił na szafę oznaczoną jako 91. Kolejna sterta teczek, kilka minut przeglądania ich zawartości na zakurzonej biurku i miał pewność, że wszystkie dotyczą pacjentów leczonych w szpitalu w czasach funkcjonowania Północnego Planu Opieki Medycznej. Teraz musiał zdecydować, czy przysłać tu ludzi, by przeanalizowali zawarte w dokumentacji dane, czy zorganizować jej transport do Londynu.

Po namyśle uznał, że drugi wariant będzie lepszy. Inspektorat Naukowo-Medyczny współpracował z całą rzeszą konsultantów, agencji i specjalistów, których w razie potrzeby można było wezwać. Jean Roberts szybko zorganizuje zespół dysponujący odpowiednią wiedzą, by przeanalizować karty pacjentów i usystematyzować wyniki badań. A kiedy się tym zajmą, on pojedzie na widzenie do Gordona Fielda. Czyli teraz musiał zadzwonić i wydać dyspozycje.

Steven zatrzymał się przy drzwiach, żeby obejrzeć archaiczne włączniki światła. Lata temu widział takie po raz ostatni, lecz pamiętał, że babcia miała identyczne w domu w Keswick. Zamyślił się, przypominając sobie salon z pianinem i koronkowymi firankami, kiedy usłyszał jakiś odgłos w korytarzu.

- Halo? Jest tam kto? - zapytał głośno.

Odpowiedziała mu cisza.

Był pewien, że nie wyobraził sobie tego, więc zawołał jeszcze raz. Znów cisza.

Wzruszył ramionami i zanim wyszedł na korytarz, wyłączył światło. Zamknął za sobą drzwi i ruszył do wyjścia. Zaraz dotrze do wąskiego korytarza z rurami. Poczul na twarzy gorąco, kiedy ponownie przyszło mu przeciskać się pod siecią zaopatrzeniową budynku. Może sprawił to niepokój, który czaił się gdzieś w jego wnętrzu, od kiedy pomyślał, że nie jest tu sam, ale widząc jakiś ruch kilka metrów przed sobą, odruchowo padł na kolana, zasłaniając twarz obiema rękami.

W tej samej chwili przez otwarty zawór wystrzeliła para wodna. Poparzyła mu wierzch dłoni i wypełniła korytarz ogłuszającym rykiem. Stevena uderzyła w nozdrza nieprzyjemna woń kotłowni. Wrzasnął z bólu i przetoczył się po podłodze, a potem na czworakach przeczołgał pod strumieniem pary, aż minął otwarty zawór. Daleko z przodu zdążył jeszcze dostrzec uciekającą postać.

- Co za skurwysyny! - wrzasnął na całe gardło, a wściekłość mieszająca się bólem nakazała mu podjąć pościg. Dostrzegł jedynie, że gonił mężczyznę, podobnego wzrostu, jak on sam, bo tak samo musiał się schylać, żeby nie uderzyć w podwieszane pod sufitem rury. Uciekający miał na sobie dżinsy i adidasy... I był szybszy.

Steven się zatrzymał. Hej, Dunbar, weź się w garść, pomyślał. Pomyśl o dłoniach. Przypomniawszy sobie, że szukając starego archiwum, co kilka metrów mijał krany wpuszczone w ścianę. Skupił się na znalezieniu jednego z nich. Kiedy na niego trafił, odkręcił i z ulgą stwierdził, że jest podłączony do zimnej wody. Wsunął ręce pod strumień i natychmiast poczuł ulgę.

Wiedział, że kiedy cofnie dłonie, ból powróci. Stał tak dość długo, by uspokoić oddech i myśli. Wiedział, że mimo bólu miał duże szczęście. Gdyby nie padł tak szybko na kolana, gorąca para trafiłaby go prosto w twarz. Teraz, żeby zminimalizować uszkodzenie skóry, musiał jak najszybciej otrzymać pomoc. Na szczęście był przecież w szpitalu.

- Jasna cholera! - krzyknął Drysdale, widząc grzbiety dłoni Stevena.

- Poparzenie parą - wyjaśnił Dunbar, biegnąc w kierunku izby przyjęć.

Drysdale wrócił w towarzystwie Paula Drinkwatera, kiedy Steven miał już opatrzone rany.

- Co się stało? - zapytał Drinkwater.

- Kiedy wychodziłem, ktoś otworzył zawór i oberwałem parą wodną.

- Ależ szybko się uwinęli. - Drysdale pokręcił głową, a Steven i Drinkwater spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Pijacy - wyjaśnił mężczyzna. -I ćpuny. Dla nich nasze piwnice to wygodny, ciepły hotel. Właśnie dlatego wejście jest cały czas zamknięte na kłódkę... Widać wystarczyła im chwila, kiedy doktor Dunbar był na dole.

- Rozumiem - stwierdził Paul. - Zauważyli kogoś nowego i uznali, że to ktoś, kto zabrania im dostępu? - spojrział na Stevena. - Jak się pan czuje?

- Do wesela się zagoi. - Dunbar uniósł obandażowane dłonie. Kręciło mu się w głowie od środków przeciwbólowych. - Mogło być gorzej.

- W tej sytuacji chyba nie wypada zapytać, czy znalazł pan to, czego szukał?

- Wypada. I tak, znalazłem. Dlatego proszę zamknąć drzwi i nikomu ich nie otwierać, dopóki nie zorganizuję transportu akt, które są mi potrzebne.

- Oczywiście - przytaknął Drinkwater. - Dennis, możesz się tym zająć?

- Tak jest - zgodził się Drysdale. - Ale gdyby się przydarzyła jakaś awaria ogrzewania w szpitalu...

- Nikt nie może schodzić na dół w pojedynkę - podkreślił Steven. - Zaraz poproszę policję, żeby za każdym razem, kiedy trzeba będzie tam zejść, przysyłali funkcjonariusza.

Drysdale pokiwał głową.

- W takim razie nie ma żadnych ale.

Rozmowę przerwało pojawienie się dobrze ubranego mężczyzny koło pięćdziesiątki. Jego ciemny garnitur i jedwabny krawat wskazywały, że zajmuje wysokie stanowisko w zarządzie.

- Doktor Dunbar? Bardzo mi przykro. Przed chwilą dotarła do mnie wiadomość. Clive Deans, dyrektor. Przykro mi, że nie mogłem spotkać się z panem wcześniej, a teraz jeszcze to... Proszę przyjąć moje przeprosiny. Czy mogę coś dla pana zrobić?

- Na początek proszę mi wybaczyć, ale nie uścisnę panu dłoni.

- W takim stanie nie powinien pan prowadzić. Może niech pan skorzysta z apartamentu dla krewnych? Akurat stoi pusty. Proszę się dobrze wyspać, a gdyby potrzebował pan tabletek przeciwbólowych, nie będzie pan miał daleko.

- Dziękuję. Chyba skorzystam.

Wskazano mu drogę do pokoju, a na koniec dostał listę telefonów, z których miał korzystać, gdyby czegokolwiek potrzebował. Dyrektor raz jeszcze wyraził swoje ubolewanie z powodu wydarzeń w piwnicy i się pożegnał. Steven został sam. Sięgnął po komórkę i zaczął dzwonić. Zaczął od Jean Roberts.

- Jean, słuchaj, przydarzył mi się mały wypadek, a mam kilka spraw, które trzeba szybko załatwić.

- To mi nie wygląda na wypadek - stwierdziła, zmusiwszy go od opowiedzenia całej historii.

- Całkiem możliwe. Tak czy inaczej, chciałbym, żeby akta jak najszybciej trafiły do Londynu. Będziemy potrzebowali samochodu dostawczego i zespołu analityków, którzy się zajmą dokumentacją, jak tylko do nas dotrze. Trzeba też załatwić z lokalną policją dodatkowego człowieka, żeby do czasu wywiezienia danych miał oko na piwnicę w College Hospital. Nikomu nie wolno schodzić tam samemu i pod żadnym pozorem nie wolno ruszać papierów.

- Zrozumiałam. Chcesz przyznać tym działaniom najwyższy priorytet?

Steven się zawahał. Wcześniej często korzystał z dobrodziejstw najwyższego priorytetu, bo oznaczało to automatyczne wsparcie kilku szefów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ale nigdy nie znalazł się sytuacji, kiedy musiałby korzystać z uprawnień, jakie mu to dawało.

- Nie, jeszcze nie. - Pokręcił głową. - Na razie spróbujmy załatwić wszystko po dobroci. Jeśli nie będziemy mogli liczyć na współpracę, wtedy wystąpimy o najwyższy priorytet.

- W porządku. Będę na bieżąco informowała cię o postępach. Nadal chcesz odwiedzić Gordona Fielda w więzieniu?

- Tak, najlepiej jutro rano.

- Zajmę się tym. I... uważaj na siebie, Steven.

Z jakiegoś powodu ostatnie słowa Jean zmusiły go do myślenia. Nie był do końca przekonany, że trafił na zwykłego pijaka, któremu nie spodobała się jego obecność. Mimo wszystko chciał w to wierzyć, bo każde inne wyjaśnienie oznaczało, że ktoś chciał go powstrzymać. Że ktoś miał powód, by zniechęcić go do grzebania w sprawach, które powinny zostać zapomniane. Na razie Steven nie chciał nikomu zwierzać się ze swoich wątpliwości, a już najmniej Tally. Wyobrażał sobie, jakie wybuchłoby zamieszanie. W ten sposób na potrzeby telefonu do Tally jego obrażenia przeistoczyły się w nieszkodliwe i powierzchowne.

- Mój biedaczku, jak dajesz radę?

- To nic takiego, ale na początku dość bolesne. Musiałem założyć opatrunki i wziąć kilka tabletek, więc usnę jak dziecko. Jutro z samego rana ruszam dalej. Pojadę do Yorkshire, odwiedzić Gordona Fielda.

- Miłej wycieczki - zażartowała. - Wpadniesz do mnie później, żebym mogła pocałować cię w łapki? Szybciej się zagoją.

- Nie wiem, czy dam radę. Możliwe, że będę musiał wrócić tutaj.

- No tak, transport dokumentacji... szkoda...

- Może potem wezmę wolne? Weźmiesz też dzień urlopu? Moglibyśmy gdzieś wyskoczyć.

- Zobaczę.

Otwarty zakład karny w Leigh znajdował się na odludziu, wśród wrzosowisk Yorkshire, dość daleko od arterii komunikacyjnych, by osadzeni nie zaplanowali wcześniejszego opuszczenia tego przybytku. George Plumpton, dyrektor więzienia, potężny mężczyzna o rumianej twarzy i wyraźnym upodobaniu do tweedu przywitał Stevena „w swoich skromnych progach” i zaproponował herbatę i ciastka. Dunbar przyjął zaproszenie.

- Przyjechał pan odwiedzić Gordona Fielda?

- Tak.

- Planuje pan z nim dziesięć rund sam na sam? - Dyrektor uniósł brwi i wskazał na jego bandaż.

- Miałem nadzieję, że to nie będzie konieczne. Słyszałem, że to wzorowy więzień.

Plumpton wybuchnął śmiechem, zanim połknął ciasteczko. Wylał okruszki z brody i popatrzył na gościa.

- Tak, tak. Wszyscy są wzorowi. Mam tu głównie przedstawicieli klasy średniej, którzy z racji swej pracy znaleźli się kusząco blisko kont innych obywateli i w przyływie szaleństwa - ich obrońcy przy tym obstawali - ulegli pokusie, co zaważyło na ich dalszym życiu.

Steven kiwnął głową.

- Czy zauważył pan coś nietypowego w zachowaniu Fielda?

- Co na przykład?

- Może ma bardzo silne przekonania, mówi głośno o polityce, o systemie albo o tym, jak wszyscy nas oszukują?

Dyrektor pokręcił przecząco głową.

- Wręcz przeciwnie. Niektórzy z moich podopiecznych usiłują naprawić swoje błędy, przeginając w drugą stronę, jeśli mnie pan rozumie. Odnajdują spokój w religii i usiłują przekonać pozostałych, że to jedyna właściwa droga. Poświęcają się dla nieudaczników i robią dobre uczynki. Większość taka jest, ale nie Gordon Field. On stara się nie rzucać w oczy, wykonuje polecenia i bez narzekania chce odsiedzieć wyrok.

- Dziękuję - rzekł Steven. - To interesujące.

Po chwili wskazano mu pomieszczenie, w którym siedział już Field i czekał na spotkanie. Dunbar wszedł, przedstawił się i usiadł naprzeciwko więźnia.

- Chciałbym zapytać o pańską pracę w College Hospital w Newcastle.

- Czego konkretnie chciałby się pan dowiedzieć? - odparł Field dźwięcznym głosem.

Steven przyjrzał mu się uważnie. Szukał oznak buntu lub cwaniactwa, ale mężczyzna był spokojny.

- Konkretnie pytam o to, co planowaliście z Frenchem i Schreiberem?

Field drgnął. Dunbar był pewien, że w jego oczach mignęło zdenerwowanie.

- Co ma pan na myśli? Zarządzałem wtedy szpitalem. Wykonywałem swoją pracę. Nic więcej.

Steven pokręcił głową.

- Nie, to nie wszystko - stwierdził z uśmiechem. - Obaj wiemy, że to mydlenie oczu. Mogę udowodnić, że był pan zamieszany w coś znacznie większego, przez co może pan trafić do więzienia o zaostrzonym rygorze. Przy nim Leigh będzie jak odległe wspomnienie o wakacjach.

- Przysięgam na Boga, że nie miałem nic wspólnego z tym, co tamci dwaj kombinowali.

- Nie obchodzi mnie, na kogo pan przysięga.

- No dobrze, niech będzie. Zgodziłem się na ten numer z Gretą Marsh, ale nie miałem wyboru. Takiej heterze jak ta Freeman się nie odmawia.

- Czy to w czasie operacji Greta Marsh zmarł chirurg?

- Tak, to o nią chodzi. Zależało im na spokoju. Nie chcieli zainteresowania prasy. A ta cholerna zdzira Freeman miała w dupie, że jej mąż wykitował. Jej i pozostałym zależało tylko na tym, żeby prasa dała im spokój. O szpitalu miały się ukazywać tylko dobre wiadomości i żadne inne.

- Niech mi pan opowie coś więcej o tej maskaradzie.

- Greta przeżyła operację, ale została ślepa i doznała śmierci mózgu. Przetransportowano ją do instytutu o nazwie Harrington Hall, a French i jego kumple wynajęli aktorkę, żeby udawała operowaną w czasie konferencji prasowej. Chcieli udowodnić, że Greta żyje i ma się dobrze.

- Co z Jamesem Kincaidem?

- Z kim?

Steven milczał i patrzył uparcie Fieldowi w oczy.

- A, z tym dziennikarzem, tak? Pojawiał się ciągle bez zaproszenia, jak wrzód na dupie.

- Więc go zabiliście.

- Nie. Nie miałem z tym nic wspólnego - zapewniał więzień. Wydawało się, że zaczynał panikować. - Okej, przyznaję się, że próbowałem go zastraszyć, kiedy włamał się do Harrington Hall i znalazł się zbyt blisko prawdy. Ale nie posunąłem się ani kroku dalej. I Bóg mi świadkiem, że...

- Dobra, a co kombinował French ze współnikami? No wie pan, chodzi o to, w czym nie brał pan udziału...

- Nie mam pojęcia. Dla nich byłem kimś z zewnątrz. Mówili mi tylko tyle, ile musieli. Z tego, co widziałem, odwalali u nas kawał dobrej roboty. Wprowadzili superwydajny program opieki. Lekarze i pacjenci go uwielbiali...

- Ale?

- Sam nie wiem... To nie byli ludzie, po których można by się spodziewać działalności charytatywnej. Jak by to powiedzieć, nie nadawali się do pracy, która wymaga dbania o innych.

Steven aż za dobrze rozumiał, o czym mówił Gordon Field.

- Kiedy w tym wszystkim pojawił się John Carlisle?

- Minister zdrowia? - Field zdawał się być rozbawiony. - Wyskakiwał co pewien czas jak diabeł z pudełka, dobrze się prezentował i zbierał pochwały

za to, co się działo. Wie pan, dużo uśmiechów, wyuczone kwestie... To, co robią politycy.

- Twierdzi pan, że French i Schreiber wprowadzili bardzo skuteczny program. Czym się zajmowali?

- French był odpowiedzialny za komputerową stronę przedsięwzięcia, a Schreiber organizował oddział apteczny i nawiązywał kontakty z dostawcą leków.

- Czyli kim?

- Lander Pharmaceuticals. Schreiber był chyba z nimi jakoś powiązany.

- Co z Antonią Freeman? Czym ona się zajmowała?

- Lady Antonia? Diabli wiedzą, ale wszyscy srali w gacie ze strachu. Była prawdziwym szefem.

- Szefem czego?

Field wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Śmieszne... Z zewnątrz sprawiali wrażenie grupki specjalistów, każdy zajęty swoją dziedziną. Ale było zupełnie inaczej... Rozumie pan?

- Nie.

- O rany! No dobrze. Oni mieli chyba jakieś... wsparcie. Wiedzieli, skąd wytrzasnąć dyskretną aktorkę, żeby zagrała Gretę Marsh. Mieli dojścia do gangsterów, kiedy trzeba było nastraszyć Kincaida. No wie pan, to i jeszcze wiele innych. Jakby nie byli sami. Pomoc pojawiała się zawsze na czas.

Steven przytaknął i przypomniał sobie kogoś, kto odkręcił mu w twarz zawór z parą.

- Bardzo panu dziękuję. Nie będę panu więcej zajmował czasu.

- Ależ niech się pan nie krępuje. Proszę zajmować mi tyle czasu, ile pan chce. - Field się uśmiechnął. - Wierzy mi pan, prawda?

- Tak, wierzę - zapewnił Steven i wstał, szykując się do wyjścia. Nie powiedział tylko, że głównym powodem, dla którego uwierzył Fieldowi, był fakt, że pozostawiono go przy życiu, podczas gdy inni zostali zamordowani.

Steven od pół godziny był w drodze powrotnej do Newcastle, kiedy zadzwoniła Jean Roberts. Zorganizowała firmę przewozową i zamówiła samochody na czwartą po południu pod szpitalem. Oczywiście pod warunkiem, że Stevenowi to pasuje.

Spojrzał na zegarek i potwierdził godzinę.

- Mam już gotowy zespół. Prace rozpoczniemy natychmiast po otrzymaniu dokumentów. To specjaliści z Ministerstwa Zdrowia. Podsekretarz stanu z ministerstwa nalega, żebyśmy za to zapłacili.

- Nie ma sprawy.

- I jeszcze jedno... Udało mi się namierzyć lekarkę, która pracowała z Tolkienem w czasie działania Północnego Planu Opieki Medycznej. Należała do zespołu ochotników, którzy zajmowali się uzależnionymi od heroiny. Nazywa się Mary Cunningham. Jest lekarzem i prowadzi gabinet w okolicy, dokładniej przy ulicy Lamont.

- Świetna robota. Zajrzę do niej.

O szóstej wieczorem Steven odprowadził wzrokiem drugą furgonetkę opuszczając teren College Hospital. Samochód, podobnie jak pierwszy, zmierzał do Londynu, wypakowany po brzegi kartami pacjentów leczonych w szpitalu między 1990 a 1992 rokiem, czyli w czasie, kiedy John Carlisle był ministrem zdrowia i nic nie zapowiadało końca jego kariery. Drysdale, pracownik techniczny, miał zamknąć zejście do piwnicy i odprowadzić wózki, które wykorzystano do przewożenia dokumentacji. Paul Drink-water cały czas był na miejscu, aby godnie reprezentować szpital i zadbać, by wszystko odbywało się bezproblemowo.

- Odeśle je pan z powrotem? - zapytał Stevena.

- A są wam potrzebne?

- Nie. Oficjalnie już nie istnieją. Chodzi mi tylko o ochronę danych osobowych.

- Tym nie musi się pan przejmować. My się wszystkim zajmujemy.

Steven zatelefonował do gabinetu mieszczącego się przy ulicy Lamont. Recepcjonistka zapytała, czy był umówiony do doktor Cunningham. Wyjaśnił, kim jest, i zapytał, czy mimo braku ustalonej wizyty mógłby spotkać się z panią doktor i omówić z nią kilka spraw. Po długiej przerwie kobieta doradziła mu, żeby pojawił się w gabinecie po popołudniowej operacji, która powinna się skończyć około wpół do ósmej.

Mary Cunningham okazała się wysoką zapracowaną kobietą między czterdziestką a pięćdziesiątką. Jej włosy zaczynały siwieć, a w kącikach oczu i ust pojawiły się wyraźne zmarszczki. Znad okularów obserwowała

Stevena, kiedy recepcjonistka, ubrana i gotowa już do wyjścia, wskazywała mu drogę do gabinetu, w którym Mary przyjmowała pacjentów.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać - zaczął Steven.

- Zaintrygował mnie pan. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że nie chodzi o zmianę opatrunków? - Wskazała jego dłoń.

- Zwykły wypadek z parą wodną. Zdarza się - zażartował. - Ale nie po to przyszedłem. Z tego co wiem, znała pani doktora Neila Tolkiena?

- Neila? Mój Boże, ileż to już lat minęło! Tak, pracowaliśmy razem przy programie odwykowym dla narkomanów, krótko po tym, jak zrobiłam specjalizację. Byłam wtedy młodą idealistką.

- Dziś już pani nie jest?

- Nie. Nie jestem ani młoda, ani idealistycznie nastawiona do życia. - Pokręciła głową. - Na upływ czasu nic nie możemy poradzić, a ideały zmieniają się pod wpływem doświadczeń.

- Pani słowa świadczą o jakiejś poważnej zmianie światopoglądu?

- W rzeczy samej. Dziś uważam, że wojna przeciwko narkotykom - bo taka nazwa się przyjęła i taką forsuje się w mediach - jest bezsensowną stratą czasu i pieniędzy. I nigdy nie było inaczej.

- No cóż, nie mogę się z panią nie zgodzić - przytaknął Steven. - Ale wracając do pani współpracy z Neilem...

- Wydawało się nam, że możemy naprawić świat i odwrócić bieg rzeczy, ratując wykołajeńców, lecząc narkomanów, pomagając im wrócić na prostą, odbudowywać dysfunkcyjne rodziny...

- I to wszystko przy okazji wprowadzenia Północnego Planu Opieki Medycznej?

- Tak, ten plan był naprawdę świetny - zgodziła się Mary. - Zyskaliśmy pełne wsparcie w postaci lekarstw, ale od początku walczyliśmy w przegranej wojnie.

- Neil stracił w niej życie - zauważył Steven.

- Biedaczysko. Tak, on i jego dziewczyna, oboje zmarli. Policja poinformowała nas, że zadarli z jakimiś kryminalistami, którym się nie podobała działalność kliniki. Sugerowali nawet, że dobrze byłoby ją zamknąć.

- I co pani zrobiła?

- Zamknęliśmy ją.

- Jak pani myśli, dlaczego handlarze narkotyków wzięli na muszkę Neila i jego dziewczynę, a nie panią czy którąś z pozostałych osób zaangażowanych w ten projekt? - Steven zajrzał do notatek. - Na przykład doktora Mitchella?

- Gavin Mitchell... zmarł kilka lat temu... A co do porachunków z gangiem narkotykowym, wówczas cel ich ataku był dla nas dość oczywisty. Zajęli się Neilem, bo nawiązał współpracę z jakimś dziennikarzem. Kryminaliści bali się, że opinia publiczna się o nich dowie i...

- Wierzy pani w taką wersję?

Kobieta była zaskoczona bezpośredniością pytania.

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- To bardzo proste pytanie - odparł Steven i uśmiechnął się delikatnie, żeby złagodzić nieco wrażenie.

- Rzeczywiście... - zgodziła się doktor Cunningham. -Właściwie... okoliczności śmierci Neila nigdy nie dawały mi spokoju.

Dunbar milczał i czekał, aż powie więcej.

- Neil uważał, że coś jest nie tak z nowym planem opieki. Twierdził, że część naszych pacjentów umiera, choć nic nie wskazywało, by mogło do tego dojść.

- Czy któryś z niepokojących go zgonów został zbadany przez policję?

- Tak, ale tylko rutynowo. Nikt oficjalnie nie stwierdził, by dochodziło do nich w podejrzanych okolicznościach. Pacjenci umierali, bo byli śmiertelnie chorzy, i to od długiego czasu. Zwykle następowało gwałtowne pogorszenie i zgon.

- Mimo zaaplikowanych leków?

- Mimo.

- Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

- Doprawdy?

Steven się uśmiechnął.

- Miłego wieczoru.

- To o której planujesz wrócić? - zapytała zaskoczona Tally, kiedy zadzwonił i poinformował ją, że chce jeszcze pojechać do Leicester.

- Późno.

- No dobrze, ale nie budź mnie.

- Oczywiście, kochanie.

- Co się z nami stało! - Jęknęła, bez powodzenia usiłując ukryć rozbawienie.

Zgodnie z zapowiedzią, Tally spała, kiedy Steven dotarł do domu. Na kuchence mikrofalowej wisiała karteczka: „Włącz na dwie minuty”. Zamknął drzwi do kuchni, żeby brzęczenie kuchenki nie obudziło Tally, i wyjął z lodówki puszkę piwa. Włączył niewielki telewizorek, ściszył dźwięk i przełączył na wiadomości. Torysi i liberalni demokraci dogadali się w sprawie koalicji.

- Chyba musieli spalić na stosie swoje przekonania -mruknął, wyjmując z kuchenki talerz risotto. - Wszystko, byle tylko dorwać się do koryta.

Pół godziny później ostrożnie wsunął się pod kołdrę obok Tally.

- No wreszcie - powiedziała. Steven jęknął rozczarowany.

- Cholera, a tak się starałem, żeby cię nie obudzić.

- Wiem.

- Ale skoro już nie śpisz...

Następnego ranka przy śniadaniu Steven opowiedział o spotkaniu z Mary Cunningham i jej podejrzaniach dotyczących śmierci Neila Tolkiena.

- To tylko potwierdza twoje domysły - pokiwała głową Tally.

- Jest jeszcze coś. Cunningham stwierdziła, że część zgonów, które Tolkien uważał za dziwne, zostało zbadanych. Domyślam się, że przeprowadzono standardową sekcję zwłok i w żadnym z tych przypadków nie natrafiono na nic niepokojącego.

- To można wyjaśnić na dwa sposoby. Albo komuś udało się opracować zbrodnię doskonałą, albo nasz doktor był fantastą.

- Co z Jamesem Kincaidem? Też uważasz go za fanta-stę? Wyobraźnia go zabiła? Bo jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- W takim razie co zamierzasz?

- Nie wiem. Na razie chcę poczekać na wyniki analizy akt ze szpitala. Pytałaś, jak będzie z tym urlopem? Weź jutro wolne.

Tally pokręciła głową.

- Próbowałam, ale przed weekendem nie ma szans. Mojego szefa nie ma do piątku, więc muszę być w pracy.

Steven był rozczarowany.

- Szkoda. W takim razie może byśmy gdzieś wyskoczyli w weekend?

- Świetny pomysł. Chcesz pojechać do Jenny?

- Nie, nie tym razem. Chciałbym spędzić czas tylko z tobą.

Tally wyszła do pracy, a Steven postanowił wrócić do deszczowego Londynu. Porsche źle się prowadziło przy takiej pogodzie. Było niskie i woda tryskająca spod kół ciężarówek zalewała szyby. Dlatego, choć tego wcześniej nie planował, zatrzymał się na jednej ze stacji benzynowych po

drodze. Chciał się napić kawy i odpocząć, bo zmęczyła go walka o utrzymanie się na drodze. Kiedy parkował, zadzwoniła służbowa komórka.

- Steven? Gdzie jesteś? - zapytała Jean Roberts.

- Mam dzisiaj wolne.

- Już nie. Premier zwołał zebranie sztabu antykryzysowego. Inspektorat Naukowo-Medyczny też dostał zaproszenie.

- Gdzie? Kiedy?

- Sala konferencyjna budynku kancelarii premiera przy Whitehall. O trzeciej.

- Będę na czas.

- To dobrze. Wolałabym się nie tłumaczyć przed nową administracją, że na ich wezwanie nie stawi się ani sir John, ani ty.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia. Nic nie zapowiadało wezwania.

- Interesujące. Dobra, wpadnę po wszystkim.

- Może do tego czasu będziemy mieć coś dla ciebie. Nasz zespół wsparty posiłkami z Ministerstwa Zdrowia przez całą noc wertował dokumenty z College Hospital.

Steven podjechał pod mieszkanie, żeby wziąć szybki prysznic i zmienić ciuchy. Dżinsy i bluzę od dresu zastąpił ciemnogranatowy garnitur, błękitna koszula i krawat piechoty spadochronowej. Bywał już na spotkaniach sztabu kryzysowego, lecz zawsze tylko towarzyszył Johnowi Macmillanowi. Rząd

zwoływał takie zebrania, by omówić niespodziewane kwestie dotyczące bezpieczeństwa narodowego, a lista zaproszonych osób różniła się w zależności od rodzaju zagrożenia. Tym razem po raz pierwszy miał się tam znaleźć sam, a na dodatek nie znał polityków, wybranych przez nowego premiera, włącznie z ministrem spraw wewnętrznych, będącym formalnie jego przełożonym.

Steven czuł brzemień obowiązków i oczekiwań. John Macmillan doskonale orientował się w konwenansach Whitehall, tymczasem on nie miał pojęcia, jak się tam poruszać. A fakt, że nowa administracja została wyłoniona z koalicji dwóch ugrupowań, nie ułatwiał mu zadania, bo nie miał pojęcia, kto tak naprawdę rozdaje karty. Na szczęście nie on jeden znalazł się w takiej sytuacji.

Idąc wzdłuż Whitehall i zastanawiając się, dlaczego ich wezwano, doszedł do wniosku, że to doskonały moment na atak dla każdej organizacji, która żywiła wrogie zamiary wobec Zjednoczonego Królestwa. W składzie koalicji rządzącej znalazła się partia, która - choć z wiekowym doświadczeniem - przez ostatnie trzynaście lat przegrywała wybory. I druga, która nie miała pojęcia, od czego w ogóle zacząć. Ministrowie nie tylko są nowicjuszami, ale też nie znają się wzajemnie.

Urzednicy oczywiście nie pozwolą całej tej maszynie przestać działać. Bez nieustannego nadzoru ze strony ministrów może nawet odzyskają nieco samodzielności i uprawnień. Ale nie wiadomo, jak to zadziała, kiedy rządowi przyjdzie uprawiać wielką politykę i podejmować decyzje w stresujących warunkach. To był test, który musieli zdać.

- Witaj Steven. Cieszę się, że wróciłeś. Dobrze cię widzieć - odezwał się znajomy głos gdzieś zza jego pleców, kiedy stał już na schodach. Odwrócił się i zobaczył przed sobą szefa służby wywiadu MI5 z jednym ze współpracowników.

- Też się cieszę - odparł odruchowo. Stosunki między MI5 a inspektoratem nie były serdeczne od czasu, kiedy wywiad załatwiał jakąś brudną robotę dla rządu, a Inspektorat Naukowo-Medyczny odkrył to i nagłośnił. John Macmillan uważał, że nikt nie powinien stać ponad prawem. Ta postawa okazała się niepopularna i o kilka lat opóźniła decyzję o nadaniu mu tytułu szlacheckiego.

Steven skinieniem głowy przywitał urzędników i kilka znajomych twarzy z policji metropolitalnej. Rozpoznał też kilka osób z Ministerstwa Obrony, jednak delegacja Ministerstwa Zdrowia - z którym w inspektoracie miał najczęstszy i najbliższy kontakt - zdawała się składać z samych nieznanym. Wicepremier przeprosił zebranych za nieobecność premiera, nie podając jednak powodów, dla których ten nie mógł się tu stawić. Od razu zaczął omawiać powód, dla którego się zebrali.

- Wywiad sugeruje, że Zjednoczone Królestwo w najbliższej przyszłości jest narażone na zamach terrorystyczny z wykorzystaniem broni biologicznej lub chemicznej.

Począł, aż ucichną pomruki i wymieniane szeptem uwagi.

- Jak wiarygodne są te informacje? - zapytał minister zdrowia.

- Otrzymaliśmy je z anonimowego źródła - wyjaśnił szef MI5.

- Zatem nie są do końca wiarygodne?

- No cóż, nie mamy jak ich zweryfikować w stu procentach. Z drugiej jednak strony nie ma też powodu, by nie wierzyć w te doniesienia. Z naszych informacji wynika, że za spiskiem stoją islamscy fundamentaliści. Niczego więcej nie udało nam się uzyskać.

- A czy mamy jakieś informacje na temat rodzaju zagrożenia? - zapytał komendant policji metropolitalnej. -Atak gazowy? Chemiczny? Wąglík?

- Przykro mi, to wszystko, co wiemy.

- To uniemożliwia nam podjęcie przygotowań - odezwał się Steven.

- Z całą pewnością możemy podnieść stopień bezpieczeństwa na lotniskach, na kolei i w portach - zaproponował szef policji.

- Niestety, z naszej analizy wynika, że zamachowcy są już na terenie kraju. - Dyrektor wywiadu pokręcił głową, a jego komentarz wywołał kolejną falę szeptów. - Uważamy, że to jednostki wychowane lub mieszkające od dawna w Zjednoczonym Królestwie - wyjaśnił. - Nasi koledzy z MI6 nie dotarli do żadnych informacji sugerujących atak z zagranicy.

- Mimo to nie podejmuje się pan wskazać natury zagrożenia?

- Nie, niestety.

- Będę musiał postawić w stan pogotowia służby we wszystkich miastach, nie podając powodu alarmu - stwierdził minister spraw wewnętrznych.

- Trzeba natychmiast zapewnić ochronę obywatelom -zgodził się wicepremier.

- Miejmy tylko nadzieję, że jeśli już zaatakują, wykorzystają gaz bojowy
- odezwał się Steven. - Dzięki temu udałoby się natychmiast zlokalizować źródło zagrożenia. W przypadku ataku mikrobiologicznego nie mamy najmniejszych szans, by szybko uporać się z niebezpieczeństwem.

Ledwie skończył, natychmiast zdał sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołały jego słowa.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy skupiać się na pesymistycznym postrzeganiu tego problemu - wtrącił szef kancelarii premiera.

Steven ugryzł się w język. Znał siebie i wiedział, że na takich spotkaniach zdarzało mi się powiedzieć więcej, niż nakazywał rozsądek. Pomyślał, że gdyby John Macmillan tu był, na pewno kopnąłby go w kostkę. W otoczeniu ludzi będących u władzy prawdę powinno się prezentować znacznie ostrożniej. Można to było porównać do przemykania się na paluszkach po polu minowym cudzych ego i ambicji.

- Mamy najlepsze służby ratunkowe na świecie. Od lat ćwiczone są procedury na wypadek takich sytuacji -stwierdziła minister spraw wewnętrznych.

Głos zabrał ktoś z Ministerstwa Zdrowia - pewny siebie mężczyzna, przed którym stała tabliczka z imieniem i nazwiskiem: NORMAN TRAVIS.

- Z całym szacunkiem, pani minister, ale problem polega na tym, że nie wiemy, na jaki scenariusz powinniśmy się przygotować. Zgodzę się z doktorem Dunbarem, że atak z użyciem gazu bojowego, ze względu na swoją charakterystykę, stanowiłby zagrożenie na stosunkowo niewielkim obszarze. W takiej sytuacji nasze służby doskonale poradziłyby sobie z akcją

ratunkową. Jeśli jednak dojdzie do ataku z wykorzystaniem na przykład węglika albo, nie daj Boże, ospy... Wtedy będziemy mieli znacznie trudniejszą sytuację.

Tak, tak właśnie powinienem był to powiedzieć, pomyślał Steven. Travis potrafił nawet zakończyć swoją wypowiedź rozbijającym uśmiechem. Dunbar przypomniał sobie, że widział go już wcześniej, bo to on prowadził negocjacje z koncernami farmaceutycznymi dotyczące zakupu szczepionek. Z sukcesem.

- Wydaje mi się, że nasze doświadczenia z epidemią świńskiej grypy pozwalają nam patrzeć w przyszłość z dużym optymizmem - stwierdził wicepremier.

Steven pokręcił głową, spuścił wzrok i przytrzymał język na wodzy.

- Czyżby miał pan inne zdanie? - zaatakował szef kancelarii premiera, który dostrzegł zachowanie Dunbara.

W tym momencie Steven przestał ze sobą walczyć. Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B, pomyślał.

- Sposób, w jaki poradziliśmy sobie ze świńską grypą, był katastrofalnie kompromitujący. I jedyne, czego powinniśmy nauczyć na tym przykładzie, to się nim nie chwalić.

Może zechciałby pan rozwinąć tę myśl?

- Chodzi o to, że świńska grypa nie była epidemią, tylko zwykłą grypą o cięższym przebiegu - wyjaśnił z lekceważeniem.

- A jednak ludzie na nią umierali.

- Umierali ludzie, których zabiłaby zwykła grypa, bo cierpieli na inne choroby.

- Nie wszyscy.

- Racja, ale tych, którzy zmarli, nie chorując na nic innego, było naprawdę niewielu. A jednak to nimi uzasadnia się całe zamieszanie i panikę. Od początku do końca było to marnotrawstwo pieniędzy i czasu. Narastały nieporozumienia, lekarze domagali się dopłat, a tamiflu trafiała do każdego, kto zadzwonił do przychodni, włącznie z hipochondrykami. Chorym odradzano wizyty w szpitalach i gabinetach, czego skutkiem jest brak rzetelnych danych dotyczących rzeczywistej liczby chorych na świńską grypę. Kiedy zapytałem, ilu ludzi zapadło wtedy na zwykłą grypę sezonową, nikt nie potrafił udzielić mi odpowiedzi, bo wszystkie przypadki były kwalifikowane jako świńska grypa. A na koniec zostaliśmy jeszcze z pełnymi magazynami tamiflu. Ku wielkiemu zadowoleniu udziałowców producenta szczepionki. Tymczasem, mówiąc uczciwie, paczka chusteczek do nosa i gorąca herbata z miodem przyniosłaby znacznie więcej pożytku. Więc jedyną nauką, jaką możemy wyciągnąć z wydarzeń związanych z wystąpieniem zachorowań na świńską grypę, to jak nie postępować w przypadku rzeczywistej epidemii. Gdyby zamiast świńskiej grypy pojawiła się oспа, wszyscy bylibyśmy martwi.

W sali konferencyjnej zapanowała cisza, która zdawała się nie mieć końca.

Szef kancelarii premiera spojrział najpierw na delegację Ministerstwa Zdrowia, potem na minister spraw wewnętrznych, lecz nie znalazł nikogo, kto chciałby polemizować ze słowami Dunbara.

- Proszę mówić dalej - powiedział.

- Jediną obroną przed atakiem z wykorzystaniem wirusów jest zastosowanie szczepionki jeszcze przed pojawieniem się zagrożenia, bo jeśli obywatele zostaną zainfekowani, niewiele im pomożemy. Tak naprawdę na wybuch epidemii chorób zakaźnych byliśmy znacznie lepiej przygotowani w pierwszej połowie XX wieku, kiedy dysponowaliśmy odpowiednio przystosowanymi szpitalami i przeszkolonym personelem. Dziś w każdym szpitalu znajduje się zaledwie kilka łóżek w izolatkach, na wypadek gdyby ktoś przywłókł z podróży jakąś chorobę. Jeśli nie będziemy zabezpieczeni wcześniej, atak i jego skutki nas przerosną. Wysyłanie ekip ratunkowych w nieprzepuszczalnych kombinezonach i samochodów z syrenami i szperaczami to czysty PR o znikomej realnej skuteczności. Równie dobrze możemy rozsyłać kolędników.

Znów zapanowała nieprzyjemna cisza, którą w końcu przerwał Travis.

- Obawiam się, że znów muszę się zgodzić ze słowami doktora Dunbara. Jediną realną szansą obrony przed atakiem biologicznym jest wcześniejsza akcja szczepionkowa. Lecz, co zostało powiedziane już wcześniej, jeśli nie wiemy, czym zostaniemy zaatakowani, pozostanie nam zgadywanka. Na dodatek wciąż mamy zbyt mało szczepionek. To się jednak zmieni, kiedy tylko zakłady Merryman Pharmaceuticals rozpoczną produkcję pełną parą.

- Co nam pozostanie w razie ataku? - zapytał wicepremier. - Czekać i patrzeć?

- Jestem przekonany, że atak gazowy jest znacznie bardziej prawdopodobny niż wykorzystanie broni biologicznej - zabrał głos rzecznik Ministerstwa Obrony. - Sarin, ewentualnie jakiś inny gaz. Taki atak byłby

znacznie prostszy do przygotowania niż próby zarażenia obywateli jakimś wirusem. Poza tym gaz jest bardziej medialny.

- Obawiam się, że nie rozumiem - odezwał się ktoś z sali.

- Jeśli gaz zostanie wypuszczony w centrum handlowym albo w metrze, efekt jest natychmiastowy. Ludzie zaczynają umierać, wybucha panika. Prasa i telewizja wysyłają wozy transmisyjne, robi się głośno o ataku. Rozsyłanie zarodników węgla pocztą albo rozpylanie wirusów w powietrzu nie przynosi takiego efektu. Wtedy atak następuje powoli. Nie ma masowych zgonów. Na ulicy ludzie by dyskutowali, czy to na pewno terroryści. Jak sami państwo widzą, to przegrana na froncie propagandy. A my zyskujemy czas na działanie.

- Hm, to ma sens - stwierdził wicepremier. - Miejmy tylko nadzieję, że terroryści myślą tymi samymi kategoriami. Czy na atak gazowy jesteśmy przygotowani, nawet gdyby miało do niego dojść już za chwilę?

Pytanie było skierowane bezpośrednio do minister spraw wewnętrznych. Kobieta zapewniła, że procedury są gotowe do wdrożenia w każdym mieście na terenie kraju.

Sekretarz gabinetu premiera spojrział na szefa wywiadu.

- Jakie są szanse, że powstrzymacie atak? - zapytał.

- Moi ludzie pracują nad tym non stop.

- Jest pan całkowicie pewien, że to nasi obywatele? -zabrał głos szef policji.

- Całkowicie nie, ale mamy osiemdziesiąt procent pewności.

- Mimo to istnieje uzasadnienie dla uszczelnienia granic?

- Jestem przekonany, że w obecnej sytuacji powinniśmy zachować najwyższą ostrożność - stwierdził zdecydowanie wicepremier.

Steven zauważył, że Travis szepcze coś na ucho ministrowi zdrowia. Mężczyzna przytaknął.

- Chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko, byśmy skontaktowali się z Marryman Pharmaceuticals i, nie informując ich o powodach, poprosili o maksymalne przyspieszenie produkcji szczepionek?

Nikt nie oponował.

- Nawet jeśli ich nie poinformujemy o zagrożeniu atakiem, łatwo będzie ustalić, o co chodzi - stwierdził ktoś w mundurze pułkownika.

- W rzeczy samej - zgodziła się minister spraw wewnętrznych. - Ale przynajmniej nikt się nie dowie, że nie mamy pojęcia, która ze szczepionek będzie nam najbardziej potrzebna.

- Na tym zakończymy spotkanie - stwierdził wicepremier.

Steven wrócił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie czekała na niego Jean. Była ciekawa, o co chodziło, lecz profesjonalizm nie pozwolił jej zapytać wprost o przyczynę spotkania. Miała nadzieję, że Dunbar powie jej coś sam z siebie.

- Zagrożenie atakiem terrorystycznym. Gaz albo broń biologiczna - wyjaśnił. - W najbliższej przyszłości.

- No cóż, już od dawna wszystko na to wskazywało - stwierdziła. - Sir John powtarzał wielokrotnie, że to nie kwestia tego „czy”, tylko „kiedy”. Wiesz może, czego trzeba się spodziewać?

- Nie, nie mam pojęcia. - Pokręcił głową.

- Czasem się zastanawiam, co muszą sobie myśleć kosmici, kiedy obserwują naszą planetę. Tylko ludzie robią sobie nawzajem takie rzeczy...

Steven przytaknął.

- Jak idzie naszemu zespołowi?

- Sam ich o to zapytaj. Pracują w pokoju dwieście jednaście.

Dunbar udał się na drugie piętro. Zespół analityków przeglądał dokumentację pacjentów szpitala College Hospital.

- Witam, chyba wcześniej nie mieliśmy przyjemności się poznać. Steven Dunbar.

Wszyscy się uśmiechnęli, a jedna kobieta wstała.

- Sophie Thornton - przedstawiła się. Miała czterdzieści kilka lat, lekko się garbiła, a kręcone włosy podpinała spinkami i gumkami, co jednak nie mogło ich całkowicie ujarzmić. - Bardzo nam miło.

- Jakież postępy?

- Tak, myślę, że tak, choć wnioski nie są całkiem jednoznaczne.

Zaprowadziła go do dwóch stosików z teczkami wybranymi spośród już przejrzanych, po czym wzięła pierwszą z góry i otworzyła.

- To dokumentacja pacjentów pasujących do wytycznych podanych przez panią Roberts. Przewlekłe przypadłości, ukończony siedemdziesiąty rok życia, choroby nieuleczalne. Wszyscy zmarli w ciągu roku od rozpoczęcia leczenia w szpitalu College Hospital albo w którejś z przychodni w pobliżu.

- Jest jakieś ale?

- W kilku przypadkach przeprowadzone zostały sekcje zwłok, lecz nic nie budziło podejrzeń co do okoliczności śmierci.

- No tak... - Steven się zamyślił. To by potwierdzało słowa Mary Cunningham. To samo dotyczyło pacjentów Neila Tolkiena. Ludzie, których leczenie obciążało państwową kasę znacznymi kwotami, posłusznie umierali, kiedy tylko zaczął działać Północny Plan Opieki Medycznej. Niemniej jednak nic nie budziło podejrzeń. - Dziękuję, świetna robota. Dokładnie takich informacji potrzebuję. Ile zostało do końca?

- Jesteśmy w dwóch trzecich.

Steven przyjrzał się stosikom wyodrębnionych teczek i przeliczył je w myślach.

- Czyli koniec końców może się tego zebrać dwieście, a nawet dwieście pięćdziesiąt zgonów?

- Mniej więcej.

Pokiwał głową, po czym zmienił temat.

- Wybory przyniosły duże zmiany u was w ministerstwie. Jak sobie z tym radzicie?

- Chyba zbyt wcześnie, żeby o tym mówić. Za krótko to jeszcze trwa, ale dwie partie u władzy... Może być interesująco.

- Założę się, że tak. Właśnie wracam ze spotkania, na którym byli nowi ludzie z ministerstwa. Norman Travis jest niesamowity.

- Tak, wydaje się, że wie, co robi - zgodziła się Sophie. - W przeciwieństwie do większości interesuje się ochroną zdrowia i ma pojęcie, o czym mówi.

- Pozostali trafili do Ministerstwa Zdrowia wbrew swojej woli?

Sophie się uśmiechnęła.

- Tak chyba można powiedzieć, kiedy ludzie są przerzucani szybko z ministerstwa do ministerstwa.

- Albo pochodzą skądś w ogóle spoza tego środowiska. Tak jak teraz. Wielu z nich to nowicjusze w tym świecie.

- Czeka ich wiele nauki.

Steven zrozumiał, o co jej chodziło.

Zszedł piętro poniżej i zdecydował się usiąść w biurze Macmillana, żeby w spokoju przemyśleć wydarzenia minionego dnia. Niezbyt dobrego, nawiasem mówiąc. Postępy, jakie poczynił w śledztwie, całkowicie ginęły w cieniu zagrożenia terrorystycznego. A na dodatek wyjątkowo nie podobała mu się myśl wykorzystania mikroobów jako broni. Ich użycie jawiło mu się jako uosobienie zła. Przypomniawszy sobie słowa Jean o obcych i nie mógł się z nimi nie zgodzić. Zachowanie ludzi wymykało się jakiegokolwiek ocenie. Nie można było myśleć o takim zagrożeniu bez wizji stosów ciał na ulicach,

zapaści służby zdrowia i wybuchu zamieszek. Niewidzialny wróg jest zawsze najgorszy... Czy zmarli będą mieli powykęcane członki i zdeformowane twarze, jak przy wybuchu epidemii ospy? Błękitnoczarną skórę ofiar dżumy? Pojawi się paraliż jak przy polio czy niemożliwe do zatamowania krwawienia jak przy wirusie gorączki krwotocznej? Niedługo miał poznać odpowiedź, jeśli wywiad nie dał plamy.

Rozległo się pukanie i w progu stanęła Jean.

- Pomyślałam, że kawa dobrze ci zrobi. Jakie wiadomości od naszego zespołu na piętrze?

Steven otrząsnął się z rozmyślań.

- Północny Plan Opieki Medycznej zabijał ludzi, ale nie jesteśmy ani trochę bliżej wyjaśnienia, jak to robił.

- Niewykrywalna trucizna?

- Może...

- Jeśli wtedy była niewykrywalna - zasugerowała kobieta - to może dzisiejsza nauka uporała się z...

- Słusznie. Ale to by oznaczało ekshumację. Jean wzruszyła ramionami.

- Pomyśl o tym - zaproponowała cicho.

- Na pewno nie zdecydujemy się na to bez naprawdę przekonujących dowodów. Ekshumacja zawsze oznacza stres dla rodziny. Porozmawiam na ten temat z Johnem, kiedy go odwiedzę. I tak zresztą muszę zdać mu relację ze spotkania. Powinien być na bieżąco.

Jesteś zmęczony - stwierdził John Macmillan, widząc Stevena.

- Czekał, przecież to ja tak zwykle mówiłem. - Dunbar uśmiechnął się szeroko.

- Coś poszło nie tak?

Opowiedział Macmillanowi o spotkaniu sztabu kryzysowego i o zagrożeniu. John westchnął.

- Dziwne - powiedział. - Wiedzieliśmy, że do tego dojdzie, ale teraz, kiedy niebezpieczeństwo zapukało do drzwi, sama myśl o nim jest tak przerażająca, jakbyśmy się go nie spodziewali. Masz pomysł, czego użyją?

- Nikt nic nie wie.

Macmillan potwierdził wcześniejsze obawy Stevena, dotyczące ataku chemicznego.

- Z tym byśmy sobie jakoś poradzili, jednak bakterie i wirusy rozpylone nad skupiskami ludzi... Nawet nie chcę o tym myśleć. Mogliby zniszczyć cały kraj.

- Poproszę Marryman o przyspieszenie produkcji szczepionek. Tak czy inaczej, może być już za późno.

John potaknął.

- W tym kraju cały czas jesteśmy spóźnieni. Taki nasz styl życia... Za to jak już jest po wszystkim, zawsze znajdziemy najlepsze rozwiązanie.

Steven poczuł się nieswojo, słysząc cynizm w głosie Macmillana. To nie było w jego stylu.

- MI5 są przekonani, że zamachowcy pochodzą stąd.

- No proszę, czyli oburzeni z Leicester albo Birmingham chcą zniszczyć kraj, w którym się urodzili... Co się z tymi ludźmi porobiło. - Spojrzał Stevenowi prosto w oczy. -Będziemy potrzebowali najlepszych ludzi, jakich mamy. Zostaniesz w inspektoracie, dopóki... to konieczne?

Steven kiwnął głową.

- Tak myślałem, w świetle nowin, które mi przyniosłeś... Ale mów, co z twoim dochodzeniem?

- Wszystko wskazuje na to, że Carlisle z kolegami stali za masowymi morderstwami, do których doszło na początku lat dziewięćdziesiątych.

Macmillan wytrzeszczył oczy.

- Tak - powtórzył Steven. - Zabijali ludzi, którzy kosztowali państwo zbyt wiele pieniędzy.

- Coś jak ubój selektywny?

- Świetne określenie, oddaje istotę rzeczy. Nie mam jeszcze pojęcia, jak to robili. Część zmarłych została przebadana przez patologów i niczego nie znaleziono. Ludzie narażeni na kłopoty zdrowotne posłusznie przestawali obciążać system swoim życiem krótko po znalezieniu się w zasięgu funkcjonowania Północnego Planu.

- Na coś przecież musieli umierać.

- Przyczyny naturalne.

- Co to znaczy?

Steven zmrużył oczy, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Zdecydował się nie wspominać o pomysle Jean Roberts, dotyczącym niewykrywalnej trucizny.

- Hm... - mruknął powoli. - To znaczy, że umarli na to, na co powinni. Wszyscy byli chorzy i wymagali leczenia.

Albo odwiedzali lokalnych lekarzy, albo trafiali do szpitala College Hospital... Przepisywano im odpowiednie leki...

- Ale skoro umierali na to, co im dolegało, to może...

- To może wcale nie byli leczeni - dokończył Dunbar. Macmillan przytaknął.

- Zabijali, odmawiając leczenia w przypadkach, które okazałyby się kosztowne dla systemu. Teraz najważniejsze pytanie: jak udawało im się uniknąć zainteresowania? Dlaczego nikt nie zauważył zaprzestania terapii?

- Chyba dotarliśmy do miejsca, w którym pojawia się French i jego znajomość komputerów - wyjaśnił Steven. - Musiał napisać program, który analizował wiek pacjenta i dane medyczne. Jeśli znalazłeś się w niewłaściwej grupie -byłeś za stary, przewlekłe chory, niesamodzielny, uzależniony od narkotyków czy nieuleczalnie chory - komputer decydował, że nie warto cię leczyć.

- Z kolei wtedy pojawia się Schreiber ze swoim przedsiębiorstwem farmaceutycznym. Musieli produkować opakowania, które wyglądały na oryginalne, ale zawierały tabletki z sacharyny czy kredy... Placebo.

- Ależ to było proste. - Steven pokręcił głową. Spojrzał na Johna i uśmiechnął się słabo. Cieszył się, że

znów są razem i stanowią świetny zespół, a co najważniejsze, że dalej też tak będzie. Choroba Macmillana niczego w tym względzie nie zmieniła.

- Tylko na razie nie mamy dowodów - stwierdził John.

Mężczyźni znali się na tyle dobrze, że John nie potrzebował słów, by zrozumieć wyraz twarzy Stevena - sprawcy nie żyją, a niebezpieczeństwo, które się zbliża, jest znacznie poważniejsze.

- Mimo wszystko uważam, że powinieneś kontynuować pracę nad tą sprawą - rzekł. - Jesteśmy to winni ludziom, którzy już nie żyją. W tym zamordowanemu dziennikarzowi i lekarzowi, którzy jako pierwsi rozpracowali tych łajdaków. Steven pokiwał głową.

- Poza tym nie będziesz siedział i zamartwiał się tym, co nas czeka... Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

- Schreiber od dawna nie żyje - zadumał się Dunbar. - Ale French jeszcze przed spotkaniem we Francji miał się całkiem dobrze. Jeśli planowali ponownie wprowadzić swój plan w życie, powinniśmy znaleźć gdzieś oprogramowanie, które chciał wykorzystać. Może w biurach jego firmy?

- Przeszukanie?

- W rzeczy samej.

- Będziesz musiał to uzgodnić z minister spraw wewnętrznych. French był bardzo wpływowym i ustosunkowanym człowiekiem. A do tego hojnym sponsorem partii.

- Nie sądzisz chyba... - zaczął Steven z wahaniem.

- Zapomnij! - Macmillan się zaśmiał. - Ona jest prawdziwym urzędnikiem.

Steven walczył z pokusą, by przypomnieć, że John Carlisle też był urzędnikiem, lecz ugryzł się w język. Jego zachowanie nie uszło jednak uwagi przyjaciela.

- Jutro wpadnie do mnie Charlie Malloy. Poproszę, żeby był gotowy do akcji w chwili, kiedy odbierzesz zgodę.

Steven podziękował skinieniem głowy.

- Świetnie, że do nas wracasz.

- Dzięki.

Steven oczekiwał trudnej przeprawy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i nie zawiódł się. Nie pomógł mu fakt, że w czasie spotkania sztabu antykryzysowego miał dużo racji.

- Gdybym nie słyszała tak wiele o pańskiej skuteczności, doktorze Dunbar, bez wahania odrzuciłabym pana prośbę i zignorowała podejrzenia jako śmieszne i niewarte komentarza. Czy naprawdę usiłuje mnie pan przekonać, że nasz rząd brał udział w tak bestialskich działaniach?

- Nie, pani minister. Nie do końca jasno się wyraziłem. Zakładam, że to ówczesne Ministerstwo Zdrowia zostało w jakiś sposób opanowane przez tych ludzi. Przykro mi, że nie mogę podać więcej szczegółów. O jednym mogę panią zapewnić, John Carlisle, sekretarz stanu, bez najmniejszych

wątpliwości brał udział w spisku, niezależnie, czy zrobił to z pełną świadomością, czy też nie.

Minister odwróciła na chwilę głowę.

- Wydaje mi się, że jeśli już, to raczej to drugie.

- Słucham?

- Carlisle zadzwonił do mnie przed śmiercią. W czasach młodości przyjaźniłyśmy się z jego żoną.

Steven poczuł, że w ciszy, która później zapanowała, zaczęło mu mocniej bić serce.

- Pomyślałam, że próbuje uratować swoje żałosne dupsko... I tak było... Wskoczył z idiotyczną historyjką o tym, jak to jego kariera legła w gruzach przez innych, kiedy w latach dziewięćdziesiątych był ministrem zdrowia. Powtarzał, że ludzie, których nazywał bandą Schillera, wbili mu nóż w plecy, i że to oni są za wszystko odpowiedzialni.

- Wspomniał może, co planowali?

- Jeśli cokolwiek wiedział, to niczego nie zdradził. A to była jedyna chwila, kiedy mógł się wygadać. Jeśli kiedykolwiek miał szansę, by zadziałać... Pomyślałam, że wymyślił sobie to wszystko, więc nawet nie sprawdziłam... Wie pan...

Steven spojrzał na nią życzliwie, zachęcając, by mówiła dalej.

- Kilka razy dotarły do mnie plotki o frakcji, która nazywa się Grupą Schillera. Z drugiej strony sam pan chyba wie, jak to u nas jest. Plotki i pogłoski, bez tego nie ma polityki.

- Północny Plan Opieki Medycznej nie był projektem kilku zaangażowanych osób - zaprotestował Steven. - Musiał mieć potężne wsparcie, nie tylko ludzi, którzy sprawili, że John Carlisle został ministrem.

- To się zdarzyło wiele lat temu... Choć to oczywiście nie jest żadnym usprawiedliwieniem dla prowadzonej przez nich działalności, pod warunkiem że potwierdzą się pana słowa. Zadaję sobie pytanie, czy to właściwy czas, żeby podkopywać zaufanie do rządu?

- A jaki czas byłby na to dobry?

- Racja - zgodziła się minister z bardzo delikatnym uśmiechem. - Dostanie pan zgodę na przeprowadzenie rewizji, ale muszę poprosić o zachowanie pełnej dyskrecji. Nasz kraj niedługo może stanąć przed najpoważniejszym kryzysem w historii. Społeczeństwo powinno mieć pełne zaufanie do swoich przywódców, jeśli mamy wyjść z tego obronną ręką.

- Oczywiście, pani minister.

Steven wrócił do biura inspektoratu, usiadł za biurkiem i położył dłoń na słuchawce. Zamyślił się. Zamierzał właśnie zatelefonować do Charliego Malloya i wydać mu dyspozycję co do przeszukania biur należących do Deltasoft, ale nie mógł przestać myśleć o prośbie minister spraw wewnętrznych. Miał działać dyskretnie. Racja - to nie był właściwy czas, by ujawniać wielki skandal, w który zamieszany był minister.

Przeszukanie w firmie Deltasoft nie nadweręży zaufania do rządu, lecz z całą pewnością przyciągnie uwagę prasy, która ujawnienie powodów uzna za punkt honoru.

Cofnął dłoń. Czy French trzymałby tak ważne i problematyczne oprogramowanie w biurze firmy albo w laboratoriach, gdzie praktycznie każdy mógł się na nie natknąć? -zastanawiał się. Firma Deltasoftware wyrosła na ważnego gracza, odnosiła sukcesy, liczone się z nią. Wykluczył możliwość, by wszyscy pracownicy byli zamieszani w prawicowy spisek.

French był bystry. Na pewno uznał, że trzymanie dowodów działań niezgodnych prawem w siedzibie firmy rojącej się od specjalistów komputerowych to nie najlepszy pomysł. Nawet gdyby trzymał je tam zamknięte w sejfie, nie mógł być pewien bezpieczeństwa. Dlatego raczej zdecydował się na inną skrytkę. Może dom?

Dunbar nic nie wiedział o wdowie po Frenchu, no może z wyjątkiem tego, że jak pozostali krewni ofiar zamachu, nie miała pojęcia o podróży męża do Paryża. Czyli raczej nie uczestniczyła w spisku. Mogła oczywiście kłamać, lecz z lektury raportu policji wynikało, że na wieść o śmierci męża wpadła w szok, spotęgowany informacją o miejscu, gdzie się to stało - w kółko zadawała pytanie, co on tam robił, wyraźnie obawiając się, że chodziło o romans. Mogła udawać, pomyślał Steven, lecz jeśli była szczerą, w jego głowie pojawił się pomysł, jak to wykorzystać.

- Gotowy do akcji? - zapytała Jean, kiedy wyszedł z biura.

- Zmiana planów. Potrzebuję wszystkiego, co znajdziesz o żonie Charlesa Frencha, w tym koniecznie potrzebuję jej adresu domowego.

- Oczywiście. - Sekretarka była nieco zaskoczona nagłą zmianą: Steven powiedział jej o zgodzie na przeszukanie Deltasoftware zaraz po powrocie z ministerstwa.

- Mam ją w naszej bazie danych.

Na monitorze pojawiły się informacje, których szukała.

- Proszę. Maxine French, czterdzieści siedem lat, oboje rodzice to lekarze, pracują w Surrey... Podobnie jak mąż ukończyła Cambridge, tyle że studiowała francuski i włoski. Na początku małżeństwa pracowała jako tłumaczka, ale kiedy Deltasoft nabrał wiatru w żagle, postanowiła korzystać z życia.

- Czy w którymkolwiek momencie pracowała lub współpracowała z firmą męża?

- Nie mam na ten temat żadnych informacji - odparła Jean, uważnie studiując dane z ekranu. - Wygląda na to, że cały wolny czas wypełniała jej działalność charytatywna. Udziela się w różnych fundacjach, jest przewodniczącą dwóch z nich, działa na rzecz lokalnej społeczności, podobnie jak mąż. Szczególny nacisk kładzie na wyrównywanie szans dzieci. Oboje się tym zajmowali.

Stevenowi cisnął się na usta odpowiedni komentarz na temat ich wspaniałomyślności i dobroczynności, ale się powstrzymał.

- Adres?

- Clifford Mansions w Kensington. Mieszkają w pent-housie.

- Umówisz mnie szybko na spotkanie? - zapytał. A potem coś jeszcze przyszło mu do głowy. - Czy mówi ci coś nazwa: Grupa Schillera?

Jean zmrużyła oczy.

- Chyba tak... Musiałam to już gdzieś słyszeć, i to całkiem niedawno...
Zabij mnie, nie przypomnę sobie teraz.

- Daj znać, jeśli ci się przypomni.

James Black jako ostatni dotarł na spotkanie wymyślonego przez siebie komitetu organizacyjnego turnieju golfa - przez dwadzieścia minut tkwił w korku.

- Już myśleliśmy, że postanowiłeś zwinąć manatki i zniknąć - zażartował Toby Langton.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić? - odpowiedział z wymuszonym uśmiechem, który mocno kontrastował z jego zmartwioną twarzą.

- Mamy duży problem! Inspektorat Naukowo-Medyczny ma akta pacjentów z College Hospital. My sobie tu rozmawiamy, a oni je przeglądają! - krzyknął Elliot Soames.

- To by było tyle, jeśli chodzi o wyłączenie Dunbara z gry. - Rupert Coutts pokręcił głową.

- Nie planowaliśmy niczego drastycznego - zaprotestowała Constance Carradine. - Zareagowaliśmy tylko na wiadomość, że zejdzie do piwnic i będzie szukał dokumentów. Wiecie, szkoda przepuścić taką okazję. Poza tym nic nas nie łączy z tym wypadkiem. Dostanie się jakiemuś ćpunowi i po sprawie.

- Skupmy się na meritum. Inspektorat w końcu wywęszy, co się działo na północy na początku lat dziewięćdziesiątych.

- Mogą podejrzewać, że coś było na rzeczy, ale nie znajdą żadnych dowodów - uspokoił ich Black. - Ludzie umierali, ale to chyba normalne, prawda? Szczególnie chorzy ludzie, oni najczęściej umierają.

- Mimo to nie jestem zachwycony takim obrotem spraw. - Soames pokręcił głową. - Oni nie są głupi. Jak pomyślą, to sobie wszystko ułożą.

- Nawet jeśli, nie będą mogli niczego udowodnić, nie po tylu latach. No i nikogo tym nie zainteresują, prawda? Koalicja balansuje na ostrzu noża, więc takie podejrzania zmiotłyby ją z powierzchni ziemi. Kraj pogrążyłby się w chaosie i anarchii. Inspektorat pracuje nad tym sobie a muzom. Jak skończą, poklepią się po plecach i przejdą do bardziej palących kwestii, takich jak zagrożenie terrorystyczne.

- Nie zapominasz przypadkiem o spotkaniu w Paryżu? - zapytał Langton.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

- Jeśli inspektorat będzie dość bystry, żeby rozgryźć cele Północnego Planu, równie dobrze będą mogli dojść, czemu miało służyć spotkanie w Paryżu, prawda? Nagle wszyscy twórcy Północnego Planu Opieki Medycznej spotykają się po tylu latach w jednym miejscu? Dziwne? Nie zaczną podejrzewać, że planowali znów wprowadzić go w życie?

- I niech tak myślą - zgodził się Black. - Jeśli French i spółka mieli jakieś pomysły, to ich sprawa. Dlaczego? Bo wszyscy zginęli, a razem z nimi Północny Plan. Chociaż...

Zawiesił głos, a nieoczekiwana przerwa niemal wyprowadziła pozostałych z równowagi.

- Chociaż co? - ponaglił go Langton.

- Podjąłem pewne kroki, żeby Inspektorat Naukowo--Medyczny znalazł dowody. Są bystrzy, więc dadzą radę.

- Dowód? Na co? - zdziwił się Coutts.

- Na to, że Charles French z pozostałymi rzeczywiście knuli, jak ponownie wprowadzić w życie Północny Plan. Ucieszą się ze znaleziska.

- Czy to cię bawi? - zapytała z dezaprobatą Constance. - Pamiętaj, że to nie gra. Przyszłość kraju zależy od tego, czy nam się uda.

- Zgadzam się. Przyszłość kraju jest w dobrych rękach. - Black kiwnął głową. - I w jeszcze w jednym masz rację. Traktuję tę sprawę jako intelektualne wyzwanie.

- Szczerze mówiąc, wolałabym nie bawić się z Dunbar-em i jego psami w kotka i myszkę. - Constance nie była zachwycona.

- Ja też - poparł ją Soames.

- Dunbar i jego inspektorat nie są dla nas żadnym zagrożeniem - upierał się Black. - Pracują nad zagadką sprzed dwóch dekad i pewnie ją rozwiążą, choć wszyscy zamieszani w tę sprawę już nie żyją. Koniec, kropka. Jeśli podejmiemy kroki, żeby usunąć ich z drogi, możemy dać wyraźny sygnał, że nie wszyscy zaangażowani zginęli i że inspektorat jest blisko tych, którzy przeżyli. Powinniśmy postępować dyskretnie. Nasz projekt już zaczął działać i wszystko idzie zgodnie z planem. Zachowajmy spokój, dobrze?

Zebrani po kolei kiwnęli głowami na znak, że się zgadzają.

- Wspaniale - powiedział Black. - Wiem, że przedstawiciel inspektoratu uczestniczył wczoraj w spotkaniu kryzysowym w kancelarii premiera. Jestem przekonany, że wydarzenia sprzed lat zeszły przez to na drugi plan.

Maxine French uśmiechnęła się, wpuszczając Stevena do salonu. Pokój robił ogromne wrażenie - trzy przeszklone ściany wychodziły na ogromny taras najwyższego piętra apartamentowca. Dunbar zerknął jeszcze raz na gospodynię. Miał wrażenie, że nie pierwszy raz widzi taki uśmiech - to był uśmiech mającej kontakt z polityką kobiety wyższych sfer, która chce ośmielić maluczkich u swoich stóp.

- Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas, mimo tak niespodziewanej prośby o spotkanie. Proszę przyjąć moje wyrazy uznania dla pani działalności charytatywnej.

- Robię, co mogę. - Tym razem uśmiech Maxine miał wyrażać skromność. - Zaintrygował mnie pan, panie doktorze. Czym zajmuje się Inspektorat Naukowo-Medyczny?

Steven wyjaśnił jej to w paru słowach.

- Nauka i medycyna rozwijają się dziś w ogromnym tempie. Pewnie macie mnóstwo pracy - stwierdziła. - W czym mogłabym wam pomóc?

Czas na blef. Steven poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej.

- Pani mąż był nie tylko wybitnym naukowcem... ale też służył krajowi w inny sposób...

- Wiedziałam! - wykrzyknęła kobieta z miną zwycięzcy w totolotka. - Charles był wielkim patriotą. Nikt nie kochał naszego kraju tak, jak mój

mąż. To dlatego udał się do Paryża, prawda? Pojechał tam z tajną misją, w interesie naszej ojczyzny?

Steven nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Blef zadziałał tak doskonale, że Maxine była gotowa stanąć na baczność i zaintonować hymn narodowy.

- Zgadza się. Charles pracował też dla rządu.

- Wiedziałam... wiedziałam! Teraz to wszystko nabiera sensu.

- To delikatna sprawa... Pani mąż był w posiadaniu materiałów, które nie mogą wpaść w niepowołane ręce. Jego przedwczesna śmierć sprawiła, że nie mamy pewności... gdzie je przetrzymywał. Stąd nasza prośba o pani pomoc.

Maxine natychmiast wstała i podeszła do obrazu, przedstawiającego jakiś pejzaż. Malowidło wisiało nad wpuszczonym w ścianę marmurowym kominkiem. W palenisku leżały szczapy drewna. Kobieta odsunęła obraz i oczom Stevena ukazały się drzwiczki do sejfu. Westchnął dyskretnie rozbawiony brakiem oryginalności. Każdy włamywacz w kilka sekund znalazłby tę skrytkę. Przestraszona groźbami Maxine zapewne jeszcze szybciej podałaby mu kombinację do zamka. Niezbyt to przemyślane.

Okazało się jednak, że nie miał racji. W pierwszej chwili pomyślał, że sejf jest pusty, lecz kobieta wyjęła z niego coś małego i dała znak, by wyszedł za nią na taras. Dopiero teraz dostrzegł plastikową kartę w jej dłoni. Zaprowadziła go do niewielkiej niszy, ukrytej między roślinami w doniczkach. Otworzyła fragment zdobień i wsunęła kartę w szczelinę w ścianie. Plastik zniknął, za to odsunął się kawałek ceglanej ściany, odsłaniając niewielki wyświetlacz.

- Proszę nie dotykać! - krzyknęła Maxine, widząc jak gość się nachyla, by dokładniej przyjrzeć się urządzeniu. Panika w jej głosie nakazała Stevenowi odskoczyć.

- To panel biometryczny - wyjaśniła, po czym dotknęła go dwoma palcami i przetrzymała je tak przez chwilę. Panel przesunął się w bok, otwierając niewielką skrytkę wprawioną w żelbetowy słup podtrzymujący dach apartamentu. Maxine wyjęła ze środka kilka dysków w plastikowych pudełkach i podała je Dunbarowi.

- Chyba tego szukacie.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział Steven, siląc się na spokój. Nie powstrzymał się jednak przed zadaniem pytania:

- Co by się stało, gdybym dotknął panelu?

- Wybuch urwałby panu głowę.

Musiał cofnąć wszystko, co pomyślał o słabych zabezpieczeniach sejfu. Nawet gdyby ktoś ją torturował i ujawniłaby miejsce ukrycia dysków, Maxine mogłaby bez oporów dać napastnikowi kartę i wskazać drugą skrytkę.

Steven opuścił penthouse z myślą, że wykorzystał tego dnia przydział szczęścia na cały rok. Dostał dokładnie to, czego szukał, i to bez przeszukiwania Deltasoft czy mieszkania, a jego działania nie podkopały zaufania do państwa. Prasa nie będzie tworzyła teorii spiskowych, Maxine wróci do działalności charytatywnej i da z siebie jeszcze więcej, niesiona jak na skrzydłach świadomością, że tajne dzieło jej męża będzie kontynuowane. A nie będzie.

- Wyglądasz, jakbyś trafił szóstkę w totka. - Jean Roberts przywitała go uśmiechem, kiedy zjawił się w biurze.

- Jean, to nie jest zwykły dzień. Możesz dostarczyć te płyty do laboratorium? Sprawa superpilna.

- Pewnie, już się do tego biorę. Nasza ekipa właśnie kończy analizę.

- Świetnie, zaraz do nich zajrzę.

Kiedy wszedł na górę, ludzie z Ministerstwa Zdrowia pakowali swoje rzeczy i przygotowywali się do wyjścia. Sophie Thornton zauważyła go i podeszła.

- Skończyliśmy. Podejrzane przypadki są poukładane alfabetycznie - wyjaśniła, wskazując regał pod oknem. -Nie znaleźliśmy niczego nowego. Właściwie za każdym razem wszystko wyglądało identycznie, ludzie umierali, choć mogli jeszcze żyć, ale nawet w przypadku sekcji wyniki wskazywały na naturalne przyczyny zgonu.

Steven podziękował jej i reszcie zespołu. Został z nimi, kiedy czekali na windę. Wtedy pożegnał ich jeszcze raz i z uśmiechem pomachał na odchodne - dziwny zwyczaj, wyniesiony z rodzinnego domu. Jego matka nie wypuszczała nikogo za próg, nie mając pewności, czy nie usłyszał przynajmniej trzech wersji pożegnania. A i tak na koniec pędziła do okna, żeby jeszcze pomachać.

Dunbar wrócił do sali i oparł dłoń na jednej z teczek. Sophie powiedziała, że poukładali je alfabetycznie, więc bez problemu odnalazł dokumentację medyczną ojca Jamesa Kincaida. Górnik w kopalni węgla przeszedł na emeryturę ze względu na problemy z oddychaniem wywołane

wieloletnią pracą pod ziemią. W końcu zachorował na raka płuc i zmarł trzy tygodnie po operacji przeprowadzonej w College Hospital. Kincaid miał prawo coś podejrzewać. Gdy choroba jest tak zaawansowana, że pacjent może w każdej chwili umrzeć, lekarze nie decydują się na operację. Fakt, że w tym przypadku podjęli decyzję o zabiegu, wskazywał na znacznie lepsze rokowania niż trzy tygodnie życia. Natomiast French i jego ludzie - chociaż może lepiej byłoby użyć określenia Grupa Schillera - zdecydowali, że będzie tylko obciążał budżet Ministerstwa Zdrowia. Spisali go na straty. Na prawo życie, na lewo śmierć.

Steven otrzymał w końcu odpowiedź na pytanie, które rankiem zadał Jean.

- Przypomniałam sobie, gdzie natknęłam się na tę nazwę - oznajmiła na jego widok. - Grupa Schillera, tak właśnie French nazwał swoje stronnictwo po rozłamie w klubie konserwatystów na uniwersytecie.

- Jesteś wspaniała. - Uśmiechnął się do niej.

- Zaczyna mi się podobać praca dla ciebie. Sir John nigdy nie mówił mi takich miłych rzeczy.

- Korzystaj, bo niedługo wróci.

Nie mając żadnych informacji z laboratorium, Steven wyszedł na spacer pomyśleć o Frenchu i jego kolegach z czasów studenckich. Dlaczego wybrał akurat taką nazwę? Grupa Schillera? Przypadek czy zamierzone działanie? Wiedział o istnieniu prawdziwej grupy i walczył w ten sposób o jej zainteresowanie albo nawet o to, by do niej dołączyć? Niezależnie od motywów musiał zwrócić na siebie uwagę ojca lady Antonii Freeman,

sędziego, który potraktował go później wyjątkowo łagodnie, choć został oskarżony o poważne przewinienie. To by mogło świadczyć, że French dostał się jednak między bardzo wpływowych ludzi.

Tego samego dnia wieczorem Steven zatelefonował do Tally. Zaskoczyła go nowiną, że udało jej się wywalczyć urlop na następny dzień.

- Pojedźmy gdzieś - powtórzył propozycję.
- Jakies pomysły?
- Byłaś kiedyś w Północnej Walii?
- Nie, jeszcze nigdy.
- Wspaniale. W takim razie jutro cię tam wezmę.
- To przecież strasznie daleko?
- Mam...
- Porsche - dokończyła za niego. - Boże, na co ja się zgadzam!
- Wyruszę z samego rana. Będę u ciebie o dziesiątej.

Następnego dnia świeciło słońce i jazda wzdłuż wybrzeża Północnej Walii była czystą przyjemnością. Nawet Tally, która nie przepadała ani za samochodami, ani za prędkością, dała się uwieść poczuciu wolności w kabriolecie i głębokim pomrukiem silnika.

- Skąd znasz Północną Walię? - zapytała, przekrzykując szum, kiedy zwolnili, by skręcić do Conwy.

- Byłem tu na szkoleniu - wyjaśnił. - Biegaliśmy po... górach - dodał wymijająco. - Wtedy zakochałem się w okolicy. Jest przepiękna... Pod warunkiem że to nie jest styczeń, nie musisz nosić na plecach całego wyposażenia i broni, a wiatr nie siecze cię lodowatym deszczem w twarz.

- Czyli powinno być jak dzisiaj.

- Dokładnie - zgodził się Steven, spoglądając w niebo. - Zatrzymamy się na kawę i pospacerujemy po murach zamku. Stamtąd dopiero rozciągają się widoki.

Po krótkiej przechadzce po murach obronnych starego zamczyska Tally była wyraźnie pod wrażeniem. Wracając do samochodu, uśmiechnęła się i ścisnęła lekko dłoń Stevena.

- Dokąd teraz?

- Bodenant Garden. Jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

- To co nam zostanie, jak już je zobaczymy?

Potem, podczas przechadzki po krętych alejkach przepięknego ogrodu, Tally zatrzymała się na mostku nad wartkim strumieniem i spojrzała na Stevena.

- Masz rację - powiedziała. - To jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Dziękuję, że mnie tu zabrałeś.

- A gdzie indziej mógłbym zabrać tak piękną kobietę?

- Ty stary podrywaczu! - Tally zachichotała. Steven zrobił się poważny.

- Wszystko między nami dobrze, prawda? No wiesz, ty i ja...

Tally przez chwilę milczała i czuła, jakby w jej głowie zawirowały tysiące myśli naraz.

- Tak - usłyszała swój głos. - Wszystko super.

- Kocham cię.

- Wiem.

Pojechali dalej, do Caernarfon, gdzie przyglądali się jachtom kołyszącym się na falach u stóp kolejnego zamczyska.

- Zamilkłaś - stwierdził.

- Zastanawiałam się, kiedy mi wyjaśnisz, co się stało, że mogłeś wziąć wolne... Nie, żebym marudziła, o nie. Znow ślepy zaulek?

- Wręcz przeciwnie - odpowiedział z uśmiechem. - Śledztwo posuwa się zaskakująco dobrze. - Opowiedział jej o wnioskach, do jakich doszli z Macmillanem, kiedy rozmawiali o kuracji dla „nierokujących przypadków”. - Udawali, że ich leczą, podając placebo. Czekam tylko na potwierdzenie. Laboratorium da mi niedługo znać, czego się dowiedzieli. I to chyba będzie na tyle... akurat na czas, żeby zdążyć na Armagedon.

- Może mi zdradzisz, o czym mówisz? Steven zamilkł na moment.

- Wywiad uważa, że nasz kraj znalazł się w niebezpieczeństwie - wyjaśnił w końcu. - W najbliższym czasie ma dojść do ataku ze strony islamskich terrorystów.

- O Boże! - mruknęła Tally. - Zawsze powtarzałeś, że w końcu do tego dojdzie. Teraz to pewne?

- Prawie pewne. Najgorsze, że nie wiemy, jakiej broni użyją.

- Czyli nie ma szans, żeby się przygotować?

- No właśnie.

- W takim razie zupełnie nie rozumiem, jak mogłeś wziąć wolny dzień?

A może... chciałeś się po prostu ze mną pożegnać?

Steven się uśmiechnął.

- Nic się nie da zrobić, dopóki nie nastąpi atak. MI5 dwoi się i troi, żeby się dowiedzieć czegoś więcej ze swoich źródeł, ale dopóki czegoś nie znajdą...

- Wszystko będzie jak dawniej - dokończyła za niego i pomyślała, że chyba nie mogła palnąć niczego głupszego w tej sytuacji.

- Jeśli będziemy mieli dość czasu, jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym zrobić, zanim zamkniemy dochodzenie. Oczywiście pod warunkiem, że laboratorium dostarczy nam dowodów.

- Co konkretnie?

Chciałbym pojechać na groby ludzi, którzy lata temu rozpracowali Północny Plan Opieki Medycznej i jego prawdziwe założenia, ale nie dożyli chwili, by ktoś przyznał im rację. Zasłużyli na jakiś rodzaj uznania. Gdyby nie oni, pewnie tysiące innych mogło zginąć przedwcześnie.

- Tak, powinniśmy to zrobić - zgodziła się Tally.

Do Londynu Steven wrócił w poniedziałek rano. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych czekał na niego analityk komputerowy z laboratorium, które miało zbadać oprogramowanie.

- Powiedział, że chce rozmawiać z tobą osobiście - wyszeptała Jean Roberts.

- Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli sam panu o tym powiem - wyjaśnił mężczyzna, a Steven zaprosił go do biura Johna Macmillana i wskazał krzesło. - Sprawa wygląda na bardzo prostą. Dostarczony materiał to oprogramowanie zarządzające funkcjonowaniem oddziału aptecznego dużego szpitala. Do programu wprowadzone zostają dane pacjenta i recepta od lekarza. Oprogramowanie dokonuje oceny trafności i wysyła polecenie przygotowania odpowiednich medykamentów, przy czym mogą to być leki wskazane przez lekarza, ale też tańsze odpowiedniki, jeśli ich skuteczność jest odpowiednio udokumentowana.

- Tak właśnie myśleliśmy - zgodził się Steven.

- Tyle że to nie wszystko. Z początku niczego nie zauważyłem, jednak oprogramowanie korzysta jakby z dwóch zbiorów aptecznych jednocześnie. Nazwijmy je zbiorem A i B. Wyszczególnione zostały okoliczności kwalifikujące pacjenta do przydzielenia leku ze zbioru A albo B.

- Jakie to okoliczności?

- Istnieje cała lista chorób i innych wskazań, które automatycznie przesuwają pacjenta do grupy B. Proszę, wydrukowałem je dla pana. Części nie rozumiem, ale jedną z przesłanek jest z całą pewnością podeszły wiek. Możliwe, że starsi ludzie potrzebują wyższych dawek?

Albo żadnych, pomyślał Steven, ale nie powiedział tego na głos.

- Możliwe.

- Dodatkowo na jednym z dysków znajduje się lista szpitali i przychodni, w których to oprogramowanie będzie używane jesienią.

Dunbar nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Twierdzi pan, że ma dopiero zostać wdrożone?

- Tak. Od września 2010 w piętnastu regionach, w całym kraju i w Walii.

Czyli jednak planowali ponownie wprowadzić system w życie, pomyślał Steven. Macmillan miał rację, i to od samego początku. Ogarnęło go przerażenie. Czym właściwie była eksplozja w Paryżu? Musiał przemyśleć teorię o walce frakcji w łonie Grupy Schillera. Teraz już nie wyglądało to na tak prawdopodobne jak wcześniej. Jeśli zamachowiec był jednym z członków grupy i nie podobało mu się ponowne wprowadzenie planu w życie, raczej mało prawdopodobne, żeby zabił szóstkę swoich tylko po to, żeby ich powstrzymać. Za tym kryła się jakaś tajemnica.

- Dziękuję, świetna robota - pochwalił analityka. Tamten wstał i szykował się do wyjścia, a Steven pogрузzył się w rozmyślaniach.

Jakiś czas później wyszedł z biura i pojechał odwiedzić Johna Macmillana. Żona przyjaciela zaprowadziła go do salonu, bo Macmillan rozmawiał akurat przez telefon.

- Nie chce się trzymać zaleceń - poskarżyła się. - Lekarze powtarzają, że ma odpoczywać, a on... nic się nie zmienił.

Steven pokiwał ze współczuciem głową. W tej samej chwili dobiegł ich podniesiony głos Johna.

- Na litość boską! Powinniście już mieć jakieś informacje!

Steven domyślił się, że chodzi o brak postępów wywiadu. Macmillan, zanim odłożył słuchawkę, dorzucił gniewnie:

- Od tego zależy życie obywateli. Ludzie! Weźcie się wreszcie w garść i zróbcie coś. A o prawa człowieka będziemy martwić się później.

- Słyszę, że wracasz do formy - przywitał się Steven. - Jak rozumiem, na razie brak postępów?

Macmillan machnął dłonią i zrobił zrezygnowaną minę.

- Przecież taki atak wymaga zaplanowania i całej infrastruktury terrorystycznej, a to oznacza, że jest w niego zamieszanych wielu ludzi. Inaczej wygląda mała bomba, którą przygotowuje każda komórka zamachowców, a czym innym jest zamach biologiczny. Dlaczego nasi ludzie niczego nie wiedzą? Nic! Absolutnie nic!

- Zgadza się, to dziwne, szczególnie że zamachowcy mają pochodzić z kraju.

- No właśnie! Wywiad ma swoich ludzi ulokowanych w każdej organizacji, a jak ma dojść do zamachu, to nikt nic nie wie? Dlaczego?

Steven westchnął.

- Wersja optymistyczna jest taka, że ostrzeżenie okaże się blefem. Wersja pesymistyczna oznacza, że pomylili się co do pochodzenia zamachowców i uderzenie przyjdzie spoza naszych granic.

Macmillan zamyślił się, po czym powiedział:

- Czasem zastanawiam się, gdzie byłaby teraz ludzkość, gdyby nie ciągnęło nas tak bardzo do religii. Idę o zakład, że kolonizowalibyśmy już inne planety.

- Tak, życie wieczne ma sporo na sumieniu.

- Myślę, że każdy chce mieć je dla siebie i na tym polega problem. - John pokręcił smutno głową. - Jak tam śledztwo?

- Pozamiatane - odparł Steven. - Na dyskach znajdują się dowody, że rzeczywiście chodziło o usuwanie nieroku-jących przypadków, które obciążałyby system. Orientacyjne szacunki pozwalają określić liczbę osób, które straciły w ten sposób życie, na prawie czterysta. To łączne dane dla szpitala College Hospital i okolicznych przychodni.

- Powinieneś powiedzieć, że zostali zamordowani -stwierdził Macmillan.

- James Kincaid i jego ekipa byli na tropie i niemal ujawnili te działania, ale w ostatniej chwili ich uciszono. Schiller i jego grupa przyczaili się na jakiś czas, a potem nie mogli kontynuować dzieła, bo torysi stracili władzę, a laburzyści rządzą przez kolejnych trzynaście lat. Najwyraźniej uznali, że obecna zmiana rządu daje im zielone światło i powinni jeszcze raz spróbować. Planowali uruchomić swój program w szpitalach w całym kraju już we wrześniu.

- Los zdecydował inaczej i wysłał ich na przymusową emeryturę. - Macmillan zachichotał. - Sprawa do zamknięcia?

- Chciałbym, żeby to los tak zdecydował. - Steven pokręcił głową. - Na kilka pytań nie znalazłem odpowiedzi...

- Wiem, jak bardzo nienawidzisz zostawiać niewyjaśnionych wątków - oznajmił John. - Ale może akurat teraz powinniśmy zająć się już czymś innym?

- Pewnie masz rację - zgodził się Steven. - Przy okazji, powinni cię ustanowić dobrem narodowym. Miałeś rację niemal w każdej sprawie.

Edynburg, piątek, 21 maja 2010

Mężczyzna wszedł do pokoju na tyłach jednego z domów w Edynburgu. Z wielkiej lodówki, jakby żywcem wziętej z amerykańskich filmów, wyjął skrzynkę, postawił ją na stole i ostrożnie otworzył. W środku znajdowało się kilka metalowych pojemników. Dwóch nastolatków o azjatyckich rysach nie mogło oderwać od nich oczu.

- Nadszedł czas - powiedział. - Obaj wiecie, co robić. W ostatnich tygodniach wielokrotnie wszystko powtarzaliśmy. Wiecie, gdzie znajdują się wasze cele, i wiecie, co mówić dozorcom i każdemu, kto będzie zadawał pytania. Wiecie też, co z tym zrobić. - Wskazał na metalowe pojemniki. - Zanim je otworzycie, załóżcie maski i rękawiczki. Nie wolno wam niczego rozlać. Uważajcie, żeby nie mieć nawet najmniejszego kontaktu z zawartością. Kiedy wypełnicie zadanie, pojedziecie na południe, do domu w Northumberland, gdzie spotkacie się z pozostałymi. Tam dostaniecie bilety na samolot. Wasze rodziny już was nie zobaczą, ale będą wiedzieli, że

walczyście w armii po stronie dobra i na zawsze pozostaniecie w ich sercach.
Czy jesteście gotowi, bracia?

- Tak - odparł Anwar Khan.

Muhammad Patel kiwnął tylko głową. Miał zbyt wyschnięte gardło, by cokolwiek powiedzieć.

- Niech Bóg ma was w swojej opiece. Po wsze czasy będą wychwalane wasze imiona, a wasze rodziny będą z dumą mówić o swoich synach. Amerykańscy imperialiści i ich brytyjscy sługusi zrozumieją, że ich chciwość i chęć przejęcia źródeł ropy nas nie powstrzyma. Będziemy walczyć o swoje! Warstwa zgnilizny moralnej i grzechu, przykrywająca ten kraj, zostanie zmyta czystymi wodami islamu. Wypełnijcie swoją świętą powinność. Allah Akbar!

Młodzi mężczyźni powtórzyli zawołanie, otworzyli skrzynki na narzędzia i spakowali do nich pojemniki, starannie ustawiając je w pionie i owijając folią bąbelkową.

Mężczyzna objął i przytulił obu młodzieńców i odprowadził ich do drzwi. Obserwował, jak wsiadają do białej furgonetki z emblematem szkockich wodociągów i odjeżdżają. Kiedy się odwrócił, by wejść do domu, zawołała go sąsiadka.

- Czyżby jakieś problemy z wodą, sąsiedzie? Spojrzał w bok i zobaczył Gillian McKay. Kobieta stała przy niskim żywopłocie i spoglądała ciekawsko w jego stronę.

- Nie, nic z tych rzeczy. Mój bratanek pracuje dla wodociągów. Był w okolicy i wpadł się przywitać.

- To dobrze. Następnym razem, jak go pan zobaczy, niech go pan zapyta, dlaczego dodają tyle chloru. Czasem herbata smakuje tak, jakbym brała do niej wodę z basenu!

- Z całą pewnością powtórzę, droga sąsiadko. Ale wie pani, z wodą nie ma żartów, trzeba bardzo uważać.

Khan i Patel nie rozmawiali w czasie jazdy na północ miasta. Zatrzymali się przy piętnastopiętrowym bloku, jednym z czterech stojących w grupie, jak gigantyczne kamienne pnie. Khan zaparkował tuż przed wejściem i sięgnął po podkładkę z papierami.

- Gotowy?

- Ruszajmy.

We dwójkę weszli do grafitowego holu apartamentow-ca Inchmarin Court i zatrzymali się przed windą, z której wysiadła młoda kobieta z dwójką dzieci. Khan udał, że sprawdza coś w dokumentach, a Patel przełknął nerwowo ślinę i uśmiechnął się do nieznajomej. Kobieta zignorowała go i obróciła się, by pospieszyć młodsze dziecko. Khan zadzwonił do dozorca i poczekał, aż się zgłosi przez domofon.

- Kto tam?

- Wodociągi. Mamy sprawdzić ciśnienie.

- Nikt mi nie mówił, że przyjedziecie.

- Dostaliśmy kilka skarg na niskie ciśnienie. Chodzi o trzy najwyższe piętra.

- Cholera, nigdy mnie nie informują!

- Mamy to sprawdzić czy nie?

- Poczekajcie, zaraz będę. Cholera!

Po kilku minutach na parterze pojawił się starszy, obrzydliwie otyły mężczyzna w zielonych sztruksach i kapciach. W dłoni niósł spory pęk kluczy. Podrapał się po brodzie i machnął ręką.

- Tędy.

Khan i Patel ruszyli za nim. Po chwili znaleźli się w hydroforowni, gdzie znajdował się główny zbiornik budynku. Z tego miejsca elektryczne pompy tłoczyły wodę do trzech mniejszych zbiorników umieszczonych na najwyższym piętrze.

- Nie musi pan sterczeć tu z nami - zaproponował Khan.

- Widziałem zamek zatrzaskowy. Wychodząc zamkniemy za sobą - dodał drugi.

- Świetnie. Potrzebujecie czegoś jeszcze?

- Nie, to tylko standardowa procedura. Jeśli znajdziemy jakiś problem, i tak przyślą ekipę hydraulików.

Dozorca zostawił ich samych. Patel zamknął delikatnie drzwi. Przez chwilę stał nieruchomo, oparty o nie plecami.

- Widział nas.

- Nie przejmuj się - uspokoił go Khan. - Dla nich wszyscy wyglądamy identycznie. Poza tym zanim zaczną go wypytywać, będziemy już w samolocie do Pakistanu.

Szybko założyli jednorazowe kombinezony schowane w skrzynkach z narzędziami, gumowe rękawiczki i maski. Dopiero wtedy ostrożnie wyjęli dwa metalowe pojemniczki i postawili je na podłodze obok wielkiego zbiornika, po czym wspólnymi siłami odsunęli ciężkie metalowe wieko. Pod spodem była woda. Patel podskoczył ze strachu, kiedy włączyła się jedna z pomp, by uzupełnić zbiornik na najwyższym piętrze. Po około dziesięciu sekundach znów zapanowała cisza.

- Gotowy? Patel przytaknął.

Obaj podnieśli z ziemi pojemniczki i zdjęli kapselki. Żeby uniknąć rozbryzgów nachylili się do wnętrza i z jak najmniejszej wysokości wiali mętną żółtawą substancję do wody.

- Załatwione - orzekł Khan, zamknął pojemniczek i odstawił go na podłogę. - Poczekaj, sięgnę po torbę.

Ze skrzynki na narzędzia wyjął gruby foliowy worek, jakie wykorzystuje się do zbierania gałązek i liści z ogrodu, wrzucił do niego oba pojemniczki, maski, kombinezony i na koniec rękawiczki. Potem starannie go zawiązał i pomógł koledze zamknąć zbiornik.

Worek z odpadami schowali w furgonetce i podjechali dwieście metrów dalej do kolejnego bloku, gdzie powtórzyli całą operację. Po półtorej godzinie mieli za sobą wizyty w czterech wieżowcach. Krótco po ósmej wieczorem ruszyli na wschód, wzdłuż zatoki Firth of Forth. Był to pierwszy etap ich podróży na południe.

Zamiast korzystać z autostrady, trzymali się bocznych dróg. Po kilku kilometrach dotarli do niewielkiego piaszczystego parkingu przy plaży. O tej

porze było tu zupełnie pusto, bo spacerowicze wrócili już do domów, a wieczorni kochankowie jeszcze się nie pojawili. Khan wyrzucił worki z pustymi pojemnikami i ubraniami ochronnymi do kosza przy nieczynnej publicznej toalecie. W tym samym czasie Patel usunął z karoserii logo firmy wodociągowej. Uruchomili nawigację satelitarną i ruszyli dalej, w kierunku Northumberland.

O czwartej nad ranem jeden z radiowozów patrolujących ulice Edynburga zatrzymał się przed grupką czterech wieżowców.

- Czy to nie dziwne? - zapytał partnera kierowca. Policjant rozejrzał się, ale niczego nie zauważył, więc

pokręcił głową.

- Zobacz, we wszystkich oknach palą się światła -podpowiedział kierowca.

- Jezu, masz rację. Co oni robią, powtórkę z sylwestra?

- Ciekawe, co się dzieje.

- Może planują przewrót.

Kierowca uchylił okno i zaczął nasłuchiwać.

- Jeśli nawet, to są cicho. To będzie bardzo spokojny przewrót.

- Nic nam do tego. Myślisz, że powinienem to zgłosić?

- Zapalanie świateł w nocy nie jest nielegalne... przynajmniej dopóki zieloni nie dorwą się do władzy.

Radiowóz odjechał.

- Chryste, ale mi niedobrze - jęknął Neil MacBride, wracając do sypialni mieszkania na czternastym piętrze Inchmarin Court, które zajmował z żoną i dwójką dzieci. Przez ostatnie pół godziny trzy razy musiał biec do łazienki.

- Sam sobie jesteś winien. Ile wypiełeś dzisiaj wieczorem?

- Tyle co zawsze. Bóg mi świadkiem. To chyba stara przekąska...

- Boże, ile razy to już słyszałam! Pewnie było dziesięć kufli, a tobie znowu zaszkodziła przekąska?

- Przysięgam, że wypiełem najwyżej trzy piwa.

- Hm... Dziwne, ja też się źle czuję.

- Jezu, ale boli! - jęknął Neil, czując potężne skurcze żołądka. - Znowu muszę do ubikacji!

- Może to ta potrawka z kurczaka na obiad - krzyknęła jeszcze Morąg.

- Mamo, źle się czuję. Boli mnie brzuch. - W drzwiach sypialni pojawiła się mała postać w piżamie, z misiem przytulonym do piersi.

- Mnie też - dodał drugi cienki głosik.

Podobne sceny rozgrywały się we wszystkich pozostałych mieszkaniach czterech apartamentowców. To samo działo się w pięciu blokach w Manchesterze, sześciu w Londynie i dwóch w Liverpoolu. O szóstej rano Morąg wybrała numer pogotowia. Nie mogła się dodzwonić. Podobnie było z telefonami w pozostałych miastach. System był przeciążony.

- Za trzy kilometry skręć w lewo - odezwał się głos z nawigacji.

Khan zwolnił, po bocznych drogach i tak nie dało się szybko jechać.

- Skręć w lewo.

- Gdzie? - krzyknął chłopak, wbijając wzrok w ciemność.

Światła reflektorów niewiele pomagały w otaczającej ich mgle.

- Wyznaczam nową trasę.

- Musiałeś przegapić skręt - stwierdził Patel. - Wydawało mi się, że tam...

Khan wrzucił wsteczny i zaczął cofać.

- Skręć w lewo... skręć w lewo...

- Jest! - krzyknął Patel. - Trochę zarosło...

Khan w końcu też dostrzegł zjazd i skręcił. Natychmiast rozległo się głośnie drapanie, kiedy gałęzie uderzyły w burty furgonetki. Po kilkuset metrach wybojów, które mogły uszkodzić zawieszenie samochodu, dostrzegli w końcu zarys spadzistego dachu. W środku panowała ciemność.

- Dotarłeś do celu - potwierdził głos z nawigacji.

- Myślałem, że ktoś będzie na nas czekał - mruknął Patel. - Wygląda na to, że jesteśmy pierwsi.

Pod jednym z kamieni przy schodkach znaleźli klucz. W domu było chłodno i ciemno, ale lodówka jednostajnie szumiała, co oznaczało, że mieli prąd. Włączyli światła. W lodówce znaleźli jedzenie. Godzinę później dołączyła do nich dwójka, która działała w Manchesterze, a po kolejnych dwóch godzinach przybyła ekipa z Liverpoolu. Dwóch młodych mężczyzn z

Londynu dotarło na miejsce wczesnym rankiem. Dopiero wtedy pogratulowali sobie udanej misji.

Khan i Patel, którzy wcześniej mieli dość czasu, by się przespać, zaproponowali, że staną na warcie.

- Jesteśmy z dala od drogi - stwierdził jeden z chłopaków z Londynu. - Poza tym myślałem, że ktoś będzie tu na nas czekał, żeby nas poinformować co dalej.

- Ja też - rzucił Patel.

- Przyjadą za dnia - wyjaśnił Khan.

- Budzisz mnie tylko po to, żeby powiedzieć, że w Pilton wybuchła epidemia grypy żołądkowej? - krzyknęła doktor Alice Spiers, dyrektor Departamentu Zdrowia urzędu miejskiego w Edynburgu i Lothian. Delikatnie mówiąc, nie była zadowolona, że ktoś wyrywa ją z łóżka o trzeciej w nocy. Śpiący obok mąż przewrócił się na drugi bok i zakrył głowę poduszką.

- Ilu?! - krzyknęła. Słyszac po raz drugi tę samą odpowiedź, wyprostowała się nagle i poczuła, że senność całkowicie ją opuściła. Wolną ręką podrapała się nerwowo po czole. - Mieszkańcy czterech wieżowców... - mruknęła. - Jak, na Boga, do tego doszło...

- Szpitale Western General i Infirmary są już przepelnione. Nie możemy działać na taką skalę - wyjaśniła po drugiej stronie słuchawki doktor Lynn James, będąca jednocześnie szefem służb ratunkowych.

- Nie, nie możemy - zgodziła się Spiers, starając się wymyślić jakieś rozwiązanie. - Niech chorzy zostaną w domach. Będziemy się starali załatwić jakieś awaryjne rozwiązanie. I przede wszystkim trzeba ustalić, co się właściwie wydarzyło - dodała, biegnąc w stronę łazienki. Po drodze zbierała ubrania. Jej mąż znów się przewrócił w łóżku.

- Jest ich tylu, że nie wykluczałabym początków paniki - stwierdziła James. - Ale z drugiej strony część wygląda naprawdę źle.

- Zbyt wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Trzeba poczekać na wyniki z laboratorium.

- Niestety.

Spiers przycisnęła słuchawkę ramieniem do ucha i ubierała się, nie przerywając rozmowy.

- Może ktoś powie, że przesadzam, ale i tak zamierzam ogłosić stan klęski.

- Liczby uzasadniają taki krok - zgodziła się Lynn. -Najważniejsze, że na razie wszystko wskazuje na ograniczenie zachorowań do tych czterech budynków. I dzięki Bogu!

- Trzeba jak najszybciej zorganizować kordon dookoła nich i zabronić wejścia. Poza lekarzami i pielęgniarkami nikt nie może się do nich zbliżyć. Powiadom też lekarzy z okolic. Zorganizujcie lotne zespoły medyczne, które będą zajmowały się chorymi w ich mieszkaniach. Szpitale działają w ramach podniesionej gotowości, tak?

- Zgadza się. Wszyscy pracownicy dostali wezwania alarmowe.

- Woda - stwierdziła nagle Spiers. - To musi być woda. Nie mogli przecież wszyscy zjeść tego samego, prawda?

- Ale chorzy są mieszkańcy czterech osobnych bloków.

- Gdyby skażone zostały ujęcia, wszyscy w okolicy byliby chorzy. - Spiers się zamyśliła. - To by oznaczało, że zbiorniki w tych czterech wieżowcach zostały...

- Celowo zatrute?

W szpitalu Western General o godzinie dziesiątej rano zebrał się sztab kryzysowy. W tym czasie było już wiadomo o wybuchu podobnej epidemii w trzech innych miastach na terenie kraju. To wykluczało inne możliwości niż celowe działanie.

- Zostaliśmy zaatakowani przez terrorystów - oznajmił szef lokalnej policji. - Zatruto zbiorniki z wodą w wieżowcach w czterech miastach na terenie całego kraju.

- Wiadomo już czym? - zapytał jeden z zebranych.

- Nie, nie mamy takich informacji.

- Czy wiadomo coś o szkodliwości trucizny? Jest śmiertelna?

- Na razie nie mamy danych na temat ofiar śmiertelnych, lecz z raportów przekazywanych na bieżąco przez zespoły lekarzy i ratowników wynika, że część chorych jest w stanie krytycznym. Liczymy, że dość szybko otrzymamy wyniki badań laboratoryjnych.

Neil MacBride, jeden z pierwszych chorych i przy okazji jedna z pierwszych hospitalizowanych osób, na przemian tracił i odzyskiwał

przytomność, skutecznie utrudniając pielęgniarce wkłucie się w żyłę, by podać mu kroplówkę.

- Neil, wytrzymaj chwilę, proszę - mruknęła młoda kobieta, przytrzymując bezwładne ramię.

Wszystkie - nieliczne - łóżka Oddziału Chorób Zakaźnych szpitala Western General były zajęte. Czas epidemii bezpowrotnie minął, więc i szpitale nie potrzebowały olbrzymich przestrzeni. Politycy zdecydowali o tym już trzydzieści lat temu, oczywiście nie angażując się w przekazanie opustoszałego piętra Western General biznesowi.

Lekarz stażysta Assad Hussain przybiegł z innego skrzydła szpitala wezwany do pomocy i pierwszą osobą, na którą natrafił, była pielęgniarka siłująca się z nieprzytomnym Neilem MacBride'em. Przytrzymał mu ramię, a ona wkłuła się w żyłę i otworzyła kroplówkę.

- Naprawdę tego potrzebuje. - Hussain pokiwał głową. - Jest niebezpiecznie odwodniony.

- Jak wszyscy - zgodziła się kobieta.

- Ależ tu śmierdzi - mruknął lekarz.

- Mają straszną biegunkę - wyjaśniła szeptem pielęgniarka. - Stąd to odwodnienie.

Młody lekarz uśmiechnął się do niej, ale kiedy zobaczył brudne prześcieradło na podłodze obok łóżka, momentalnie spowaźniał.

- Co pan wyprawia? - zapytała kobieta, widząc, jak przykuca i bada fekalia.

- Biegunka wodnisto-ryżowa - wymruczał.

- Słucham?

- Tak, wiem, że jestem nowicjuszem i dlatego idiotą - powiedział już głośniej. - Ale potrafię właściwie zidentyfikować symptomy. Widziałem już coś takiego u mnie w kraju. Ten pacjent nie cierpi na grypę żołądkową. Ani ten, ani żaden inny. Oni wszyscy zarazili się cholera.

Kilka godzin później laboratorium potwierdziło diagnozę.

Każda stacja radiowa i telewizyjna oraz wszystkie gazety zaczęły pisać tylko i wyłącznie o ataku bioterrorystycznym, podczas którego wykorzystano bakterie cholery. W ciągu dwudziestu czterech godzin pojawiły się pierwsze ofiary śmiertelne - na razie tylko czterdzieści sześć zgonów - lecz to wystarczyło do wywołania ogólnej paniki. Wszystkie kanały transmitowały wystąpienie premiera, który apelował o zachowanie spokoju i zapewniał, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli, wbrew temu, co ludzie piszą w Internecie. Cholera jest chorobą uleczalną i można się przed nią zabezpieczyć. Wkrótce rząd otrzyma zapasy szczepionek i rozpocznie akcję szczepień. Szczegóły będą na bieżąco ogłaszane przez radio i telewizję. Zanim to nastąpi, należy zachować podstawowe środki ostrożności. Woda pitna musi zostać przegotowana przed użyciem. Należy zgłaszać wszystkie podejrzane działania i osoby, szczególnie zauważone w pobliżu ujęć wody i infrastruktury wodociągowej.

- Wiemy już, co się stało? - zapytała Alice Spiers szefa policji w czasie spotkania sztabu kryzysowego drugiego dnia po ataku.

- Tak, i to głównie dzięki pani domysłowi na temat skażonej wody. Dwa dni temu w Inchmarin Court pojawiła się dwójka młodych mężczyzn o wschodnich rysach twarzy. Przyjechali furgonetką oznaczoną logo wodociągów, rzekomo w sprawie zgłaszanych kłopotów z ciśnieniem. Nie muszę chyba dodawać, że nie było takich zgłoszeń. Poprosili o wskazanie drogi do hydroforowni budynku i tam musieli skazić zbiorniki. Potem to samo powtórzyli w pozostałych punktowcach. W innych miastach atak przebiegł według podobnego scenariusza. We wszystkich przypadkach terroryści wybrali wieżowce z niezależnymi zbiornikami, z których zasilane są następnie zbiorniki na wyższych piętrach. W ten sposób za jednym zamachem skazili wodę w całym budynku.

- Obawiam się, że powinniśmy się spodziewać kolejnych ataków - stwierdziła Lynn James.

Policjant wzruszył ramionami.

- Tak, bierzemy to pod uwagę.

- Raport któregoś z lekarzy zaangażowanych w akcję byłby bardzo pomocny - zaproponował dyrektor urzędu miejskiego.

Wśród pozostałych rozległy się pomruki aprobaty.

- Od bardzo dawna nie było w naszym kraju zachorowań na cholere - odparła Alice Spiers. - Podczas całej swojej kariery ani razu nie leczyłam żadnego przypadku tej choroby. Mamy szczęście, że pracuje z nami lekarz z Azji, który błyskawicznie rozpoznał objawy. Cholera pojawia się co pewien czas w niektórych częściach Indii i na terenach dotkniętych klęskami żywiołowymi - powodzie, trzęsienia ziemi czy jakiegokolwiek inne katastrofy

skutkujące pogorszeniem się warunków higienicznych - czyli zniszczenie wodociągów, rozlane szamba i tak dalej. Brudna woda jest głównym nośnikiem bakterii cholery, lecz nie jedynym, bo choroba przenosi się na różne sposoby. Jak już mówiłam, sprzyjają temu złe warunki higieniczne. Chorobę wywołuje bakteria przecinkowca cholery, *vibrio cholerae*. To bardzo ostre i niebezpieczne zakażenie układu pokarmowego prowadzące do szybkiego odwodnienia, szoku i w końcu do śmierci, jeśli w porę nie rozpocznie się leczenia. Najważniejsze jest uzupełnianie traconych płynów. Pacjenci mogą tracić do piętnastu litrów w ciągu doby.

- Premier powiedział, że cholera jest uleczalna. Czy chodzi o antybiotyki?

- Tak... - odpowiedziała Alice Spiers i się zawahała. -Ale to jeszcze za wcześnie, by wiedzieć...

- Słucham?

- Cholerę można leczyć wieloma antybiotykami... Tylko że w tym przypadku nie mamy pewności, z czym przyszło nam walczyć. Bakterie mogły zostać... w jakiś sposób zmienione.

- Inżynieria genetyczna - potwierdził naczelny lekarz szpitala.

- Tak, przy ataku terrorystycznym trzeba brać to pod uwagę. Będziemy musieli poczekać na pełne wyniki testów. Nasze laboratorium nie było przygotowane do zajmowania się przecinkowcem cholery, więc próbki trafiły do Colindale.

Możliwe, że będziemy musieli poczekać dzień lub dwa, zanim się dowiemy, co nas zaatakowało. Na razie trzeba się skupić na odizolowaniu

zarażonych i nawadnianiu ich. Taka pomoc ratuje życie. Planujemy sprawdzić różnorodne leki pod kątem optymalnego działania.

- Zgodnie z instrukcjami odcięliśmy skażony teren kordonem policyjnym - potwierdził szef policji. - To bardzo trudne i frustrujące dla rodzin zarażonych i ich znajomych, lecz, jak zrozumiałem, niezbędne w celu ograniczenia zasięgu?

- Tak jest.

- Problem polega na tym, że nie wszyscy się zarazili. Moi ludzie donoszą o przypadkach całkowicie zdrowych mieszkańców, którzy nalegają, żeby ich wypuścić. Trochę ich rozumiem, bo dziwnie jest tkwić pośrodku epidemii.

- Sądzę, że należy im uniemożliwić przekroczenie kordonu sanitarnego - zaprotestowała Alice Spiers. - Jeszcze nie teraz. Musimy najpierw dowiedzieć się, z czym walczymy. Sam fakt, że mieszkają w tych budynkach, sprawia, że są w grupie najwyższego ryzyka. Mimo że wydają się zdrowi, mogą roznosić zarazki.

- Możliwe też, że dopiero się zarażą, dlatego że nie chcemy ich wypuścić.

Spiers uśmiechnęła się krzywo, słysząc ten argument.

- Takie sytuacje mają swoje ciemne strony - przyznała. - Optymalnie nasza sytuacja powinna wyglądać tak, że wszyscy chorzy zostaliby odizolowani w zamkniętych oddziałach szpitalnych, a opiekę nad nimi przejąłby przeszkolony personel. Niestety, nie mamy takich możliwości. Na razie musimy robić wszystko, co możemy, by izolować chorych i nie dopuścić do rozprzestrzeniania się choroby.

- Telefony w gabinetach i numery alarmowe są przeciążone przez ludzi, którym się wydaje, że są chorzy - powiedziała Lynn James.

- Nie można ich winić. To przerażająca sytuacja -stwierdził policjant. - Jak wygląda sprawa bezpieczeństwa pielęgniarek i lekarzy zajmujących się chorymi?

- W przychodniach chorób tropikalnych mieliśmy niewielkie zapasy szczepionki przeciwko cholercie. Dostały je osoby pracujące z chorymi. Na razie wyczerpaliśmy wszystko, czym dysponowaliśmy, i nie wiemy, kiedy sytuacja się poprawi. Zapotrzebowanie zdecydowanie przekracza podaż, ale domyślam się, że rząd robi, co w jego mocy.

- Naszym największym problemem będzie druga fala zachorowań - dodała Alice Spiers. - W dniu, kiedy skażone zostały zbiorniki, w wieżowcach musiały przebywać też osoby, które później opuściły budynki. Jeśli zostały zarażone, będą zarażały dalej rodzinę, przyjaciół i postronnych. Nasze zespoły są gotowe na taką okoliczność.

- Problemem będzie odróżnienie prawdziwych zachorowań od wymyślonych - dodała James Lynn.

- Tutaj możemy chyba liczyć na rozsądek i doświadczenie operatorów linii alarmowych. - Spiers spojrzała na koleżankę. - Przypadek cholery jest łatwy do odróżnienia od objawów, jakie ma ktoś, komu się tylko wydaje, że jest chory. Wyznacznikiem niech będzie poziom niepokoju w głosie dzwoniących.

- Coś mi mówi, że będzie gorzej, zanim zrobi się lepiej. - Szef policji pokręcił głową. - Co za bałagan!

- Cóż, to nasz bałagan, panie i panowie - stwierdził dyrektor urzędu miejskiego. - Proponuję zakasać rękawy i brać się do sprzątanania.

Mamy już pewność. Potwierdziło się, że nasz kraj został zaatakowany bakteriami cholery - premier przemawiał w czasie drugiego w ostatnich dniach zebrania sztabu kryzysowego. -Atakiem zostały dotknięte cztery miasta na terenie kraju, lecz nie wolno nam zakładać, że na tym się zakończy. Wszystkie akty terroru miały podobny scenariusz. Do ataku za każdym dochodziło w wieżowcach. Tam pojawiły się pierwsze przypadki choroby. Dziś niestety mamy coraz więcej informacji o chorych spoza zaatakowanych budynków.

- Chciałbym zwrócić uwagę, że ten sam raport wskazuje jednoznacznie na powiązania nowych zachorowań z zaatakowanymi wieżowcami. Zdecydowana większość nowych przypadków to dostawcy jedzenia na wynos, pracownicy budowlani i sprzedawcy. Dodatkowo w Manchesterze zaraził się pracownik socjalny, a w Liverpoolu pielęgniarka.

- Czy ktoś przyznał się do tych zamachów? - zapytał Steven.

- Islamska organizacja fundamentalistyczna o nazwie Synowie Afgańskich Męczenników.

- Dysponujemy jakimiś informacjami o tym ugrupowaniu?

- Nie, pierwszy raz się pojawiło.

- Co wiemy na temat samej bakterii cholery?

- Na razie czekamy na wyniki testów.

- Zatem nie mamy pojęcia, czy nie jest to odmiana zmodyfikowana genetycznie?

- Boże, mam nadzieję, że nie! - sapnęła minister spraw wewnętrznych.

Komendant policji metropolitalnej zadał pytanie, które cisnęło się na usta wszystkim obecnym, niemającym medycznego wykształcenia.

- Zakładając, że ktoś grzebał w genach tej bakterii, czego możemy się spodziewać?

- Odporności na antybiotyki i w rezultacie nieuleczalności - wyjaśnił mikrobiolog z Ministerstwa Zdrowia. -Wzmocnienie produkowanej przez przecinkowce entero-toksyny podniosłoby śmiertelność wśród chorych.

- Enteroczego?

- Enterotoksyny. To substancja produkowana przez bakterie przecinkowca cholery. Jej działanie przyczynia się do gwałtownego odwodnienia, co skutkuje szokiem i śmiercią.

- Załóżmy więc, że ktoś zrobił coś takiego. Czy to oznacza, że wszyscy zarażeni umrą?

- Jeśli antybiotyki nie poskutkują, będzie to poważnym utrudnieniem, jednak na pewno nie dojdzie do masowych zgonów wszystkich chorych. Przy tej chorobie zabija odwodnienie. Płyny podane na czas ratują życie.

- Zatem trzeba nakłaniać ofiary do picia - odezwał się wiceminister MSW i uśmiechnął się z triumfem, jakby rozwiązał krzyżówkę.

Mikrobiolog się uśmiechnął.

- Gdyby to było takie proste... Ludzie chorzy na cholere z reguly sa zbyt slabi, zeby samodzielnie pic. Utrata plynow musi byc rekompensowana dozynnie.

- A do tego konieczny jest wyspecjalizowany personel - dokonczył powoli minister spraw wewnetrznych. -Czyli nie zapobiegniemy epidemii, bo mamy za malo pielęgniarek i lekarzy... Wciaż przed oczyma staje mi obraz ludzi umierających gdzie popadnie i leżących na ulicach we własnych ekskrementach.

- To najbardziej pesymistyczny scenariusz, panie ministrze.

- Zrobimy wszystko, zeby go uniknąć - zapowiedział premier. - Jeśli mamy zginąć, umrzemy, walcząc. Dość już tego negatywnego nastawienia. Przygotujmy plan działania. Na początek kwestie medyczne.

Nowy minister zdrowia urzędujący dopiero od kilku tygodni nie zgłębił jeszcze tematu na tyle, by mógł się wypowiedzieć. Uciekł się więc po pomoc do swojego podwładnego, Normana Trávisa.

- Będziemy utrzymywali kordon sanitarny wokół źródeł epidemii - zapowiedział Travis. - Wypróbujemy różnorodne antybiotyki, by stwierdzić, które najlepiej działają, a najważniejszym z naszych zadań będzie podawanie chorym płynów, by nie umierali z odwodnienia. Jak największa liczba ludności powinna zostać zaszczepiona przeciwko cholere.

- Mamy dość szczepionek? - zapytał Steven.

- Merryman nie miał wystarczająco dużo czasu, by osiągnąć pełną moc produkcyjną. Na dodatek cholera nigdy nie była uważana przez nikogo za atrakcyjną broń, jeśli chodzi o ataki. Szczęście w nieszczęściu, nie jest tak

źle. Co prawda przychodnie chorób tropikalnych mają bardzo ograniczone ilości preparatu, ale okazało się, że jedna z rodzimych firm farmaceutycznych sprzedaje tę szczepionkę do krajów Trzeciego Świata i dysponuje dużymi zapasami specyfiku. Przy niewielkim nakładzie pracy można dostosować lek do naszych potrzeb i zaszczepić grupy ryzyka. Tymczasem Merryman będzie pracował nad swoją szczepionką, którą, miejmy nadzieję, dostarczy na rynek, zanim będzie za późno, by uodpornić resztę społeczeństwa. To dla nich wielkie wyzwanie, ale jestem przekonany, że mu sprostają.

- Co z dystrybucją? - zapytał premier.

- Zamierzamy zrezygnować z przekazywania szczepionek do gabinetów, jak to było w przypadku świńskiej grypy - ciągnął Travis. - To rozwiązanie nie do końca się sprawdziło. Lepiej wykorzystać centralne punkty szczepień urządzone w wielkich halach i tam dawać ludziom zastrzyki.

- Skąd personel do obsługi tych punktów?

- Poprosimy o pomoc studentów ostatnich lat medycyny. Oczywiście pod odpowiednim nadzorem.

- Nie jestem pewien co do prawnych reperkusji takiego działania - wtrącił się ktoś z MSW.

- Ja również - zgodził się premier. - Ale w obecnej sytuacji mam to gdzieś. Zostaliśmy zaatakowani. Trzeba działać.

Steven uśmiechnął się z zadowoleniem. Wicepremier spojrzął na szefa wywiadu, który na razie milczał.

- Ma pan jakieś informacje na temat sprawców? Szef MI5 był wyraźnie zakłopotany wywołaniem do tablicy.

- W każdym z tych przypadków ataku dokonała dwójka młodych mężczyzn o wschodnich rysach. Przyjechali furgonetkami z fałszywym logo dostawców wody.

- Zatem mamy ośmiu sprawców. Rysopisy?

- Niestety, brak.

Wicepremier spojrzał na szefa wywiadu wojskowego.

- Wciąż nie ma przesłanek, by sądzić, że atak przyszedł z za granicy. Jesteśmy przekonani, że terroryści to mieszkańcy naszego kraju.

- Może to zadziała na naszą korzyść - odpowiedział Steven. - Zamachowcy prawdopodobnie są jeszcze młodzi, a to oznacza, że mają tu rodziny. Rodzice mogą zacząć podejrzewać, że to ich dzieci...

- Słuszna uwaga - zgodził się premier i popatrzył na szefów MI5 i MI6.

- Dajemy z siebie wszystko - zastrzegł się szef wywiadu cywilnego.

- Moi ludzie też - zapewnił głównodowodzący wywiadem wojskowym. - Badamy każdą pogłoskę i plotkę zasłyszaną w społecznościach o korzeniach azjatyckich.

- Wspaniale - orzekł premier. - Błyskawiczne aresztowanie odpowiedzialnych za zamachy podniosłoby morale społeczeństwa, szczególnie jeśli rodzina i znajomi zdecydowałiby się potępić czyny sprawców.

- Prowadzimy już rozmowy z przedstawicielami tych społeczności - potwierdził minister spraw wewnętrznych.

- Zatem pozostaje nam tylko utrzymywanie porządku - orzekł premier. - Żeby nie przedłużać: jeśli policja będzie potrzebowała dodatkowych środków, oczywiście je dostanie. Oczekiwaliśmy, że będą stosowane z umiarem i dyskretnie, jednak nie chcemy anarchii na ulicach.

- Nie wydaje mi się, żeby ludzie zarażeni cholerą stanowili zagrożenie usprawiedliwiające takie kroki - włączył się do rozmowy ponownie nowy wiceminister spraw wewnętrznych. Postanowił zaistnieć, choć brak inteligencji uniemożliwił mu wybranie właściwego sposobu.

- W tym wypadku nie chodzi przecież o chorych - wycedził Steven przez zęby. - Chodzi o źródło zakażenia.

Przyjęliśmy politykę ograniczania migracji bakterii, a część obywateli może nie być zachwycona takim pomysłem, bo instynkt będzie im podpowiadał, że muszą się wyrwać z kordonu sanitarnego. Jeśli im na to pozwolimy, epidemia rozleje się po całym kraju. Trzeba przeciwdziałać takim sytuacjom. To trudne zadanie.

- Co gorsza, tłum może się wymknąć spod kontroli, jeśli choroba zacznie się rozprzestrzeniać - dodał Travis. - Samej policji nie wystarczy.

- Wtedy skorzystajmy z pomocy wojska - zaproponował ktoś z sali.

- W tym kraju to nie takie łatwe - wyjaśnił premier. - Pomysł, żeby nasze wojsko stanęło naprzeciw obywateli, przepełnia mnie przerażeniem. Jest to do zaakceptowania tylko w wyjątkowych warunkach.

- Myślę, że ogólnokrajowa epidemia cholery spełniała kryteria wyjątkowych warunków - odezwał się naczelny krajowy konsultant medyczny.

- W takim razie trzeba się modlić, żeby do tego nie doszło.

Steven poczuł pustkę w żołądku, kiedy usłyszał, że wielu z zebranych w odpowiedzi na te słowa szepnęło: „Amen”.

- Ciekawe czasy - odezwał się ktoś za jego plecami, kiedy opuszczał kancelarię premiera. Obejrzał się i zobaczył Normana Trávisa. - Chyba nikt nas sobie nie przedstawił -dodał mężczyzna i uścisnęli sobie dłonie.

- Wolałbym w takim razie nudne czasy - odparł Steven. - Całe szczęście, że wy, z Ministerstwa Zdrowia, jesteście przygotowani.

- Miło, że pan tak uważa, ale do tej pory mieliśmy po prostu szczęście. Inaczej tego nie można nazwać. To niemal cud, że akurat jedna z naszych krajowych firm dysponowała dużą liczbą szczepionek. Mam nadzieję, że kraje Trzeciego Świata to zrozumieją.

- Ucieszę się, jeśli bez tych szczepionek wciąż będzie komu narzekać, że jednak nie podzielają naszego zdania. -Steven pokręcił głową.

- Mówi pan jak zawodowy pesymista.

- Błąd, jestem realistą - odparł Dunbar. - Epidemia cholery jest praktycznie niemożliwa do opanowania, jeśli wybucha gdzieś w sposób naturalny. Ale kiedy ktoś celowo zatrzuwa zbiorniki z wodą i możliwe, że używa bakterii tak zmodyfikowanej, żeby była jeszcze bardziej zabójcza...

- Rozumiem pańskie stanowisko - zgodził się Travis i otworzył drzwi. - Jutro powinniśmy dostać wyniki testów. Wtedy będziemy mieli jasność w tej kwestii.

Steven wezwał taksówkę i pojechał do Johna Macmillana, by przekazać mu nowiny. Macmillan był wyraźnie zmęczony. Odchylił głowę i odpoczywał, słuchając przyjaciela z zamkniętymi oczyma.

- John, czujesz się dzisiaj na siłach? - zapytał Steven. - Jesteś chyba wyczerpany.

Macmillan zmusił się do uśmiechu i znów zamknął oczy.

- Może stawiając czoło naciskom zawistnego losu, wymykałem się mu przez tyle lat, aż w końcu mnie dopadł - powiedział smutno.

- Jeszcze trochę musisz wytrzymać. Niezależnie, czy to szlachetna, czy pełna rozpacz postawa. Będę potrzebował twojego wsparcia we wszystkim, co się ma wydarzyć.

Macmillan odwrócił głowę, by spojrzeć prosto na Stevena, jakby dopiero teraz zauważył coś, czego wcześniej nie widział.

- Dobrze - zgodził się szeptem. - A tak swoją drogą to pamiętam, że to ja cię ostatnimi czasy pouczałem o obowiązku wobec...

- Cholera, masz rację.

- Dobra, mów dalej.

Kiedy skończył, John siedział bez ruchu, wciąż z zamkniętymi oczyma, lecz innym wyrazem twarzy - drgający co pewien czas mięsień policzka oznaczał, że myśli, a nie przysypia.

- Ile zgonów? - zapytał.

- Pięćdziesiąt cztery. Stan na dzisiaj rano.

- Większość to pewnie osoby w podeszłym wieku lub dzieci, często z chorobami upośledzającymi układ odpornościowy: na lekach sterydowych albo immunodepresyjnych, po przeszczepach na przykład. Mam rację?

- Nie sprawdzałem dokładnie danych. Jean pewnie będzie je miała, jak wrócę do biura.

Macmillan dalej myślał na głos.

- Pięćdziesiąt cztery... pięćdziesiąt cztery z... Wiesz co, idę o zakład, że gen kontrolujący wydzielanie entero-toksyny nie został zmodyfikowany, bo byłoby znacznie więcej zgonów.

- Pięćdziesiąt cztery to i tak dużo.

- Musisz myśleć innymi kategoriami. Nie pracujesz w brukowcu i nie możesz dorzucać do pieca rozbuchanych emocji.

Steven poczuł się skarcony, ale wiedział, że zasłużył.

- Okres wylęgania był trochę za krótki. Spodziewałbym się dłuższego - dodał sir John.

- Mówisz, jakbyś był specjalistą od cholery. Przytaknął.

- W młodości pracowałem dla rządu na Bliskim Wschodzie. To były wczesne lata siedemdziesiąte. Widziałem koniec epidemii cholery, która wybuchła w 1961 roku w Indonezji i przetoczyła się przez kilka

kontynentów. Paskudne choróbsko. Zmienia wszystko w szambo. Jeśli się u nas rozprzestrzeni... Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

- Jak się czuje sir John? - zapytała Jean, kiedy Steven wrócił do biura.

- Nieco zmęczony, ale ostry jak brzytwa - odparł. -Gdy zaczynał służbę, na własne oczy widział spustoszenie, które spowodowała epidemia cholery, więc jego pomoc będzie nieoceniona. Pytał o liczbę zgonów. Masz już dane?

- Tak, leżą na twoim biurku. Jeszcze jedna sprawa. Dzwonił Lukas Neubauer. Prosił, żebyś oddzwonił.

Lukas Neubauer był dyrektorem wydziału biologii w laboratoriach Lundborg International, prywatnej firmie analitycznej, z którą Inspektorat Naukowo-Medyczny współpracował przy różnych okazjach. Początek ich znajomości datował się na wiele lat wstecz. Steven lubił tego szanowanego i uznanego naukowca, tak samo zresztą jak innych specjalistów wykonujących swoją pracę na ponadprzeciętnym poziomie. Lukas już wiele razy udowodnił, że nie ma sobie równych.

- Cześć, jak leci?

- Pomyślałem, że może chciałbyś kilka prywatnych informacji na temat szczepu cholery, którego użyto do ataku - stwierdził Lukas.

- Ależ oczywiście! Skąd masz te dane?

- Mam znajomego w Colindale.

- Colindale? - Steven aż krzyknął ze zdziwienia. - Myślałem, że za analizy będzie odpowiedzialny Porton! - Porton Down był państwowym ośrodkiem badań mikrobiologicznych.

- W Colindale mają ekspertów od spraw jelitowych, to chyba przeważało - wyjaśnił Lukas. Mówiąc to, miał na myśli Agencję Ochrony Zdrowia ds. Infekcji, składającą się z siedemnastu referencyjnych i wspomagających laboratoriów usytuowanych w północnym Londynie. - Ale właściwie nie wiem, może Porton też dostał próbki? W każdym razie najważniejsza wiadomość jest taka, że bakteria jest podatna na standardowe leczenie. Nikt przy niej nie majstrował, żeby ją uodpornić na antybiotyki. Uważają, że w ogóle nie była modyfikowana genetycznie.

Steven odetchnął z ulgą.

- To pierwsza dobra informacja od kilku dni. Przyjrzał się liście ofiar śmiertelnych. Macmillan miał rację - zginęli najbardziej podatni i najsłabsi, ludzie powyżej sześćdziesiątego roku życia i kilkoro dzieci poniżej dwunastu miesięcy, które nie wytrzymały odwodnienia. Do tego doszło dwanaście osób zażywających leki sterydowe i jedna po przeszczepie nerki na immunodepresantach, zapobiegających odrzuceniu nowego organu.

Wrócił do mieszkania około ósmej trzydzieści, po kolacji w lokalu, który niemal stał się jego ulubioną chińską restauracją. Zawsze był tam ciepło witany przez właścicielkę, Chen Feng, i informowany przy okazji o samopoczuciu całej jej rodziny. Wiedziała, że Steven jest lekarzem - zwróciła na to uwagę za pierwszym razem, oglądając kartę kredytową, którą płacił, chociaż nie miała pojęcia, czym się zajmował. Mimo to uznała, że nie zawadzi zapytać o poradę przy każdej okazji, kiedy go widziała. Dziś,

co zrozumiałe, interesowało ją, jak uniknąć zarażenia cholera. Steven, który wcześniej dzwonił do córki, żeby przeprosić ją, że od tak dawna nie przyjechał w odwiedziny, musiał przy okazji odpowiedzieć na podobną serię pytań ze strony swojej szwagierki, Sue. Starał się ją uspokoić, tłumacząc, że mieszkanie z dala od wielkich miast, a przede wszystkim z dala od jedyne miasta w Szkocji, które zostało zaatakowane, jest najlepszą ochroną. Chen Feng nie mógł tego powtórzyć, bo jej rodzina mieszkała w Londynie. Zastanawiał się, jak ją uspokoić, i w końcu wyjaśnił, że przecież ona i reszta jej krewnych od lat pracowali w restauracji, więc znali i przestrzegali ściśle zasad higieny, a to podstawowy sposób obrony przed zarażeniem.

Z mieszkania zadzwonił do Tally, żeby pogadać z nią o ostatnich dniach. Zaczął od wiadomości przekazanej przez Lukasa.

- Dzięki Bogu - westchnęła. - Wiesz, jestem szczerze zaskoczona. Nie wiem dlaczego, ale byłam pewna, że ktoś majstrował przy tej bakterii.

- Zasłużyliśmy na trochę spokoju - zaprotestował Steven. - Bóg jeden wie, że nawet czysta cholera jest wystarczająco przerażająca.

- Nasz szpital został poproszony o przygotowanie listy personelu medycznego, który na ochotnika zajmie się obsługą lokalnego punktu masowych szczepień.

- Zgłosiłaś się?

- Tak. Słyszałam plotki, że będą prosić o pomoc studentów medycyny, jeśli nie zgromadzą wystarczającej liczby lekarzy i pielęgniarek. A raczej nie zbiorą.

- To nie plotka - odparł Steven. - To oficjalne stanowisko.

- Niezły pomysł. Szczepienie nie jest skomplikowane.

- Miejmy nadzieję, że żaden z urzędników nie uzna inaczej.

- Chyba nie sądzisz, że zabronią tego z powodów proceduralnych?

- Nie, nie sądzę. Głupi dowcip.

- Zobaczą cię jeszcze kiedyś?

- Niczego bardziej nie pragnę, ale jutro rano jest kolejne zebranie sztabu kryzysowego. Muszę na nim być.

- Oczywiście - zgodziła się Tally. - Jak Jenny znosi tak długą rozłąkę z ojcem?

- Rozmawiałem z nią trochę wcześniej. Sue świetnie się nią zajmuje i tłumaczy, dlaczego nie mogłem przyjechać.

- Może powinna dostać rentę jak po żołnierzach na misjach... - powiedziała Tally i natychmiast się zreflektowała. - Cholera, przepraszam. Nie powinnam mówić takich głupot, wybacz. Czasem palnę coś szybciej, niż pomyślę. Wiem, że musisz tam być...

- Jesteś zdenerwowana, co?

- Czytałam o cholera... wszyscy słuchamy wiadomości. To przerażające. Strasznie się o ciebie boję. Jak ktoś mógł się do tego posunąć?

- Chyba nie zaskoczy mnie już nic, co człowiek potrafi zrobić drugiemu człowiekowi.

- To okropne - szepnęła. - Musiałeś widzieć straszne rzeczy...

- Po których chciałem zamknąć się w jakiejś pustelni i zerwać kontakty ze światem? Zgadza się. Nawet spróbowałem tego kilka razy. Nie pomogło. Właściwą rzeczą jest robienie tego, w czym jest się dobrym, żeby pomóc innym. Każdy powinien choć trochę naprawiać świat.

- Chyba to zły moment, żeby ci przypomnieć, że nie głosowałeś?

- Zły, bardzo zły. Uparłaś się, żeby mnie zdenerwować?

- Nie, próbuję sprawić, żebyś przestał gadać patetyczne bzdury.

- Masz rację. Przepraszam.

- Ja też. To taki mechanizm obronny. Staram się przekonać siebie, że jestem dość twarda, by znieść widok oddziału pełnego dzieci umierających na cholere.

- Musisz pomyśleć o czymś innym. Potrzebuję twojej pomocy. Leicester znalazło się na liście miast, w których Grupa Schillera chciała wprowadzić swój plan opieki medycznej. Mogłabyś sprawdzić, jak zaawansowane były prace nad tym? Wszystko miało ruszyć już jesienią, więc pewnie zaczęli przygotowania.

- Popytam, zobaczę, czy ktoś coś słyszał. Po co ci to?

- Chcę się po prostu upewnić, że ten plan nigdy nie wejdzie w życie. Sprawdzam, czy na pewno wszyscy jego twórcy zginęli w wybuchu w Paryżu.

- Racja, przecież mówiłeś, że ktoś tę bombę musiał podłożyć - zgodziła się Tally. - Ale chyba nikt nie będzie tego planował, kiedy zmagamy się z epidemią cholery, prawda?

- Pewnie nie - zgodził się. - Ale kilka pytań tu i tam nie zaszkodzi.

Anwar Khan i Muhammad Patel cieszyli się swoimi dokonaniem tak samo, jak szóstka pozostałych zamachowców. Właśnie po raz pierwszy usłyszeli o sukcesie akcji, bo w ustronnym domku nie było ani radia, ani telewizji, a już tym bardziej gazet. Spędzili w nim dwie nerwowe noce i dwa dni, czekając cierpliwie, aż ktoś przyjedzie i przekaże im bilety i instrukcje, jak opuścić kraj.

- Bracia, wasze dzieło okazało się takim sukcesem, że postanowiliśmy zmienić plany.

Khanowi zrobiło się zimno. Chciał walczyć o islam, ale teraz przestraszył się, że zostanie poproszony, by przywdział pas z materiałami wybuchowymi i został męczennikiem. Wiedział oczywiście, że czeka go za to nagroda w raju, ale...

- Synowie Męczenników proszą was o przeprowadzenie kolejnego ataku, zanim wyjedziecie do Pakistanu, gdzie powitają was jak prawdziwych bohaterów.

Khan spojrzał na Patela. W jego oczach dostrzegł ulgę; pewnie pomyśleli o tym samym.

- Wytypowaliśmy cztery kolejne cele w innych miastach, by wzbudzić strach i podsycić panikę, która tym razem wymknie się spod kontroli, doprowadzając rząd do upadku. Kiedy cały kraj pogrąży się w chaosie, na wasze głowy spłynie chwała, która trwać będzie po wsze czasy.

- Czy wtedy będziemy mogli dołączyć do naszych braci?

- Zostaniecie przewiezieni do obozów szkoleniowych, by walczyć z najeźdźcą i wyzwolić nasz kraj od władzy niewiernych. Po waszej akcji tutaj Brytyjczycy zaczną uciekać w przerażeniu. Wycofają wojska z naszej ojczyzny. Amerykanie zostaną sami, jak wcześniej Rosjanie. Wtedy już szybko wyzwolimy Afganistan.

- W których miastach mamy przeprowadzić ataki? -zapytał Khan.

- Dowiedcie się we właściwym czasie. Tymczasem przywiozłem wam zapasy. Bądźcie cierpliwi, bracia.

Rząd odrobił lekcje i wyciągnął wnioski ze sposobu, w jaki radzono sobie ze świńską grypą, kiedy eksperci na wyścigi podawali liczby wzięte z kapelusza. Specjaliści, którzy znaleźli się wtedy na pierwszej linii ognia, poczuli się w obowiązku udowodnić swoją przydatność. I tak zaczęła się licytacja na najbardziej pesymistyczną wersję i najwyższą liczbę potencjalnych ofiar. Kiedy dowiedziała się o tym opinia publiczna, politycy nie mieli innego wyjścia, jak zadziałać odpowiednio do zagrożenia.

Tym razem zwołano specjalną komisję składającą się z czterech specjalistów, odpowiedzialną za przekazywane prasie informacji na temat epidemii i sposobów jej przeciwdziałania. Żaden z jej członków nie budził kontrowersji. W skład komitetu weszli: naczelny konsultant medyczny, doktor Oliver Clunes, Norman Travis z Ministerstwa Zdrowia, Lydia Thomas, nowa wiceminister spraw wewnętrznych, oraz zastępca komendanta naczelnego policji, Stella Mornington z policji w Manchesterze. Codziennie o siódmej wieczorem zbierali się w centrum prasowym i wygłaszali przygotowane wcześniej oświadczenie oraz odpowiadali na pytania.

Już na samym początku uzgodniono, że choć ochrona zdrowia należała do zadań, którymi rząd Szkocji w normalnych warunkach powinien się zająć samodzielnie, obecna sytuacja stała się bardziej kwestią obronności kraju i stąd jej rozwiązanie pozostało w rękach rządu w Londynie.

Pierwszy raport przygotowany przez komitet informacyjny rządu przedstawił podjęte kroki i zapowiedział akcję masowych szczepień, która miała ruszyć w najbliższy poniedziałek. Naczelnny konsultant medyczny powiedział krótko o tym, czym jest cholera i jaką drogą się przenosi. Był nieco spięty, ale przedstawił wszystko spokojnie i akademicko. A potem oddał głos Normanowi Travisowi, który przed kamerą czuł się znacznie swobodniej. Urzędnik poinformował o środkach zapobiegawczych i zrobił to w sposób wręcz przyjazny. Najbardziej narażeni na zakażenie i najsłabsi zostaną zaszczepieni na samym początku. Wszystkie dzieci poniżej drugiego roku życia powinny jak najszybciej trafić do przychodni, gdzie lekarze pierwszego kontaktu podadzą im preparat zabrany z ośrodków leczenia chorób tropikalnych i zapasów wojskowych. Osoby powyżej sześćdziesiątego roku życia i z osłabionym układem odpornościowym powinny się udać do jednego z centrów akcji szczepień masowych, które zostały zorganizowane przez każdy urząd miejski w całym Zjednoczonym Królestwie. Na początku szczepionki będą pochodzić z zapasów, które miały trafić do krajów Trzeciego Świata. Później pojawią się nowe partie preparatu, przygotowane już na zamówienie rządu. Wtedy do centrów szczepień powinna się udać reszta społeczeństwa. Dane na temat lokalizacji centrów pojawią się w lokalnej prasie, stacjach radiowych i w telewizji.

Podkreślono także, że do centrów szczepień mogą udawać się jedynie osoby, które są zdrowe. Każdy, kto podejrzewa u siebie początki cholery lub

był narażony na kontakt z chorym, powinien skontaktować się ze służbami ratunkowymi telefonicznie, z czym nie będzie już problemów.

Stella Mornington - elegancka kobieta, po której można się było spodziewać zdrowego podejścia do problemu i która nie próbowała celebrować swojej władzy, jak wielu oficjeli w wywiadach dla prasy - zaapelowała o spokój i poprosiła, by wszyscy skupili się na swoich codziennych zajęciach na tyle, na ile to możliwe. Podkreśliła jednocześnie, że kto nie podporządkuje się zaleceniom policji na terenach zakażonych, musi liczyć się ze zdecydowaną reakcją, gdyż nie można pozwolić, by narażał życie i zdrowie innych.

Na koniec przemawiała Lydia Thomas, druga kobieta w zespole. W jej przypadku naturalny urok łagodził sztywność, z jaką obnosiły się wyższe sfery, do których należała - i całe szczęście, bo byłaby to bariera nie do pokonania. Wiceminister spraw wewnętrznych poinformowała o numerach telefonicznych, pod które można było dzwonić w poszukiwaniu pomocy, i wyjaśniła, jak z nich korzystać.

Edynburg, wtorek, i czerwca 2010

Nienawidzę kusić losu - powiedział dyrektor urzędu miejskiego w Edynburgu. - Niemniej uważam, że należy nam się uznanie.

Pozostali członkowie miejskiego sztabu kryzysowego nie mogli się nie zgodzić.

- Chyba po prostu mieliśmy wiele szczęścia - stwierdziła Alice Spiers. - Udało nam się powstrzymać rozprzestrzenianie się choroby. Poza miejscem

skażenia wody zanotowano jedynie szesnaście przypadków. W ostatnich trzech dniach nikt nie zmarł i rozpoczęły się szczepienia dla najmłodszych.

- Centra szczepień zostaną otwarte zgodnie z harmonogramem na początku przyszłego tygodnia - dodał dyrektor urzędu miejskiego. - W całym mieście wyznaczono osiem sal sportowych. We wszystkich będą pracowały ochotnicze zespoły medyczne wspierane przez studentów medycyny. Szczepionki powinny dotrzeć w niedzielę.

- Praktycznie nie mieliśmy problemów z mieszkańcami -dodał szef lokalnej policji. Jak inni był bardzo zadowolony z siebie. - Staraliśmy się, by ograniczenia przemieszczania się obywateli były możliwie jak najmniej dotkliwe. Wydaje mi się, że decyzja o niezamykaniu obiektów użyteczności publicznej była słuszna.

- Telefony w centrum pomocy rozgrzewały się do czerwoności - włączyła się do rozmowy Lynn James. - Ale byliśmy na to przygotowani. Ludzie bardzo się boją. Uspokajamy, że władze działają skutecznie.

- Trzeba uważać, to może być cisza przed burzą -ostrzegła Alice Spiers.
- Nie chcę zostać czarnowidzem, ale jeśli przygotowują kolejny atak...

- Wtedy rozpęta się piekło - zgodził się szef policji. -Sytuacja zmieni się w ułamku minuty. W całym kraju wybuchnie panika.

- Szpitale i służby ratunkowe będą przeciążone - dodała Spiers. - Na razie dajemy jakoś radę, ale tylko dzięki temu, że powstrzymaliśmy rozprzestrzenianie się choroby do miejsca, gdzie się pojawiła. Policja nie ma jeszcze podejrzanych?

- Niestety, z tego co wiem, to nie. - Szef policji pokręcił głową. - Lecz jeśli wywiad ma rację i terroryści są naszymi rodakami, możemy liczyć na to, że po powrocie do swoich społeczności będą traktowani z ostracyzmem. Możliwe też, że ktoś nam o nich doniesie.

- Mogą też mieć zaplanowaną drugą falę ataków - stwierdził dyrektor urzędu miejskiego, tracąc początkowy optymizm.

- Ale też mogli sami się zarazić i umierają gdzieś na odludziu w swojej kryjówce. - Spiers się uśmiechnęła. - Trzeba mieć trochę wiedzy, żeby obchodzić się z niebezpiecznymi bakteriami. Bez odpowiedniego wykszolenia łatwo stać się pierwszą ofiarą zamachu.

- To byłoby najlepsze zakończenie - stwierdził szef policji.

Dyrektor urzędu uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Powinniśmy liczyć na cud, ale przygotowywać się na najgorsze.

Siedemdziesiąt pięć kilometrów dalej Anwar Khan i Muhammad Patel robili wszystko, żeby przygotowania dyrektora urzędu miejskiego nie poszły na marne. Opuścili Northumberland i udali się do wynajętego przez Waheeda Malika domu. Za trzy dni mieli otrzymać informacje dotyczące kolejnego ataku. Sukces pierwszego zamachu uspokoił ich nerwy i dodał pewności siebie, choć Khan trochę się przestraszył, kiedy usłyszał, co mają zrobić tym razem. Miał duże wątpliwości.

- W Edynburgu chodziło tylko o dostęp do hydrofo-rowni w pojedynczych wieżowcach - protestował. - Ale centralna przepompownia wody to coś zupełnie innego! Oni mają ochronę.

Malik pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Od jakiegoś czasu obserwujemy tę stację. Nie mają ochrony.

- Po tym co się wydarzyło, na pewno...

- Postawili ochroniarzy przed wieżowcami w całym kraju. Tak właśnie działa system bezpieczeństwa w Zjednoczonym Królestwie. Potrafią tylko zapobiegać temu, co już się wydarzyło. W żadnej stacji wodociągowej nie pojawiła się dodatkowa ochrona. Naprawdę. Cały czas mamy je na oku.

- Skoro tak twierdzisz... - Khan cały czas się wahał.

- Odwagi, bracia. Jutro o tej porze zadacie im cios, który zniszczy ich morale i da nam ostateczne zwycięstwo.

Malik rozłożył na stole plan stacji wodociągowej i zaczął omawiać szczegóły.

- Pamiętajcie, że musicie dodać substancję do wody za strefą niebieską, bo tam jest uzdatniana chlorem. - Wskazał palcem, o które miejsce mu chodzi. - Zapamiętajcie dokładnie, gdzie macie trafić. Do środka wejdzicie... tędy.

- Na drzwiach będzie kłódka - zgadł Khan.

- Macie obcęgi, nie zmęczycie się nawet.

- Sprawdziłeś ten płot dookoła? - zapytał Patel, któremu udzieliła się niepewność kolegi. - Na pewno nie ma na nim drutu kolczastego?

- Na pewno. Zwykły płot, metr siedemdziesiąt. Przeskoczycie go bez dotykania.

- W pobliżu stoją domy. Co będzie, jak nas ktoś zobaczy?

- O trzeciej nad ranem wszyscy będą spali, a stacja leży na zboczu wzgórza. Kilkaset metrów przed celem zgasicie silnik i po prostu dotoczycie się na miejsce. Potem poczekać chwilę w ciszy, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma.

Khan i Patel nie mieli więcej pytań. Siedzieli w milczeniu, aż Malik zaproponował, żeby sprawdzili sprzęt.

- O której wyjeżdżamy?

- O dziesiątej wieczorem. Nie chcemy ryzykować zainteresowania sąsiadów. Zatrzymacie się na ustalonym parkingu i poczekać do wyznaczonej godziny. Tam można spotkać jedynie turystów, więc w środku nocy będzie pusto.

Trójka mężczyzn obejrzała wiadomości i raport rządowej komisji o siódmej wieczorem. Nie zrobiły na nich wrażenia słowa Olivera Clunesa, który donosił, że w ciągu ostatniej doby zanotowano jedynie trzydzieści osiem nowych przypadków zachorowań.

- Dostaliśmy już informacje z laboratoriów należących do Colindale, według których bakteria jest podatna na działanie antybiotyków - obwieścił Norman Travis. - Jeszcze nie wyszliśmy na prostą, ale mamy coraz więcej atutów w ręku.

Stella Mornington poinformowała, że nie zanotowano przypadków niezgodnego z prawem zachowania i że w chwilach kryzysowych można liczyć na rozsądek społeczeństwa. Tylko kilka osób zostało aresztowanych za nieprzestrzeganie zaleceń związanych z obecną sytuacją.

Lynn Davis przypomniała numery alarmowe i poprosiła wszystkich o sprawdzenie lokalizacji najbliższej stacji szczepień jeszcze przed poniedziałkiem.

Cała czwórka pożegnała się uśmiechem i program się skończył.

- Jutro nie będą się już uśmiechać - mruknął Malik. - Bracia, jutro niewierni utoną w potokach własnych ekskrementów. Będą błagać rząd, żeby wycofał wojska z naszego kraju i zerwał z imperialistycznymi świniami z Ameryki.

Steven Dunbar oglądał ten sam program w swoim mieszkaniu. Krótco po jego zakończeniu zadzwoniła Tally.

- Co o tym sądzisz?

- Sprawy mają się lepiej, niż myślałem - powiedział.

- Zgadza się - przytaknęła. - Nie mogę uwierzyć, że wszystko poszło tak bezboleśnie... Tak, wiem, że są ofiary, ale przecież mogło się skończyć znacznie, znacznie gorzej.

- Pamiętaj, że policja jeszcze nikogo nie złapała. Trzeba się liczyć z kolejną falą ataków.

- Boże, oszczędź nam tego! - Westchnęła głośno. - To byłoby straszne... Nie, nawet nie chcę myśleć, co by się mogło dzieć.

- To nie myśl - zgodził się Steven. - Zajmiemy się tym, jak się wydarzy.

- Przy okazji popytałam tu i tam, czy ktoś może słyszał o nowym planie opieki albo przynajmniej o zmianach w polityce lekowej, które miałyby wejść w życie pod koniec roku. I wiesz co? Nic. Nikt nic nie wie.

- I tak dziękuję. Poprosiłem Jean, by skontaktowała się z pozostałymi szpitalami z listy, ale skoro u ciebie nic nie wiadomo, to pewnie w pozostałych miejscach będzie podobnie. Możliwe, że bomba pokrzyżowała plany Grupie Schillera.

- Ten wybuch mógł ocalić wielu ludzi.

- Mam nadzieję.

- Pomyślałam sobie rano, że jeśli wszystko będzie zmierzać ku dobremu, moglibyśmy pojechać do Newcastle na wycieczkę, o której wspomniałeś. No wiesz, na groby tych dobrych...? - zapytała Tally.

- Świetny pomysł. Na ostatnim spotkaniu u premiera niewiele było do powiedzenia. Myślę, że niedługo ich dopadną.

- Doskonała wiadomość. Może w takim razie po Newcastle wyskoczylibyśmy do Szkocji i spędzili trochę czasu z Jenny?

- Jeszcze lepszy pomysł.

I naprawdę tak myślał, choć odpowiadał już całkowicie automatycznie, bo jego uwagę przyciągnęły słowa Tally. Nikt w Leicester nie słyszał o nowym planie opieki medycznej, choć lada chwila miał wejść w życie. Nagle wydało mu się to bardzo dziwne. Jeśli Grupa Schillera w lutym planowała wdrożenie planu, a przecież do maja nie było wiadomo, kto

wygra wybory, nie mogli zakładać uruchomienia go jesienią.. . A tak wynikało z przejętych dysków. Tylko czy to miało jeszcze jakieś znaczenie w obecnej sytuacji? Steven uśmiechnął się i przypomniał sobie, jak Lisa kiedyś stwierdziła, że ma umysł, który nawet na bilecie autobusowym znajdzie coś podejrzanego. Potrzebował dużego dzinu z tonikiem, a potem pójdzie spać.

- Dokąd jedziesz? - zapytał Patel. - Przecież parking jest na wprost.

- Chcę minąć stację i się rozejrzeć.

- Po co? Jeszcze ktoś nas zobaczy - denerwował się Patel.

- Wyluzuj, jest piętnaście po dziesiątej. Popatrz, wszędzie pełno aut, a my jedziemy nieoznakowaną furgonetką. Chcę się tylko upewnić, że miał rację z płotem.

- Miał rację, przecież zapewniał, że nie ma żadnego drutu kolczastego.

- Wiem, wiem. - Khan potaknął, spojrzął w lusterko i zwolnił, bo mijali wyjazd ze stacji benzynowej.

- Widzisz? Wszystko w porządku - mruknął Patel. -Ogrodzenie ma niecałe dwa metry. Wracaj na parking.

- W porządku, już... chciałem mieć pewność. Patel spojrzął na niego z ukosa.

- Nie ufasz Waheedowi?

- No co ty, pewnie, że mu ufam.

Ale nie przekonał przyjaciela. Patel znów na niego spojrzał, choć się nie odezwał. Nieplanowany przejazd przed stacją wyprowadził go trochę z równowagi.

Parking na wzgórzu był opustoszały, zgodnie z przewidywaniami Malika. Mimo to Khan zaparkował przodem do krzaków, żeby nikt nie mógł zajrzeć do szoferki. Gdyby zaparkował tyłem, każdy przejeżdżający samochód oświetliłby ich reflektorami. Wyłączył silnik i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś zobaczymy nasze rodziny? - zapytał Patel.

- Mnie wystarczy, że będą ze mnie dumni - odpowiedział Khan.

- Tak, ale...

- Nie ma żadnego ale. Jesteśmy żołnierzami, mamy do wykonania misję. Nie wolno nam się na nic oglądać.

- Racja. Ciekawe, jak będzie w obozach szkoleniowych. Nigdy nie byłem za granicą... A ty?

- Też nie.

- Nasz kraj... Ale nigdy tam nie byliśmy. Dziwne, co?

- Słuchaj... - zaczął gniewnie Khan, ale przerwał mu jakiś samochód, który wjechał na parking. Obaj drgnęli, kiedy jego światła omiotły krzaki dookoła.

- Zwalnia - wyszeptał Patel.

- W końcu to parking!

Patel siedział jak skamieniały, a Khan obserwował obcy samochód w lusterkach wstecznych. Auto zawróciło i zatrzymało się po drugiej stronie, po czym kierowca zgasił światła.

- Najdalej, jak się dało - mruknął Khan. - Zgadnij, co będą robić.

Przyjaciel nie odpowiedział. Nie miał ochoty na żarty.

Czekając na wyznaczoną godzinę, nie rozmawiali zbyt wiele. Na parkingu pojawiły się jeszcze dwa auta, pierwsze odjechało.

- Jak króliki - mruknął Patel na widok trzeciego samochodu.

O pierwszej trzydzieści w nocy parking opustoszał. W końcu mogli wysiąść i załatwić się w krzakach.

- Myślałem, że zostaną do rana - powiedział Khan z ulgą.

- Ja też.

To była najserdeczniejsza wymiana zdań, odkąd się tu znaleźli.

Za dwadzieścia trzecia Khan po raz setny spojrzął na zegarek.

- Już czas - powiedział.

Jego słowa zadziałały jak zawór bezpieczeństwa. Wymuszony bezruch potęgował niepokój obydwu mężczyzn. Teraz w końcu nadeszła chwila działania. Nerwy powróciły, kiedy toczyli się na luzie w kierunku stacji uzdatniania wody.

Khan zatrzymał samochód. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu i obserwowali okoliczne domy. Wszędzie panowała ciemność.

- Gotów?

- Tak. - Patel sięgnął za fotel i podniósł skrzynkę z narzędziami, w której znajdował się pojemnik z bakteriami. Nie miał ochoty obchodzić auta dookoła i otwierać tylnych drzwi. Khan zrobił to samo i podał Patelowi obcęgi do kłódki. Obaj po cichu przymknęli drzwi, bo nie chcieli ryzykować trzaśnięcia, które mogłoby kogoś obudzić.

Khan pierwszy wdrapał się na płot i lekko zeskoczył po drugiej stronie. Począł, aż przyjaciel poda mu skrzynki. Patel rzucił obcęgi na trawę i sam przeszedł przez płot. Obaj rozejrzeli się, czy w żadnym z okien nie zapaliło się światło. Wszędzie panowała ciemność. Khan był tak zadowolony, że odruchowo uniósł rękę, a przyjaciel z uśmiechem przybił mu piątkę.

W tym samym momencie oślepił ich błysk kilku szperaczy i ze wszystkich stron rozległy się ostre męskie głosy.

- Policja! Połóżcie się na ziemię! Na ziemię! Ręce za głowę! Policja!

Następnego ranka we wszystkich gazetach królowały informacje o zatrzymaniu terrorystów w czasie próby kolejnego zamachu. Tym razem chcieli skazać przepompownie i stacje uzdatniania wody. Nie było jeszcze wiadomo, czy ataki się powiodły ani czy zatrzymano te same osoby, które były odpowiedzialne za zatrucie cholerą zbiorników w wieżowcach. Służby porządkowe wzywały obywateli do czujności i ostrożności. Przypominano, że trzeba zagotować wodę przed każdym użyciem.

Na spotkaniu sztabu kryzysowego w kancelarii premiera panowała optymistyczna atmosfera, choć jeszcze nie świętowano zwycięstwa.

- Nie chcę ogłaszać tego publicznie, dopóki nie będziemy mieli absolutnej pewności - odezwała się minister spraw wewnętrznych - ale jestem przekonana, że mamy ich wszystkich. Sprawdziliśmy stacje uzdatniania wody i w żadnej nie doszło do skażenia. Myślę, że możemy pogratulować policji świetnej roboty.

- Wpadli na skutek naszych działań operacyjnych czy ktoś ich wsypał? - dociekał Steven.

Był przekonany, że w jego pytaniu nie ma niczego złego, a jednak szefowie MI5, MI6 i policji wyglądali lekko nieswojo, co sugerowało kolejne faux pas. Dyrektor wywiadu cywilnego odchrząknął.

- Otrzymaliśmy pewne informacje, ale nie chcemy ujawniać, skąd pochodzą.

- Rozumiem. - Steven pokiwał głową.

- Jestem przekonany, że wie pan, jak niebezpiecznie jest umieszczać agentów w takich środowiskach. Dlatego niechętnie ujawniamy nasze sekrety.

Nawet między sobą się nimi nie dzielicie, pomyślał Dunbar. Widać było, że w służbach w tej sprawie panuje chaos.

- Niezależnie od tego - włączył się wicepremier - najważniejsze, że mamy terrorystów.

Wokół stołu podniósł się szum aprobaty.

- Co o nich wiemy? - zapytał Steven.

- Z pierwszych raportów wynika, że to nasi obywatele i że są bardzo młodzi - wyjaśnił szef policji.

- Rozumiem, że potwierdziły się ich wschodnie korzenie?

- Tak, ale jak już mówiłem, urodzili się w kraju.

- Musieli jednak dostać się pod wpływem ludzi z zewnątrz. Ktoś musiał im pomagać - snuł przypuszczenia Norman Travis. - Nie tak łatwo zdobyć zarazki cholery. W sklepach ich nie sprzedają.

Szef wywiadu przytaknął.

- Jest niemal pewne, że to po prostu młodzież wykorzystana przez islamskich radykałów.

- Zostali wciągnięci w sprawę już tutaj - dodał szef policji. - Ta cholerna wojna w Afganistanie to raj dla ludzi ich pokroju.

- Nie poruszajmy może tego tematu - zaczął wicepremier, lekko pokaślując z zakłopotania. - Stała się rzecz naprawdę smutna, że nasi obywatele wystąpili przeciwko własnemu państwu. I to organizując zamach bioterrorystyczny.

Szef policji zrobił minę świadcząca o tym, że ma gdzieś takie smutki.

- W więzieniu będą mieli sporo czasu, żeby przemyśleć swój brak patriotyzmu! - warknął. - Powinniśmy się bardziej przejmować ofiarami i skupić na potencjalnych naśladowcach.

- Ma pan rację - zgodził się Travis. - W tej chwili najważniejszą sprawą będzie powstrzymanie zachorowań. Nie możemy stracić czujności nawet w sytuacji, kiedy wydaje się nam, że zażegnaliśmy niebezpieczeństwo.

- Tak jest! - powtórzyło kilka głosów na raz.

- Zatem na razie utrzymujemy środki zapobiegawcze, które wdrożyliśmy na początku? - zapytał wicepremier.

Nie było głosów sprzeciwu.

Steven wrócił do MSW i zastanawiał się, dlaczego nie poczuł się lepiej. Pojmanie całej siatki terrorystycznej -a tak się właśnie wydawało - powinno go ucieszyć, a jednak nie mógł pozbyć się dziwnego uczucia niepokoju. Dlaczego?

- Wspaniała wieść - przywitała go Jean Roberts, kiedy zjawił się w biurze. - Czyż nasza policja nie jest niesamowita?

- Mamy dużo szczęścia, że nas chronią - odparł Steven z ironią.

- Oj, Steven, daj spokój. Wiem, że ty i sir John nie zgadzacie się z policją i służbami wywiadowczymi, i to już od lat, ale musisz przyznać, że tym razem stanęli na wysokości zadania.

- No dobrze, stanęli.

- Mam już odpowiedzi ze wszystkich miejsc z twojej listy. Nikt nie słyszał o nowym planie opieki zdrowotnej, który miałby wejść w życie jesienią.

- Dzięki, Jean.

Ledwie usiadł przy biurku, rozdzwonił się telefon.

- Mają ich! Prawie nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyczała Tally do słuchawki.

- Możesz, bo to prawda.

- Tego właśnie było nam potrzeba - ucieszyła się jeszcze bardziej. - Mamy teraz dość czasu, żeby zaszczepić ludzi. Na następny atak będziemy już przygotowani... Coś nie tak? Masz dziwny głos.

Steven nie od razu odpowiedział.

- Tak, coś nie tak - przyznał. - Tyle że jeszcze nie wiem co.

- Znam to uczucie - powiedziała. - Czasem tak mam z dziećmi na oddziale. Wszystkie wyniki są dobre, a jednak wiem, że to nie wszystko. Że coś jeszcze czeka, żeby zaatakować znowu.

- Dokładnie - zgodził się. - Niby obrazek jest już cały, a jednak kilka puzzli zostało mi w dłoni.

- Idź pogadaj z Macmillanem - doradziła. - Doskonale się rozumiecie... Pewnie znajdziesz odpowiedzi.

Steven zadzwonił do domu przyjaciela. Odebrała jego żona i wyjaśniła, że John jest w szpitalu na kontroli.

- Mam nadzieję, że nic nie znajdą. - Uśmiechnął się.

- Idę o zakład, że nie. Już się wrywa do pracy. Steven zgodził się, że trudno utrzymać kogoś takiego w domu, nawet po operacji mózgu. I poprosił, żeby przekazała, że zadzwoni później. Przez kilka minut stał potem przy oknie i obserwował samochody na ulicy poniżej. Nie wiedział, do czego się zabrać. W końcu wyjął z kieszeni telefon komórkowy i w kontaktach wyszukał Johna Ricksena. Zawahał się, ale mimo wszystko wybrał numer.

- Rickson.

- John, witaj. Dunbar z tej strony. Jak leci?

- No nie wierzę, Inspektorat Naukowo-Medyczny dzwoni do MI5, żeby zapytać, jak leci? Mów, o co chodzi.

- Rany, ileż na tym świecie cynizmu... - Steven jęknął. Rickson roześmiał się głośno.

- Dalej, wal prosto z mostu. Co się dzieje?

- W porządku. Chciałbym pogadać.

- Kiedy?

- Zaraz.

- Możesz zaprosić mnie na lunch.

Umówili się w pubie Blue Boar nad Tamizą o pierwszej po południu.

Nie byli bliskimi przyjaciółmi, ale ich ścieżki przecięły się kilka razy. Szanowali się nawzajem, mimo że ich organizacje de facto ze sobą konkurowały. MI5 twierdziło nawet, że inspektorat ma zbyt dużo wolności w działaniu, na co słyszało w odpowiedzi, że MI5 jest zbyt skostniałe.

Uścisnęli sobie dłonie i zamówili po piwie.

- Pewnie jesteście szczęśliwi, co? - Steven usiadł przy stoliku. - Domyślam się, że to wasza robota?

Rickson spojrzał na niego znad piwa.

- Niezupełnie - powiedział powoli. Dunbar zrobił zdziwioną minę.

- Hm... Słuchaj, to kłopotliwe. Informator przekazał nam wszystkie szczegóły na temat czterech ataków na stacje uzdatniania wody. Tymczasem nasi ludzie pracujący incognito wśród radykałów nie mieli o niczym bladego pojęcia. Ani my, ani wywiad wojskowy nic o tym nie słyszeliśmy.

Steven zmarszczył brwi.

- Jeśli ich działalność była tak tajna, jak to możliwe, że jeden informator wiedział o wszystkich atakach?

- No właśnie. Musieliśmy dostać cynk z samej góry organizacji, ale nie mamy pojęcia, kto to jest. I to nas martwi. Mamy w kraju grupę terrorystyczną przygotowaną do przeprowadzenia ataków, a nic o niej nie wiemy.

- MI6 są całkowicie przekonani, że goście nie są z zagranicy?

- Tak. Co więcej, wiemy już, że żaden z ośmiu aresztowanych nigdy nie opuścił kraju. Żaden nie skończył dwudziestego roku życia. Głupki z prowincji. Nic nie wiedzą i niczego nie widzieli, ale są pełni islamskiego szajsu, którego ktoś napchał im do głów. A oni uwierzyli. I teraz uważaj... Mieliśmy ich wszystkich w kartotekach.

Steven wytrzeszczył oczy.

- Teraz rozumiem, skąd to zmieszanie.

- Mamy oko na wszystkich młodych gniewnych ze społeczności Bliskiego Wschodu. Zazwyczaj tylko gadają, ale to może zwrócić uwagę islamskich werbowników. A stąd już jeden krok do walki o wolność świętej ojczyzny. Dostają lewe zaproszenia i lecą niby do rodziny. Tak naprawdę

szkołą się w obozach treningowych na pograniczu Pakistanu i Afganistanu. Do nas wracają gotowi do działania. Z zamkniętymi oczami potrafią rozłożyć i złożyć kałasznikowa, a semteks traktują jak plastelinę. Ci byli inni. Zostali zwerbowani, ale nie zwyczajnymi kanałami, bo o tym byśmy wiedzieli. Poza tym żaden nie wyjechał z kraju.

Steven gwizdnął cicho.

- Czyli nauczyciele są tu, w kraju!

- Na to wygląda.

- I jeden z nich zdradził.

- Szczęście?

Steven przez dłuższą chwilę siedział cicho i roztrząsał to, co usłyszał.

- Nie pisnęli słowa?

Ricksen uśmiechnął się ze smutkiem.

- Obawiam się, że po prostu nic nie wiedzą. To pionki. Dostają polecenie. Mają gdzie iść, więc idą, nie zadając pytań. Święta wojna, psiakrew.

- Nie sądzisz, że wiadomość o zdradzie mogłaby ich złamać?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie mają pojęcia, jak jest zbudowana ich organizacja, więc pomyślą, że ktoś nie wytrzymał i zdradził. Ale będą się cieszyli, bo spotka go za to kara w kolejnym życiu. Chociaż jeden z nich powiedział coś ciekawego. Otóż stwierdził, że go wrobiono.

Steven natychmiast zauważył różnicę.

- Nie zdradzono, ale wrobiono... Rzeczywiście, interesujące. Jak się nazywa?

- Anwar Khan, złapany w Glasgow, podejrzewamy, że to on dokonał zamachu w Edynburgu.

Później, już nad kawą, Ricksen dodał:

- Rozumiałbym jeszcze wasze zainteresowanie sposobem ataku, ale co was obchodzi, kto to zrobił?

- Cholera, dużo bym dał, żeby to wytłumaczyć - odparł Steven. - Mam przeczucie, że coś jest nie tak. Na pierwszy rzut oka mamy atak terrorystyczny z wykorzystaniem broni biologicznej, ale jak się temu dokładnie przyjrzeć, to pojawia się sporo wątpliwości.

- Sugerujesz, że osiadziemy na laurach, a oni załatwią nas ospą?

- Chryste, nie to miałem na myśli...

O czwartej po południu Steven wpadł odwiedzić Johna Macmillana. Zastał go w wyśmienitym humorze.

- Co za dzień, co? Nie tylko dostałem pozwolenie na powrót do pracy, chociaż tylko na część etatu, ale jeszcze dorwaliśmy tych drani.

- Wygląda na to, że jednak nie mieli zbyt wiele wspólnego z atakami - stwierdził Steven i zrelacjonował, czego się dowiedział na lunchu od Ricksena.

- Jasna cholera! - westchnął Macmillan. - Myślałem, że to któryś z tajniaków z MI5 albo MI6 dotarł do szczegółów.

Steven zaprzeczył.

- Nie. Informacje pochodziły od nieznanej osoby, która najwyraźniej znała najdrobniejsze szczegóły akcji.

- Dlaczego zdradziła?

- Właśnie, dlaczego? To musiał być ktoś na samym szczycie, kto miał dostęp do planów.

- Szybko się domyślą, kto to był. Informator musi zdawać sobie z tego sprawę, a jednak nie wystąpił o ochronę policyjną, prawda?

- Nie, nie wystąpił.

- Co chciał osiągnąć? To bez sensu.

- Od tygodni nie trafiłem na nic, co miałoby sens -mruknął Steven ponuro.

- Co jeszcze nie daje ci spokoju?

- Jeden z dysków z domu Frencha zawierał plany ponownego wdrożenia Północnego Planu Opieki Medycznej. I to tej jesieni. Nie miałoby wystarczająco dużo czasu.

- Jakie to ma znaczenie? - zapytał Macmillan, wciąż zajęty terrorystami.

- Nie mam pojęcia - przyznał Steven. - Ale... chyba zaczynam coś rozumieć.

Tym razem Macmillan wyprostował się i spojrzał na niego uważnie.

- Mów, chłopcze.

- Załóżmy, że mieliśmy odnaleźć te dane i listę miejsc do ponownego wdrożenia planu.

- Ale dyski od żony Frencha są przecież oryginalne. Wszystko się zgadza z tym, co się zdarzyło przed dwudziestoma laty.

- Owszem, ale plany ponownego wprowadzenia planu opieki medycznej zostały nagrane na osobnym dysku. -Steven pokręcił głową. - Ktoś mógł go podrzucić specjalnie dla nas.

- Żebyśmy myśleli, że operacja zakończyła się fiaskiem...

- I przestali się nią interesować... Operacją albo czymkolwiek, co akurat knują.

- Tyle że przywódcy Grupy Schillera nie żyją.

- Wszyscy, z wyjątkiem zamachowca - przypomniał Dunbar. - To jedyna rzecz, która nie ma sensu. Ktoś z organizacji zabija całą wierchuszkę, żeby... No właśnie, po co?

- Miejmy nadzieję, że cokolwiek planuje, nie zrobi tego w czasie kryzysu terrorystycznego!

- To też bez sensu - stwierdził Steven, a John uniósł brwi.

- Co masz na myśli?

- Oj, wszystko. Cholera to dziwna broń do ataku biologicznego.

- Cholera to straszna choroba.

- Ale jest sporo straszniejszych, jeśli można wybierać. Macmillan dostrzegł, do czego zmierza.

- Skąd ósemka młodych chłopaków wytrzasnęła żywe kultury cholery?

- Musiały zostać wyhodowane w laboratoriach i przywiezione z zagranicy.

- MI6 upiera się, że wiedzieliby o tym, a nie mieli pojęcia.

Macmillan machnął lekceważąco dłonią.

- Szczep bakterii, który wykorzystali, jest podatny na leczenie. A przecież każde laboratorium błyskawicznie mogłoby je tak zmodyfikować, żeby były odporne na antybiotyki. A jednak tego nie zrobili.

- Nawet my mamy czasem szczęście. No, ale dobrze, masz rację. To raczej dziwne.

- Nie mogę przestać o tym myśleć.

- Coś jeszcze?

- Zakres terytorialny epidemii był zaskakująco ograniczony.

- Patrz, a ja byłem pełen uznania dla służb, bo myślałem, że to dzięki nim choroba się nie rozprzestrzeniła -stwierdził Macmillan.

- Sami są o tym przekonani, a ludzie będą im wierzyli na słowo. Sam mówiłeś, że cholera jest okropną chorobą. Szerzy się jak pożar na stepie. Naprawdę sądzisz, że udało się nam tylko dzięki dobrej organizacji?

Macmillan podparł ręką brodę, a wskazującym palcem dotykał dolnej wargi. Steven miał wrażenie, że myśli o swoich doświadczeniach z tą chorobą.

- Dobra, zgadzam się - powiedział w końcu. - Tylko do czego zmierzasz?

- Jeszcze nie wiem - przyznał się Steven. - Po prostu musiałem... podzielić się obawami.

John się uśmiechnął.

- Kiedy terroryści usiłowali przeprowadzić kolejny atak, ktoś ich sprzedał. Ricksen ma rację. Ciekawe, czy to tylko szczęście.

- Co możemy z tego wywnioskować?

- Nic. - Macmillan wzruszył ramionami.

- A w którą stronę byś poszedł?

- Przede wszystkim musiałbym mieć jakieś dowody - powiedział Steven.

- To znowu wymaga zadawania całej masy pytań. Przede wszystkim trzeba ustalić, czy komuś zależało, żeby przekonać nas o tym, że plany Grupy Schillera zostały pokrzyżowane. Jeśli tak, to znaczy, że grupa cały czas funkcjonuje.

- To z kolei oznacza, że narażasz się na duże niebezpieczeństwo. - Macmillan pokręcił głową. - Proponuję nadać sprawie najwyższy priorytet i odwiedzić zbrojownię.

Steven przytaknął posłusznie. Nie lubił broni i zgadzał się na to tylko w sytuacjach zagrożenia życia, ale Macmillan miał rację.

- Dobra, załatwię to z samego rana... A potem pogadam jeszcze raz z Maxine French.

Następnego ranka podpisał kartę odbioru glocka 23 z kaburą i zapasem amunicji. Następnie udał się do biura i poprosił Jean, żeby zadzwoniła do Maxine French i umówiła go jak najszybciej na spotkanie z nią, nawet na dziś rano. Sekretarka zadzwoniła od razu i z wyrazu jej twarzy wyczytał, że kobieta się zgodziła.

- Bardzo się ucieszyła - oznajmiła Jean Roberts, odkładając słuchawkę. - Zaprosiła cię na kawę o jedenastej.

Maxine przywitała Stevena, a potem zostawiła go na chwilę w salonie i poszła przygotować kawę, którą przyniosła po chwili na srebrnej tacy.

- W czym mogłabym panu pomóc?

- Ostatnio, kiedy tu byłem, przekazała mi pani pewne dyski z sejfu męża.

- Tak, zgadza się. Należały do rządu, tak pan powiedział. Czy coś z nimi nie tak?

Steven cały czas nie miał planu, jak rozegrać tę rozmowę. Kobieta uśmiechnęła się zachęcająco. Sięgnął po filiżankę.

- Czy poza panią ktoś mógł mieć do nich dostęp?

- Tak - potwierdziła Maxine. - Jeden z szefów Deltasoft. Zadzwonił i powiedział, że porządkując biurko męża, znalazł najnowszą wersję jakiegoś

oprogramowania, a Charles najwyraźniej nie zdążył wziąć jej do domu. Zamieniliśmy je. Powinnam była panu o tym powiedzieć.

- Nic się nie stało - powiedział. - Naprawdę, nic się nie stało.

Poczuł jednocześnie ulgę i strach. Pochylił się do przodu, bo miał już pewność, że komuś zależało na zmyleniu inspektoratu. Okazało się, że nie zamierzano reintrodukować Północnego Planu. To rodziło kolejne pytania.

- Czy znała pani tego człowieka?

- Nie, ale pokazał mi dokumenty. Wie pan, Deltasoftware to naprawdę duża firma - stwierdziła. - A ja nigdy nie miałam z nią nic wspólnego. Chyba mogę panu zdradzić, że tak samo ja interesowałam się pracą Charlesa, jak on moją działalnością charytatywną. Czyli w ogóle.

Uśmiechnął się. Zastanawiał się, jak wyglądało ich małżeństwo. Maxine była bardzo lojalna - pewnie dlatego French poprosił ją o rękę. Zachowywała się jak rasowa żona polityka, osłaniając jego tyły i robiąc dobre wrażenie. Wiedziała, że Charles nie szukał bratniej duszy, więc nie naciskała na zażyłość.

- Czy mówi coś pani nazwa Grupa Schillera? - zapytał, uważnie obserwując jej reakcję. Nie dostrzegł zmiany wyrazu twarzy.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nic o niej nie wiem - dodała w sposób, który wzbudził jego ciekawość. Widząc jego minę, wyjaśniła.

- Kiedyś przy obiedzie ktoś, nie pamiętam już kto, wymienił tę nazwę, na co Charles kazał mu się zamknąć. Pomyślałam wtedy, że to niegrzeczne. Zwróciłam mu uwagę i odpowiedział, że to nie moja sprawa. Jeśli mam być

szczerą, często tak mówił. Rozumiem, że chodziło o jakieś rządowe tajemnice?

Steven przytaknął.

- Czasem przychodzi nam płacić za zaangażowanie, kiedy nie możemy porozmawiać o pracy z najbliższymi. Dziękuję serdecznie za pomoc.

Wrócił do biura zadowolony z osiągnięć. Szczególnie cieszył go fakt, że dowiedział się tego wszystkiego, a członkowie grupy nie mieli o tym zielonego pojęcia.

Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że to pierwszy poranek od czasu ataków, kiedy premier nie zwołał zebrania sztabu kryzysowego. Przyszło tylko jedno zawiadomienie i nic więcej. Nikt nie chciał kusić losu, odwołując środki ostrożności, ale wyraźnie czuć było optymizm. Przeglądając gazety zauważył, że piszą o tym, iż epidemia mogła być znacznie groźniejsza. Niektórym udało się dotrzeć z prośbą o komentarz do znanych mikrobiologów, którzy przedstawili swoje obawy. Steven zauważył, że to te same osoby, które odpowiadały za wcześniejsze paniczne komentarze na temat świńskiej grypy. Przypomniał sobie o pytaniach, które sam chciał zadać. Powinien dowiedzieć się więcej na temat rozprzestrzeniania się cholery. Pomyślał o swoim starym przyjacielu z wydziału higieny i chorób tropikalnych londyńskiego college'u, ale zmienił zdanie. Potrzebował czegoś więcej niż czysto naukowego spojrzenia. Zadzwoił do Lukasa Neubauera z laboratorium Lundborga.

- Cześć Steven, masz coś dla mnie?

- Nie, nie dzisiaj. Muszę pogadać.

- Za gadanie mi nie płacą. Przydałoby się jakieś zlecenie od was, bo jestem śmiertelnie znudzony robieniem testów na ojcostwo na zlecenie prawników i analiz bakteriologicznych dla urzędu miejskiego zamykającego kolejną chińską knajpę.

- Ale z tego możesz utrzymać merca, prawda? - zażartował, robiąc aluzję do samochodu, którym jeździł Lukas.

- Kiedy chcesz wpaść?

- Dzisiaj wieczorem?

Doktor Lukas Neubauer był wysokim mężczyzną o słowiańskich rysach. Przywitał Stevena energicznym uściśnięciem dłoni i uśmiechem.

- Pogadamy w laboratorium? Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia - powiedział.

Steven przysiadł na wysokim stołku i oparł łokcie na blacie, czekając, aż przyjaciel przeniesie baterię probówek z jednej kąpieli wodnej do kolejnej i uruchomi timer.

- Dobra, co cię gnębi?

- Kiedy dowiedziałeś się, że ten szczep cholery jest podatny na kurację antybiotykową, to jaka była twoja pierwsza myśl?

Neubauer przesunął okulary na czoło i przechylił głowę.

- Byłem zaskoczony - stwierdził. - Ale też poczułem ulgę, bo to oznaczało, że nikt nie majstrował przy genomie przecinkowca - odparł krótko i zdziwił się reakcją przyjaciela.

- Steven? Coś się stało?

- Chryste! To to!

- Co?

- To właśnie mieliśmy myśleć. Czy Colindale zrobiło jeszcze jakieś analizy poza tą jedną?

- Nie sądzę. Wszyscy byli zachwyceni wiadomością, że antybiotyki będą działać. Z tego, jak szybko ludzie wracali do zdrowia przy samym nawadnianiu, wynikało niezbitcie, że nikt nie wzmacniał też enterotoksyny.

- Zdobędziesz próbki bakterii? Mogę załatwić to oficjalnie, ale szybciej będzie ominąć procedury.

- Poproszę kumpla z Colindale. Mamy certyfikaty bezpieczeństwa pozwalające na pracę z niebezpiecznymi patogenami, więc nie powinno być problemów.

- Zrób dla mnie pełną analizę genetyczną tej bakterii. I to możliwie jak najszybciej. To priorytet.

- Czego mam szukać?

- Nie mam pojęcia.

W wieczornym wystąpieniu komitet informacyjny rządu zalecał wzmożoną uwagę. Społeczeństwo powinno mieć oczy cały czas szeroko otwarte i przestrzegać zasad, które chroniły przed zakażeniem, bo choroba wciąż mogła zabijać. Zbiorniki wodne i rurociągi pozostawały pod ścisłym

nadzorem odpowiednich służb, lecz w przypadku jakichkolwiek podejrzeń należało natychmiast zgłosić je na policję.

Akcja szczepień przeciwko cholercie rozwijała się zgodnie z planem i wszystko wskazywało na to, że dziesięć dni od jej rozpoczęcia całe społeczeństwo powinno być chronione.

RAZEM POKONAJĄ ZŁO. Steven już wcześniej zauważył to hasło na plakatach w mieście. W czasie akcji przeciwko świńskiej grypie też wykorzystywano chwytliwe slogany - najwyraźniej ktoś z rządu uważał, że każda epidemia zasługiwała na osobne zawołanie. Zastanowiło go, jakie hasło dopasowałoby do epidemii ospy albo dżumy?

- Jakież wieści od Lukasa? - zapytał Jean, kiedy rankiem zjawił się w biurze.

- Nie, na razie żadnych - odparła. - Wczoraj wieczorem przyszła tylko informacja, że laboratorium otrzymało kolonię bakterii i będą nad nią pracować przez całą noc.

- Daj mi znać, jak coś będzie wiadomo. Po spotkaniu u premiera pojedę do więzienia. Chciałbym zamienić kilka słów z tym terrorystą, który twierdzi, że ich wystawiono.

- Nie zamierzasz się przywitać z sir Johnem?

- Słucham?

Jean wskazała na biuro szefa. Steven uśmiechnął się z niedowierzaniem. Zapukał do drzwi i poczekał na odpowiedź, zanim nacisnął kłamkę.

- Dobrze cię widzieć... Żona wie, że tu jesteś?

- Robiła miny, ale w głębi serca cieszy się, że się mnie pozbyła z domu.

- Świetnie, że wróciłeś - powiedział Steven. - To już oficjalnie, na stałe?

- Nie. Możesz mnie traktować jako obserwatora, dopóki lekarze nie dadzą mi w końcu zielonego światła.

- Właśnie mówiłem Jean, że pojedę później do Bel-marsh pogadać z Anwarem Khanem. Jeśli chciałbyś zastąpić mnie na spotkaniu sztabu kryzysowego, mógłbym wybrać się tam wcześniej.

Macmillan uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy nie polubisz oficjalnych spotkań, co? Steven pokiwał głową.

- Jest masa rzeczy, o których chciałbym ci powiedzieć, ale to później. To co, zastąpisz mnie?

Macmillan się zgodził.

Steven udał się do więzienia Belmarsh, w którym przetrzymywano najniebezpieczniejszych przestępców w kraju. Wychodząc z biura, zapytał Jean, czy śledztwo dostało już najwyższy priorytet. Wbrew pozorom była to dość ważna kwestia, bo o ile agenci Inspektoratu Naukowo-Medycznego zawsze mogli prosić o pomoc policję i przedstawicieli innych służb, to w trakcie śledztwa z najwyższym priorytetem mieli prawo żądać tej pomocy, wsparci całym autorytetem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Oczywiście każdy by się dwa razy zastanowił, zanimby użył takich uprawnień, lecz w niektórych przypadkach było to bardzo przydatne.

- Tak, minister podpisała papiery wczoraj wieczorem.

- Dzięki.

- Tylko nie zapomnij zdać broni, zanim wejdiesz do więzienia, żebyśmy cię nie oglądali potem w wiadomościach!

Steven odbył krótką rozmowę ze śledczymi z MI5, po której miał się spotkać z Anwarem Khanem.

- Żaden nie chce puścić pary z gęby - powiedział pierwszy agent. - Szczają w spodnie ze strachu, ale nie gadają.

- Ale to nie nas się boją - dodał drugi - tylko muzułmanów z więzienia. Ktoś dał im do zrozumienia, że zginą, jeśli zaczną chlapać jęzorem. Źle, że w ogóle trafili do tego więzienia.

- Zgadzam się - przytaknął Steven.

- Czego chcesz się dowiedzieć?

- Szukamy informacji o cholercie. - Steven skłamał, podając powód zainteresowania inspektoratu tą sprawą. Miał nadzieję, że takie uzasadnienie nie wzbudzi podejrzeń agencji, z którą często konkurowali. - Trzeba ustalić, czy mają laboratorium u nas w kraju, czy gdzieś za granicą.

- Daj znać, jak byś się czegoś dowiedział. Powodzenia.

Steven nie wstał z krzesła. Chwilę później dwóch strażników przyprowadziło dziewiętnastoletniego Khana. Jego oczy zdradzały wahanie. Musiał się bać, ale upór na razie był silniejszy.

- Na co się gapisz? - warknął chłopak.

- Na frajera?

Khan zamachnął się, ale widząc, że nie zrobił wrażenia na Dunbarze, cofnął rękę.

- Jeszcze zobaczymy, kto jest frajerem - mruknął.

- Zobaczymy.

- Nasza wojna jest święta.

- Tylko, Khan, nie zorientowałeś się jeszcze, że nigdy nie brałeś w niej udziału? Zostałeś sprzedany i wiesz o tym. Wrobili cię, prawda? Oszukali. Wrobili w akcję i dali cynk policji.

- Zamknij ryj.

- No śmiało, chłopcze. Ty jeden się połapałeś, że was wydymali. Kto to był? Nie chcesz zabrać tego skurwysyna ze sobą na dno?

- Pieprz się.

- Jak chcesz... Ale pomyśl o tym. Ile dziewczyn będzie czekało w raju, kiedy trafi tam taki frajer? Jesteś młody, popełniłeś błąd i dałeś się wykorzystać, jak pozostali. Nie wymigasz się od odpowiedzialności, bo zginęli ludzie. Ale gdybyś pomógł nam dotrzeć do mózgu operacji, to może... może... byś nie tkwił w takim miejscu do usranej śmierci.

- Pieprz się.

Steven wrócił do biura.

- Jak poszło? - zapytał John.

- Nie chce nic powiedzieć, ale zasiałem ziarenko zwątpienia w jego głowie. Teraz ma już potwierdzenie, że go wrobili. I chyba żałuje, że to zauważył.

- Wcześniej wspomniałeś, że masz jakieś nowe informacje?

Steven opowiedział mu, czego dowiedział się o dyskach i wspomniał o spotkaniu z Lukaszem Neubauerem.

- Wydaje mi się, że właśnie dlatego nie uodpornili bakterii na antybiotyki. Chcieli, żebyśmy myśleli, że w ogóle przy niej nie majstrowali.

- Tylko po co?

- Nie wiem. - Steven pokręcił głową. Czuł, że brakuje mu pomysłów.

- No cóż, zazwyczaj twoje przeczucia się sprawdzały, więc poczekajmy. Ja też nie próżnowałem.

- Doprawdy? - Steven udał zdziwienie, ale nie dość dobrze.

- Przeglądałem sobie wiadomości wybierane przez komputery.

Ich komputery zostały wyposażone w specjalne oprogramowanie, które analizowało każdy artykuł i każdą informację ukazującą się w kraju pod kątem słów kluczowych i tematyki interesującej Inspektorat Naukowo-Medyczny.

- Starsza kobieta, Gillian McKay, mieszkanka Edynburga, zgłosiła policji zaginięcie sąsiada, niejakiego Malika. Od kilku dni nie miała z nim żadnego kontaktu, a kiedy policja sprawdziła jego mieszkanie, było puste, jakby się wyprowadził. Po naleganiach pani McKay policjanci zgodzili się poszukać jego krewnych, by mieć pewność, że wszystko w porządku. Malik

wspomniał jej kiedyś, że cała jego rodzina mieszka w Pakistanie. Później, kiedy odwiedził ją reporter lokalnej gazety, pani McKay przypomniała sobie, że sąsiad ma bratanka, który pracuje dla wodociągów... Bo widziała przed domem jego furgonetkę.

- Jasna cholera - mruknął Steven.

- Poprosiła nawet Malika, żeby zapytał bratanka, dlaczego dodają tyle chloru, bo przez to jej herbata paskudnie smakuje.

- No proszę, proszę - sapnął Dunbar. - Kiedy to było? Macmillan się uśmiechnął.

- Sprawdziłem daty. Dokładnie w dniu ataku w Edynburgu. Co ciekawe, wiadomość ukazała się w lokalnej gazecie...

- A policja ją przegapiła i nie szukali tego bratanka?

- Nie.

- Dobra, przekazemy to dalej, ale najpierw chciałbym sam pogadać z tą kobietą, dobrze? - zapytał Steven. - Chociaż nie - stwierdził po namyśle. - Mógłbym pokazać to Ricksenowi i MI5. Coś za coś.

- Świetnie. - Macmillan pokręcił głową i popatrzył na niego zachwycony. - Zrobisz ich w konia, żeby myśleli, że coś im dajesz, sam wszystko załatwisz i zgarniesz śmietankę. Bierz się do roboty.

Steven zdecydował się polecieć do Edynburga jeszcze tego samego wieczoru. British Airways miały uruchomione stałe połączenie z Heathrow. Było już za późno, żeby nachodzić panią McKay, lecz miał ochotę na spacer. Po ślubie z Lisą mieszkali w Glasgow i często odwiedzali Edynburg.

Z drugiej strony miał nie tylko miłe wspomnienia z tego miasta, bo kilka razy był tu służbowo jako przedstawiciel inspektoratu. O tym jednak wolał nie pamiętać. Zadarł też poważnie z tutejszą policją, więc na wszelki wypadek nie zatrzymał się w hotelu, tylko w małym pensjonacie poleconym przez Jean Roberts, nazywał się Fraoch House i mieścił przy Pilrig Street, w północnej części miasta. Przy okazji pobytu Steven chciał zobaczyć, z czym muszą sobie radzić zaatakowane miasta. Pomyślał też, że jeśli nie dowie się niczego od pani McKay i Lukas Neubauer nie będzie miał dla niego żadnych wieści, w drodze powrotnej do Londynu odwiedzi Jenny. Na wszelki wypadek kupił kilka książek dla córki i dzieci szwagierki. Siedział na ławce, przeglądając opowieść o babci Gąsce, kiedy mężczyzna, który przysiadł się do niego, spojrzał mu przez ramię i zagadnął:

- Widzę, że wie pan, co dobre. Steven się roześmiał.

- Lepsze niż pamiątki gwiazd.

- Żeby pan wiedział. Właśnie przed chwilą rozmawiałem z kilkoma.

Steven spojrzał na niego z zaciekawieniem, na co ten się przedstawił.

- Liam Rudden, redaktor działu rozrywkowego „Edin-burgh Evening News”.

Podali sobie ręce.

- Steven Dunbar. A książka jest dla mojej córki. Słowo.

- Niech się pan nie wstydzi - zażartował Rudden. - Sam uwielbiam Babcię Gąskę. Na święta reżyseruję sztukę na jej podstawie.

- Pan chyba żartuje!

- Gdzie tam. Co roku wystawiam pantomimę. Traktuję to jako odtrutkę na idiotyzmy, które wygadują w wywiadach celebryci. A pantomima jest bardziej rzeczywista niż oni. Przepraszam za wścibstwo, ale czym pan się zajmuje?

- Służba cywilna - odparł Steven. Rudden podał mu wizytówkę.

- Niech pan zadzwoni przed świętami. Podeślę panu bilety dla córki.

- Trzymam za słowo.

Plany Stevena na wieczór legły w gruzach, kiedy z nieba lunął rześisty deszcz. Kryjąc się przed wielkimi kroplami, wskoczył w najbliższe drzwi i znalazł się w barze hotelu Roxburghe, gdzie spędził ponad godzinę, czekając na poprawę pogody. W barze rozmawiano o nieprzewidywalności deszczu i globalnym ociepleniu, które miało swoich wrogów i obrońców. W końcu jednak tematem stały się ataki terrorystyczne. Większość gości - biznesmenów w drodze do stolicy - bawiła tu tylko przejazdem, więc Steven nie miał szans dowiedzieć się niczego o tym, jak miasto sobie radziło. W końcu przestał podsłuchiwać rozmowy i ruszył z powrotem do pensjonatu, żeby położyć się wcześniej do łóżka. Ulice wciąż jeszcze ociekały wodą, a wszystkie sklepy były zamknięte.

Spał już, kiedy zadzwoniła jego komórka. Lukas Neu-bauer.

- Hej, tylko nie mów mi, że jest druga w nocy, bo doskonale o tym wiem. Pamiętaj, że ty spałeś, a ja pracowałem.

- Święta racja, zrobiłeś na mnie wrażenie - zgodził się Steven. - Tylko to chciałeś mi powiedzieć?

- Szczep bakterii cholery ma zmieniony genom. Steven usiadł gwałtownie, całkowicie rozbudzony. W jego głowie pojawiły się apokaliptyczne wizje.

- W jaki sposób? - zapytał, bojąc się odpowiedzi.

- Dziwaczny - stwierdził Lukas. - Do genomu została dodana kasetka. Inaczej rzecz biorąc, to mechanizm auto-destrukcji.

- Chyba żartujesz?! - wydukał Steven.

- Nie ma mowy, wiem, co mówię - zapewnił go Lukas. - W dawnych czasach, na samym początku biologii molekularnej, naukowcy bali się, że coś może uciec im z laboratoriów, więc wymyślili mechanizm autodestrukcji. W tym przypadku jest to bardzo dopracowana wersja. Bakterie potrzebują do życia aminokwasów, które dostarcza gen z kasety, ale kasetka ma ograniczony czas funkcjonowania. Kiedy przestanie dostarczać aminokwas, bakteria ginie.

- Chcesz powiedzieć, że te bakterie od początku były skazane na zagładę?

- Na to wygląda.

- To by wyjaśniało, dlaczego epidemia się nie rozprzestrzeniła. - Steven pokiwał głową. - Ktoś tego nie chciał. Co to za terroryści? Stosują bakterie, które mają same wyginąć?

- Całe szczęście. - Neubauer się roześmiał. - Teraz to już twój problem.

Steven zjadł wczesne śniadanie w pensjonacie, w którym spędził noc i wyszedł na dwór. Było słonecznie. Poczul się, jakby pogoda poprzedniego wieczoru zrobiła go w konia. Dopiero dzisiaj mógł podziwiać Edynburg w pełnej krasie. Powietrze było świeże i rześkie, a kiedy oglądał zamek, poczuł przypływ optymizmu. Jeśli można powiedzieć o jakimś budynku, że wszystko już widział, to na pewno o tej fortecy... Teraz została świadkiem ataku terrorystycznego. Spróbował chociaż na chwilę o tym zapomnieć. Ogrody Princes Street Gardens rozciągały się poniżej, na razie puste, lecz bez wątplenia wkrótce zapełnią się turystami... Naraz zamarł. Przecież nie mogło być mowy o żadnych turystach! Wszystkie loty turystyczne do Zjednoczonego Królestwa zostały zawieszony ze względu na niebezpieczeństwo ataków terrorystycznych.

Steven spędził jeszcze trochę czasu w ogrodach, wypił kawę w ulicznym barze, jednym z niewielu otwartych o tej porze - pewnie liczyli na pracowników biurowców w drodze do pracy - a potem poszukał połączenia do Corstorphine.

Trzydzieści minut później pokazał swoją legitymację kobiecie, która otworzyła drzwi.

- Dzień dobry, pani McKay. Nazywam się Steven Dunbar i pracuję dla Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Specjalizujemy się w poszukiwaniu zaginionych osób. Czy mógłbym zamienić z panią słówko?

Kobieta przypatrzyła mu się znad okularów.

- A, chodzi o pana Malika - powiedziała w końcu. - Tak, oczywiście, proszę, niech pan wejdzie.

Steven poczuł się, jakby został przeniesiony w inne czasy. Siedział w salonie, w którym meble i wszystkie przedmioty należały do całkowicie innej epoki. Trzyczęściowy zestaw wypoczynkowy z grubej, drapiącej tkaniny, do tego krzesła tapicerowane tym samym materiałem, kominek oklejony płytkami, lampa stojąca w rogu, zielony dywan we wzorki - wszystko jakby żywcem przeniesione z zadbanego domu starej cioci, u której był ostatnio trzydzieści pięć lat temu. Ale też nic nie było stare ani zniszczone, co to, to nie. W salonie panował porządek, meble pokryte pastą do drewna błyszcząły czystością, choć pewnie nikt ich nie używał. Zupełnie jak wtedy u cioci - to był pokój na specjalne okazje, do którego się nie wchodziło.

W powietrzu unosił się zapach środków czystości, a pani McKay pachniała lawendą.

- Pan Malik nie wrócił, jak rozumiem?

- Nie, nie wrócił. I jeśli mam być szczerą, to policja nie chce go szukać.

Steven pokręcił głową, jakby rozumiał jej położenie.

- Czy zna pani jego imię?

- Tak, oczywiście. Waheed. Nie wiem, jak to przeli-terować, ale doskonale słyszałam, jak jego bratanek tak mówił. Ja oczywiście nigdy nie zwracałam się do niego po imieniu.

- Oczywiście - zgodził się Steven i pomyślał, że chętnie uściskałby ją z radości. Waheed Malik. Miał imię i nazwisko osoby, która wysłała ośmiu ludzi do więzienia.

- Napiłby się pan może herbaty?

- Z przyjemnością.

Dotrzymując rytuałów towarzyskich, pani McKay wróciła z tacą zastawioną herbatą i ciasteczkami owocowymi własnego wypieku.

- Czy mogłaby pani opisać swojego sąsiada?

- Tak, oczywiście. Jest mniej więcej tego samego wzrostu, co mój Angus... Och, przepraszam, przecież pan nie wie, jaki wysoki jest mój Angus. Zresztą wie pan co, najlepiej będzie, jak pokażę panu jego zdjęcie.

Pani McKay przeprosiła i wyszła z salonu, a Steven siedział jak skamieniały i nie wierzył własnym uszom. Miała zdjęcie Malika? Przestał myśleć o uściskach - ta kobieta zasłużyła na oświadczeniu.

- Proszę bardzo. Nie jest za dobre, bo mój wnuk ma dopiero dwanaście lat i zrobił je telefonem, bawiąc się z rodzeństwem w ogrodzie. To było kilka tygodni temu. Potem tata mu je wydrukował, a wnuk dał mi te zdjęcia na pamiątkę. Pan Malik jest na jednym z nich. Wygląda, jakby podszedł do okna sprawdzić, co to za hałasy.

Steven z pliku zdjęć wydobył właściwe. W oknie stał mężczyzna, a na trawniku przed jego domem wyglupiały się dwie dziewczynki.

- Czy miałaby pani coś przeciwko, gdybym zatrzymał tę fotografię na jakiś czas? Muszę zlecić wykonanie odbitek - powiedział. - To by nam bardzo pomogło w poszukiwaniach.

- Skoro tak, to proszę.

Steven zatrzymał pierwszą taksówkę, którą zobaczył, i kazał się zawieźć na lotnisko. Przed drugą był już w Londynie i pędził do biura inspektoratu. Po drodze zadzwonił do Johna Ricksena i poprosił o pilne spotkanie.

- Co tym razem, Dunbar?

- Mam dla ciebie prezencik... jeśli będziesz dla mnie miłszy.

- Co to takiego?

- Szef Anwara Khana.

- Żartujesz?

- Skoro tak, to przekażę go MI6.

- Czekaj, po co te nerwy. Zapraszam na obiad.

- No proszę, jak chcesz, to umiesz.

Steven umówił się z nim na później i wszedł do biura. Macmillan był u siebie.

- Ty to nazywasz pracą na część etatu? - zapytał ze śmiechem.

- Żona usiłowała mnie namówić na rejs wycieczkow-cem, żebym podreperował zdrowie. Tutaj mnie nie dopadnie.

- Pomyślałeś, że może mieć rację? - zapytał. - Przeszedłeś skomplikowaną operację.

- Potrzebuję czegoś, co będzie mnie stymulowało do myślenia, bo jak przestanę używać mózgu, to zacznie zanikać.

- Znow racja. Dobra, dam ci powód do rozmyślań. Podatność na antybiotyki była zmyłką, żebyśmy myśleli, że bakterie nie były modyfikowane. A były. Lukas znalazł w ich genomie coś, co nazwał kasetą.

- Co to takiego?

- W tym przypadku kasetą zawierała mechanizm auto-todestrukcji. Bakterie zostały zaprogramowane tak, żeby same z siebie ginęły.

- Boże - mruknął John. - A więc szukamy islamskich fundamentalistów, o których nikt nigdy nie słyszał i którzy pojawiają się znikąd. W dodatku atakują nas bronią biologiczną, która sama ginie, zamiast zabijać...

Steven podsunął mu fotografię, którą dostał od pani McKay.

- Mężczyzna w oknie to Waheed Malik, zaginiony sąsiad, którego bratanek pracował dla wodociągów.

- Co za zbieg okoliczności. Co planujesz?

- Zeskanować zdjęcie i wrzucić w naszą wyszukiwarkę, chociaż wątpię, żeby to coś dało. Umówiłem się z Rickse-nem, dam mu to. Tak jak ustaliliśmy.

- Świetna robota. Malik może wiedzieć znacznie więcej, niż te pionki w celach.

- W tej chwili naszą jedyną nadzieją na ustalenie, co się w ogóle dzieje, jest znalezienie tego człowieka.

Steven wrócił do domu, wziął prysznic, owinął się w płaszcz kąpielowy i padł jak długi na łóżko, by wpatrując się w śnieżnobiały sufit, szukać inspiracji. Ale choć bardzo się starał, nie potrafił wymyślić teorii, która w

logiczny sposób łączyłaby wszystkie elementy zagadki. Fundamentalisci przeprowadzili niemal perfekcyjnie przygotowany atak, wykorzystując zarazki śmiertelnej choroby. Na cały kraj padł błądny strach i właśnie wtedy zamachowcy wsypali swoich ludzi, na chwilę przed nokautującym uderzeniem. Teraz wiadomo było nawet więcej - że od początku planowali porażkę pierwszego ataku, osłabiając bakterie. Zadzwoił do Tally, żeby z nią o tym porozmawiać.

- To jakieś szaleństwo - powiedziała. Steven musiał się zgodzić.

- Chyba już wiem, jak się czuła Alicja w Krainie Czarów - stwierdził, po czym opowiedział o informacjach przywiezionych z Edynburga.

- Byłeś w Edynburgu?

- Tylko przelotem. Przepraszam, nie miałem nawet czasu, żeby dać ci znać.

- Czasem mam wrażenie, jakbym była w związku z lordem Lucanem.

- Ej, mnie znacznie łatwiej znaleźć.

- Nie znacznie, tylko minimalnie. Gdzie wybierzesz się następnym razem? Wiesz, jutro mam wolny dzień. Daj mi jakieś wskazówki, a ja pobawię się w biegi na orientację.

- Dobra. Moja wskazówka to twoje łóżko o poranku.

- Mówisz serio?

- Mhm... Dzisiaj wieczorem mam jeszcze randkę, a potem...

- Zaraz, co masz?!

- Randkę z MI5 - wyjaśnił. - Przekażę jednemu z agentów informacje z Edynburga. Zaraz potem ruszę na północ, do kobiety, którą kocham.

- Tylko pod warunkiem, że przyniesiesz mi jutro śniadanie do łóżka.

- Oj, Tally Simmons, jesteś wymagającą kobietą! -zawołał.

- Musisz się z tym pogodzić, mój mały - odparła.

- No dobra, masz to śniadanie.

- Zgoda!

Steven spotkał się z Johnem Ricksenem w pubie przy Tamizie, który niedawno rozszerzył ofertę i zyskał nazwę gastropubu. Steven miał nadzieję, że nie jest to zamierzona dwuznaczność. Ricksen znał właściciela, więc dostali stolik z widokiem na rzekę i sherry na koszt firmy.

- Nic więcej dzisiaj nie piję - zapowiedział Dunbar. -Mam przed sobą kawał drogi samochodem.

Agent MI5 patrzył przez chwilę, jakby chciał zapytać, dokąd się wybiera, ale zmienił zdanie.

- Dobra, to co dla mnie masz? - zapytał. Steven podał mu zdjęcie. Mężczyzna popatrzył na nie bezradnie.

- Co to jest?

- Raczej kto. Człowiek w oknie to Waheed Malik -wyjaśnił Steven i opowiedział o swojej wyprawie do Edynburga i o bratanku Malika w samochodzie wodociągów w dniu ataków.

- Jak, do ciężkiej cholery, wpadłeś na ten ślad? - krzyknął Ricksen.

- Mam swoje sposoby, drogi Watsonie. Znasz mnie.

- Opowiedz mi więcej, Sherlocku.

Steven wyjaśnił mu, że trafili na ślad Malika przez sąsiadkę, która zgłosiła zaginięcie.

- Cholerny szczęściarz!

- Nie ja, mój szef.

- Nie opowiadaj, Macmillan wrócił?

- Żebyś wiedział. Dobra, to powiedz mi teraz, do czego doszliście w MI5?

Rickson wyduł usta.

- Mówiłem ci, że niczego nie wyciągniemy od aresztowanych, bo sami nic nie wiedzą. Wyglądają jak terroryści, mają nazwiska odpowiednie dla osób podejrzanych o terroryzm, ale mówią z brytyjskim akcentem z Leicester i Birmingham. Woleli szukać kłopotów, niż wziąć się do roboty, aż w końcu znalazł się ktoś, kto pokazał im ścieżkę prawdy i męczeństwa. Wstąpili do organizacji terrorystycznej i zostali przeszkoleni, by dokonać zamachu. A na koniec ktoś ich poświęcił, bo i tak niczego nie wiedzieli.

- Miejmy nadzieję, że Malik był już notowany.

- Wypijmy za to. Ups! Szkoda, że ty nie możesz. Skończyli posiłek i Steven powiedział:

- Znamy się już jakiś czas, prawda? Rickson spojrzał na niego podejrzliwie.

- O co chodzi?

- Słyszałeś kiedyś o organizacji Grupa Schillera? Rickson zamilkł na zaskakująco długi czas.

- Tak - odparł w końcu. - Słyszałem o nich, i to wszystko, co mam do powiedzenia.

- Serio?

- To organizacja działająca na prawym skrzydle sceny politycznej. Obsesyjnie dbają o dyskrecję, są patriotami w wymiarze dzisiaj już niespotykanym, gotowi do największych poświęceń i do usunięcia każdego, kto by im zagrażał. Ktoś w każdym razie chciał, żebym tak myślał.

- Kto?

Agent popatrzył na niego wzrokiem, jakby wolał nie odpowiadać, ale Steven był nieugięty.

- Kilka lat temu jeden z naszych ludzi przedostał się do komórki Frontu Narodowego, która za swój cel obrała edukację społeczności Azjatów i zachęcenie ich, by się wyprowadzili z kraju. Donosił, że nie działali autonomicznie. O wszystkim decydował ktoś z zewnątrz.

- Grupa Schillera? Rickson potaknął.

- Wyłowiliśmy go z Tamizy kilka miesięcy później. Nikt nie został oskarżony, choć to był przecież jeden z naszych. Dlaczego pytasz?

- Zamknięta sprawa, na którą trafiłem przy okazji ataku.

- To zostaw ją zamkniętą.

Zbliżała się druga nad ranem, kiedy Steven otworzył drzwi mieszkania Tally i, najciszej jak potrafił, wsunął się do środka. Uśmiechnął się, widząc butelkę dzinu i kryształową szklankę na stoliku, a obok niej krótki liścik:

„Tonik w lodówce, kanapki w folii”.

Właśnie tego potrzebował, by poprawić nastrój po spotkaniu z agentem MI5 i długiej drodze na północ. Ricksen nie powiedział niczego nowego na temat Grupy Schillera, lecz myślał, że nawet wywiad wolał nie zadzierać z tajemniczą organizacją, sprawiającą, że czuł się nieswojo. Pół godziny później wszedł na paluszkach do sypialni. Drzwi nie były zamknięte.

- Kto tam? - zapytała Tally zasnym głosem.

- Mleczarz - odszepnął Steven.

- Jedną butelkę proszę, niech pan postawi na toaletce. Zaraz ma przyjść mój chłopak.

Steven wsunął się pod kołdrę i przytulił do pleców Tally.

- Hej, mówiłam, że dzisiaj będzie tu mój facet.

- My, mleczarze, nie boimy się niebezpieczeństw.

- W takim razie - mruknęła i obróciła się do niego twarzą - jeśli jesteś szybki... niech będzie.

- Śniadanie podano, madame - zawołał, wnosząc do sypialni tacę, na której miał jajka na twardo, tosty, sok pomarańczowy i filiżankę kawy. Postawił to wszystko na łóżku obok Tally i odsunął jej włosy z czoła. Uśmiechnął się.

- Boże, jak ja cię kocham - powiedziała. - Wspaniale znów cię widzieć.

- Jedz.

Później nie robili niczego specjalnego, po prostu spędzali razem czas. Wyszli na spacer, trzymali się za ręce i dużo śmiali. Zjedli lunch, popijając go winem, i wrócili do domu, do łóżka.

- Musisz jechać do Londynu?

Leżeli leniwie w słońcu wpadającym przez odsłonięte okna. Ktoś gdzieś kosił trawę.

- Niestety. John poszedł ostatnio za mnie na spotkanie u premiera, ale nie mogę go przeciążyć. Jego żona nie jest zachwycona tak szybkim powrotem do pracy. Chce go zabrać na rejs wycieczkowcem.

- A co on o tym sądzi?

- Wolałby leczenie kanałowe zęba. Tally zachichotała.

- Myślisz, że jest gotów do powrotu?

- Tak, chociaż nie mam pewności. Inspektorat to jego życie. Nie odda go łatwo i nie powinien, bo nie stracił ani odrobiny intelektu. Wyobraź sobie, że to on zauważył wagę zgłoszenia o zaginięciu w Edynburgu.

- Ale mógłby zrezygnować, gdybyś zgodził się przejąć schedę.

- Wróciłem tam, bo mógł umrzeć. Skoro nie umarł, to układ nie obowiązuje.

- Myślałeś już, co chcesz robić potem?

- Będę dalej pracować jako mleczarz - rzucił żartobliwie. - Lubię kontakt z ludźmi.

Zasłonił się przed gradem ciosów, które spadły na niego.

- Wybacz. - Zaśmiał się, kiedy Tally opadła z sił. - Starąłem się zmienić temat.

- W porządku. - Uśmiechnęła się. - Jeszcze nie zmieniłam zdania. Nie możesz wrócić do korporacyjnych gier. To nie dla ciebie.

- Pogadamy, jak się wszystko wyjaśni.

Steven był gotów do powrotu, kiedy zadzwonił jego telefon. John Ricksen.

- Hej, Dunbar, w co ty pogrywasz? Jeśli myślisz, że to dowcip, to mnie nie rozśmieszyl!

- O co ci chodzi?

- Waheed Malik, przełożony Anwara Khana. Tak powiedziałeś. Chryste, przez ciebie wyszedłem na idiotę!

- Dałem ci wszystko, co miałem, więc w czym problem?

- On się nie nazywa Waheed Malik, tylko Assad Za-man. I jest jednym z naszych.

Steven zamarł.

- Jak to możliwe? Co w takim razie robił w Edynburgu z Khanem i furgonetką z wodociągów?

- Skąd mamy wiedzieć, że to on? - wysyczał John przez zaciśnięte zęby.
- Khan został złapany z drugim dzieciakiem, Patelem. My tylko zakładamy, że to oni dokonali zamachów w Edynburgu, bo żaden się nie przyznał. Nie pisnęli słówka!

- W porządku. W takim razie, co wasz człowiek robił w Edynburgu z dwoma nieznanymi Azjatami i furgonetką wodociągów w dniu, kiedy przeprowadzono ataki?

- Jeśli to zdjęcie w ogóle jest prawdziwe - warknął Ricksen.

Steven poczuł gniew.

- Zdjęcie zostało wykonane w Edynburgu i wiem o tym, bo tam pojechałem. Stałem w miejscu, z którego zostało zrobione!

- W porządku - mruknął John. - Przepraszam. Powiedz mi, co tu się do cholery dzieje?

- Dlaczego nie zapytasz Malika vel Zamana, czy jak się naprawdę nazywa, skoro jest jednym z was?

- W tej chwili nie mogę. Nie wiemy, gdzie przebywa.

- Pracuje w firmie i nie wiecie, jak go znaleźć?

- Nie jest szeregowym pracownikiem. Wykorzystywaliśmy go w przeszłości. Powiedziano mi, że był naszą wtyczką w środowisku fundamentalistów w Leicester jakiś rok temu.

- Może oni okazali się bardziej przekonujący od was?

- Fundamentalisci nie rekrutują agentów, kiedy ich złapią, tylko kroją na kawałki.

- Czyli co mamy?

- Na wszelki wypadek dodałem go do listy alarmowej.

- Zadzwonię do ciebie z samego rana.

Steven wziął udział w spotkaniu w kancelarii premiera, które zapowiedziano jako ostatnie zebranie w sprawie kryzysu wywołanego atakami terrorystycznymi. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że był na sali jedyną osobą, która nie pławiła się w samozadowoleniu po tym, jak sytuacja „została opanowana”, jak wyjaśnił wicepremier. W kraju nie zanotowano w minionej dobie żadnych nowych przypadków cholery, ochrona wodociągów, przepompowni i stacji uzdatniania wody była szczelna, a w przychodniach w całym kraju rozpoczęła się akcja szczepienia małych dzieci. Norman Travis ogłosił, że szczepienia dla osób z grup ryzyka rozpoczną się w ciągu trzech dni, a Marryman Pharmaceuticals za trzy tygodnie wyprodukuje dość preparatu, by zaszczepić cały naród.

Steven wyszedł z zebrania ze znajomym uczuciem pustki w żołądku. Coś tu było nie tak... ze wszystkim. Ale nie mógł o tym mówić. Norman Travis zostawił grupkę, która składała mu gratulacje za sposób, w jaki Ministerstwo Zdrowia poradziło sobie z tą sytuacją, i pobiegnął za Dunbarem.

- Zaskakujące, jak wiele może się zmienić w tak krótkim czasie, prawda? Jeszcze tydzień temu nie postawiłbym złamanego grosza, że dziś zobaczę tyle uśmiechniętych twarzy.

- Tak, mieliśmy kupę szczęścia.

- Wiem, że nikt nam nie zagwarantuje, że to się nie powtórzy. Ale kiedy Merryman ruszy pełną parą z produkcją nowych szczepionek, będziemy mogli się obronić.

- Ma pan rację. A pana wkład jest nie do przecenienia.

- Niektóre sprawy są ważniejsze niż polityka. Nasza koalicja udowodniła to działaniem. Jeśli coś musi zostać zrobione, to trzeba zakasać rękawy i brać się do roboty.

- Racja - zgodził się Steven.

- Ucieszyłem się wczoraj, widząc Johna Macmillana na spotkaniu, ale nie mieliśmy okazji zamienić ani słowa. Wrócił do inspektoratu?

- Częściowo.

- Proszę mu przekazać moje pozdrowienia.

Steven potrzebował świeżego powietrza i spaceru. Musiał chwilę pobyc między normalnymi ludźmi, popatrzeć, jak się spieszą i jak rozmawiają, żeby mieć pewność, że świat dalej się kręci. Wciąż dręczyło go poczucie, że coś jest nie tak. Stał oparty o balustradę i przyglądał się łodziom, kiedy zadzwonił Ricksen.

- Znaleźli Zamana.

- I co powiedział?

- Niewiele. Wisiał sobie na gałęzi w Clyde Valley. Steven zamknął oczy.

- Wnioski?

- Szef uważa, że czuł się winny, pracując dla nas. Widział, co się dzieje w Afganistanie, i został fundamentalistą. Ktoś wskazał go jako osobę idealną do kierowania atakami z wykorzystaniem cholery. Zaman uświadomił sobie, ilu ludzi może zginąć po drugiej fali ataków, spanikował i wyspał swoich ludzi. Jego szefostwo z kolei nie miało problemów z ustaleniem, z czyjej winy następne ataki się nie powiodły, i dlatego musiał zginąć.

- A co ty sądzisz?

- Nie wiem.

- Powinniśmy pogadać - zaproponował Steven. - Możesz wpaść do mnie do biura?

- Będę za jakąś godzinę. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw.

Macmillan zapytał Stevena, jak przebiegało spotkanie u premiera.

- Wszyscy byli szczęśliwi. Poza mną.

- Powiedziałaś im, na co wpadł Lukas? Steven pokręcił głową.

- Nie chciałem psuć atmosfery. Co innego, gdybym miał najmniejsze pojęcie, po co terroryści osłabili bakterie. Ale tego nie wiem. Wpadłeś na coś?

- Nie. Islamscy terroryści nie robią nikomu takich uprzejmości. To bez sensu.

- Poprosiłem Johna Ricksena, żeby do nas wpadł. Musimy pogadać.

Macmillan spojrział na niego ciekawie.

- Waheed Malik pracował dla MI5 jako informator. Naprawdę nazywał się Assad Zaman. Znaleźli go dzisiaj rano w Szkocji, powieszzonego.

John opadł na oparcie fotela.

- Cholera, chyba ten rejs wycieczkowcem to nie jest taki zły wariant.

- MI5 uważa, że został zwerbowany przez islamistów. Pokierował pierwszymi atakami, ale przy kolejnym spanikował i sygnął ludzi.

Do gabinetu weszła Jean, wprowadziła Johna Ricksena.

- Proszę nie łączyć żadnych telefonów - zdecydował Macmillan.

- Oczywiście, sir John - odparła. Uśmiechnęła się do Stevena i wyszła. Wszystko wróciło do normy.

- Właśnie przedstawiłem dyrektorowi stanowisko MI5 dotyczące człowieka znanego jako Malik vel Zaman. Wydawało mi się, że masz jeszcze jakieś pomysły - zapytał Steven.

Ricksen wyglądał na skrępowanego. Dunbar domyślił się, że deprymująco zadziałała na niego obecność Macmillana.

- Nic, co powiesz, nie opuści tego gabinetu - dodał szybko.

- Coś jest nie tak - wydukał w końcu Ricksen.

- Odniosłem takie samo wrażenie.

- Nasi ludzie rozpaczliwie usiłują znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie dla nielogicznych wydarzeń. Dostajemy ostrzeżenie przed atakiem bronią biologiczną, ale nie wiemy skąd. Nasi informatorzy nie mają o niczym pojęcia. To samo w MI6. Terrorysty mają pochodzić z kraju, i to się zgadza,

ale nikt nic nie wie o ich mocodawcach. Zaangażowanie Zamana w zamachy jest niespodzianką nie tylko dla nas, ale też dla grup fundamentalistów islamskich.

A potem znajdujemy jego ciało, powieszzone. Nikt nie obciął mu nawet języka! Dziwnie to wygląda.

Steven opowiedział mu o specyficznej modyfikacji szczepu cholery.

- Nie chcieli zbyt wielu ofiar.

- Jakie wnioski? - zapytał Macmillan.

- To nie byli islamscy terroryści - odparł wolno Steven.

Macmillan przytaknął.

- Tak, to jedyne wytłumaczenie. Jakaś nieznana organizacja rekrutuje w naszych miastach niezadowolonych muzułmanów i szkoli ich do przeprowadzenia ataków, wtłaczając im do głów, że działają ku chwale islamu.

- A potem wydaje ich policji, żeby wszyscy myśleli, że złapano prawdziwych terrorystów - dodał Steven.

- Tylko po co to wszystko? - zapytał Ricksen. - I dlaczego osłabili bakterie?

- Żeby przygotować grunt pod coś... Coś zupełnie innego - stwierdził Macmillan. - Ludzie, którzy zmarli w wyniku ataków byli zbledni... Ofiary wojny nie do uniknięcia.

- Klasa pracująca? Rodziny mieszkające w blokach?

- Cholera jasna! - jęknął Steven. - Za tym wszystkim musi stać właśnie Grupa Schillera!

Ricksen zrobił minę, która oznaczała, że to nie jest dobra wiadomość.

- Ataki były kolejnym wcieleniem Północnego Planu Opieki Medycznej. Postanowili przetrzebić populację i zmienić profil społeczeństwa.

- Co? - wyjąkał Ricksen.

- To długa historia, sprzed ponad dwudziestu lat - wyjaśnił Steven, nie chcąc zgubić wątku. - Ktoś chciał zacząć wszystko od nowa... Po to urządzili zamach w Paryżu. Pucz. Przejęcie władzy. Nowy zarząd z nowymi pomysłami.

- Co planują? - zapytał Macmillan.

- Masowe szczepienia - orzekł Steven. - O to musi im chodzić. Cała populacja kraju ma zostać zaszczepiona.

- Masz rację! - krzyknął szef. - Rzeczywiście! Małe dzieci dostały szczepionki, którymi dysponowaliśmy wcześniej, ale ludzie powyżej sześćdziesiątki dostaną preparat dla krajów Trzeciego Świata...

- Albo nie - zakończył Dunbar.

- Chcesz powiedzieć, że zamordują wszystkich po sześćdziesiątce? - Rickson nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

- Zadziałają subtelniej, jeśli to rzeczywiście Grupa Schillera.

- Jak ich powstrzymać? Program szczepień już ruszył z pełnym błogosławieństwem rządu, a my nawet nie mamy pewności, kim są ci „oni”.

- Racja - zgodził się Macmillan. - Ale znacznie bardziej deprymujące jest to, że łatwiej byłoby im powstrzymać nas, niż nam ich.

- No i wiedzą już teraz, że jesteśmy blisko, bo Zaman znalazł się na liście alarmowej MI5 - pokręcił głową Steven.

- Zabili go, żeby nie mógł zdradzić - stwierdził Rick-sen. - Dlatego nic do siebie nie pasowało.

- Z danych sprzed dwudziestu lat wiemy, że Grupa Schillera miała sporą siatkę informatorów wśród policjantów. Może dzisiaj jest podobnie.

- Założę się, że muszą mieć też swoich ludzi w MI5 -dodał Ricksen, bo natychmiast przypomniała mu się historia Frontu Narodowego i zamordowanego kolegi.

- Dobrze. W takim razie zacznijmy od ustalenia priorytetów. - Steven podniósł rękę. - Przede wszystkim musielibyśmy zatrzymać tę szczepionkę, zanim zostanie rozesłana do centrów medycznych w całym kraju. Skąd ma tam trafić?

- Z Lark Pharmaceuticals - przypomniał sobie agent MI5. - Zgodzili się podzielić swoimi zapasami przygotowanymi ponoć do wysłania za ocean.

Macmillan gniewnym ruchem włączył intercom.

- Jean, potrzebuję wszystkiego, co mamy na temat Lark Pharmaceuticals. Tak, to bardzo pilne. Bardzo.

- Lark wcale nie musi być w to zamieszany, więc spokojnie. Całkiem możliwe, że uknuli plan podmiany preparatu na którymś z etapów transportu - zauważył Ricksen.

- W takim razie musimy zapobiec wysłaniu szczepionek - zgodził się Steven.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. - Ricksen był sceptyczny. - Wystarczy, że do ludzi z tej organizacji dotrze pogłoska o naszych działaniach, a zmienią plany i znów zostaniemy z niczym.

Rozległo się pukanie i w progu stanęła Jean.

- Przyniosłam to, co znalazłam na szybko, żebyście mogli od czegoś zacząć - powiedziała i położyła na biurku szefa cienką teczuszkę.

Macmillan przeglądał przez chwilę papiery, a kiedy skończył, podniósł wzrok i popatrzył na pozostałą dwójkę.

- Firma Lark Pharmaceuticals powstała jako spółka zależna Lander Pharmaceuticals w roku 1990, ale nigdy nie trafiła na giełdę. To prywatna firma. Choć całe know-how pochodzi od Lander, zbudowano ją z prywatnych funduszy pochodzących z organizacji o nazwie Fundacja Wellingtona. Firma działa jako organizacja non profit. Dochód ze sprzedaży tabletek, syropów i zestawów diagnostycznych jest natychmiast inwestowany w produkcję szczepionek dla krajów Trzeciego Świata.

- I co, to wszystko tak charytatywnie? - zdziwił się Ricksen.

- Raczej nie, szczególnie biorąc pod uwagę firmę matkę. - Steven się uśmiechnął. - Lander dostarczał leki na potrzeby systemu Północnego Planu Opieki Medycznej.

Macmillan mówił dalej.

- Szefem firmy Lark jest doktor Mark Mosely, wcześniej współpracownik doktora Paula Schreibera, szefa Lander Pharmaceuticals.

- Schreiber był zaangażowany w uruchomienie Północnego Planu. Osobiście zarządzał oddziałem aptecznym College Hospital.

- Mosely, wybitny biolog molekularny, został zatrudniony przez Schreibera zaraz po obronie doktoratu na uniwersytecie w Cambridge. Błyskawicznie awansował i kiedy postanowiono stworzyć Lark Pharmaceuticals, został jej szefem i pracuje tam do dziś.

- A za wszystko płaci Grupa Schillera - dodał Steven.

- Czyli trzeba sprawdzić tę firmę - zdecydował Ricksen.

- Na zewnątrz to szacowna jednostka, która prowadzi szlachetną działalność. Czyni wysiłki, by pomagać mieszkańcom krajów Trzeciego Świata. Wszyscy ich podziwiają...

- A teraz na dodatek podjęli się dostarczyć szczepionkę dla obywateli najbardziej podatnych na zarażenie cholera. -W głosie Stevena pobrzmiwała kpina.

- Bez dowodu niczego nie zdziałamy - stwierdził Ricksen. -I musi być twardy jak cholera, bo inaczej nie pozwolą nam tknąć ich palcem. Potrzebujemy czasu...

- Którego nie mamy - zaprotestował Dunbar. - Musimy zdobyć dowody jak najszybciej, omijając procedury.

- Co masz na myśli?

- Od teraz - wyjaśnił Steven - nie będziemy marnować czasu na grzeczne prośby i wypełnianie formularzy. Wykorzystamy jednostki specjalne i zajmiemy siedzibę Lark Pharmaceuticals.

- Chryste - jęknął John Ricksen. - Naprawdę chcesz to zrobić?

- Steven jest byłym komandosem. - Macmillan się uśmiechnął. - Jego dawni kumple już nie raz przychodzili nam z pomocą. Ale tym razem... Potrzebujemy zgody Ministerstwa Obrony?

- Nie wiem. Właściwie można uznać, że to sprawa cywilna. .. - Steven spojrzął przebiegle na szefa.

- Co przenosi ciężar decyzji i odpowiedzialności na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych - ucieszył się Macmillan. - To duża sprawa, potężny kaliber. Trzeba dostać zgodę minister.

Steven zgodził się z przyjacielem.

- Pani minister słyszała plotki o Grupie Schillera. Kiedyś ten temat wypłynął przy jakiejś rozmowie.

- To bardzo dobrze. Kto z nią pogada? Ty czy ja?

- Ty - zdecydował Steven. - A ja zadzwonię do Hereford.

Macmillan spędził u minister spraw wewnętrznych niemal godzinę. Wrócił zmęczony i wyczerpany.

- Powiedziała, że osobiście powiesi mnie na Tower Bridge, jeśli coś pójdzie nie tak - wyjaśnił.

- Ale się zgodziła? - zapytał Steven.

- Ty masz wisieć zaraz obok mnie - ciągnął sir John. -I tak, to oznacza zgodę. A jak tobie poszła rozmowa z przyjaciółmi?

Steven zdał mu krótką relację i dodał:

- Bardzo wierzyłem w twoją siłę przekonywania. Moi ludzie będą na miejscu o dwudziestej trzeciej.

- Idziesz razem z nimi?

- Oczywiście.

Macmillan spojrział pytająco na agenta MI5.

- Nie masz nic przeciwko?

- Zwariowałeś? - Dunbar się uśmiechnął i popatrzył na przyjaciela. - Będziemy potrzebowali wsparcia Lukasa Neubauera i jego laboratorium. Niech będą w stanie pogotowia przez całą noc. Jak tylko pobiorę próbki, natychmiast mu je dostarczę.

- Dobra, pogadam z nim... Czeka nas długa noc. Poproszę Jean o coś na wzmocnienie.

Roberts zorganizowała nie tylko jedzenie i picie, ale też zdjęcia budynków Lark Pharmaceuticals. Steven przekazał wydruki dowódcy oddziału SAS, który punktualnie o jedenastej wieczorem pojawił się w biurze. Łącznie przybyło dwunastu komandosów, wszyscy w pełnym rynsztunku. Przyjechali czterema zielonymi land-roverami. Poza dowódcą nikt nie wysiadł.

Steven poinformował żołnierza, że ani on, ani Ricksen nigdy nie byli w środku Lark Pharmaceuticals.

- Świetnie - mruknął mężczyzna, który przedstawił się jako Tim.

- Spokojnie. - Steven się uśmiechnął. - Przecież nie chodzi nam o jakieś subtelności. Wpadnijcie do nich jak rozpędzony pociąg towarowy i zabezpieczcie cały budynek. Nie sędzę, żeby o tej porze ktokolwiek pracował w biurze i laboratoriach, może kilku ludzi. Jeśli traficie na kogoś, nie róbcie mu krzywdy. Nie niszczone też niczego niepotrzebnie. Na rampach magazynowych będą robotnicy ładujący szczepionkę do ciężarówek. Żaden z tych samochodów nie ma prawa opuścić terenu firmy.

- Przyjąłem. Co jeśli napotkamy opór?

- Stłumić - zarządził Dunbar. - Ale z umiarem. Większość pracowników jest niewinna. Robią swoje i nie wiedzą, w czym uczestniczą. Chciałbym po prostu, żeby cała firma stanęła, dopóki nie znajdę tego, czego szukam.

- A czego szukasz?

- Powiedzmy, że mam podstawy, by uważać, że produkowana przez nich szczepionka nie jest tym, czym powinna być. Potrzebuję próbek do analizy. W idealnym układzie zdobędziemy jeszcze informacje o tym, co tam trzymają. Będę też szukał danych na temat organizacji, która tym wszystkim steruje.

- Próbki szczepionki można przejąć na rampach załadowniczych - zdecydował Tim. - Mamy zgromadzić wszystkie dokumenty, dyski, laptopy i inne nośniki informacji z gabinetów zarządu?

Steven kiwnął głową.

- Dyrektorem zarządzającym jest doktor Mark Mosely. Przed wszystkim sprawdźcie jego biuro.

Tim ze swoją ekipą potrzebował zaledwie jedenastu minut, żeby zabezpieczyć cały budynek Lark Pharmaceuticals. Pracownicy przebywający na terenie firmy - głównie obsługa magazynu i logistycy - zostali spędzeni do stołówki, przeproszeni za niedogodności i poproszeni grzecznie o nieopuszczanie pomieszczenia. Nikt nie odważył się dyskutować z ubranymi na czarno potężnymi mężczyznami w kominiarkach i z bronią.

Steven i Ricksen dołączyli do zespołu Tima w biurze Marka Mosely'ego. Komandos obserwował, jak Dunbar przeszukuje pokój, odkładając na osobną kupkę rzeczy, które chciał zabrać do analizy do Londynu, razem z próbkami szczepionki z ramp załadunkowych.

- Chryste, mam nadzieję, że się nie myliłeś - wymamrotał Ricksen.

- Ja też - odpowiedział Steven.

- W takim razie ja też się przyłączam. - Tim zachichotał. - Szef wysłał nas na tę misję poza oficjalnym protokołem.

- Coś czuję, że będzie ciasno na Tower Bridge - zażartował Steven.

- Gotowi? - zapytał komandos.

Obaj pokiwali głowami i rozejrzeli się jeszcze po gabinecie.

- Sprawdzę tylko, czy nie ma tu sejfu... - Steven przypomniał sobie skrytki w apartamencie Charlesa Frencha.

Bogiem a prawdą nie spodziewał się niczego znaleźć, ale kiedy odsunął reprodukcję przedstawiającą Ville d'Avray, cała ściana ruszyła z miejsca. Dunbar cofnął się zaskoczony.

- Co jest ku... ! - krzyknął Ricksen. - Co to ma być?

- Winda - wyjaśnił spokojnie Steven, nieco rozbawiony.

- Przecież zaraz obok drzwi jest druga - zdziwił się Tim.

- Może ta służy tylko zarządowi - zgadywał agent MI5. -Wiecie, gościom z kasą przewraca się czasem we łbach...

Dunbar przycisnął pojedynczy guzik na panelu i winda się otworzyła. Zajrzał do środka.

- Tutaj też jest tylko jeden guzik. Można jechać jedynie w dół.

Tim też zajrzał do kabiny i zdecydował, że zmieści się w niej czterech ludzi. Przywołał jednego z podkomendnych, a pozostałym wyjaśnił, co robi.

W środku było ciasno. Steven wyraźnie czuł zapach oliwy do smarowania broni, bo karabin jednego z komandosów znajdował się kilka centymetrów od jego nosa.

- Gotowi? - zapytał. I uruchomił windę.

Po bardzo długiej drodze w dół kabina zatrzymała się z delikatnym kołysaniem, a przez otwierające się drzwi do środka wlało się jasne światło.

Żołnierze wyskoczyli na zewnątrz i, wodząc przed sobą lufami karabinów, obstawili obie strony wyjścia. Naprzeciwko windy w podziemnym laboratorium pracowały cztery osoby w białych kitlach.

Znieruchomiały na widok gości. Tim dał znak jednemu ze swoich ludzi i ruszył sprawdzić przejście, które, jak się wydawało, prowadziło do mniejszego pomieszczenia. Steven obserwował, jak komandos zbliża się do niego i otwiera drzwi kopniakiem.

W środku stało biurko, a przy nim siedział jakiś mężczyzna.

- Co się dzieje, do cholery?!

- Jest twój. - Tim wezwał przez ramię Stevena.

Dunbar podbiegł i pokazał legitymację.

- Witam, Steven Dunbar, Inspektorat Naukowo-Medyczny.

- Mark Mosely. To moje laboratorium badawcze. Jestem oburzony tym wtargnięciem. Proszę się stąd wynosić.

- Pilnuj go. - Steven wyszedł sprawdzić, co się dzieje w laboratorium.

- Wspaniałe - mruknął z podziwem, oceniając jakość sprzętu. - Najnowocześniejsze urządzenia... I idę o zakład, że to sami najlepsi fachowcy - dodał, przyglądając się zdenerwowanej czwórce mężczyzn w białych kitlach, trzymanyh w szachu przez komandosa z karabinem.

Otworzył drzwiczki inkubatora i wyjął szalkę Petriego. Przyjrzał się inskrypcji na wieczku.

- *Vibrio cholerae*. No proszę, chyba znaleźliśmy odpowiedź na kilka pytań. Czy to tutaj stworzyliście tę kasetę?

Sposób, w jaki naukowcy popatrzyli na siebie, mógł oznaczać tylko jedno. To oni zmodyfikowali genom cholery.

- Trudno uznać szczepę przecinkowca cholery za coś wyjątkowego w firmie, która produkuje szczepionki przeciwko tej chorobie - krzyknął Mosely ze swojego gabinetu.

Steven wrócił do niego.

- Zanim te szczepionki gdziekolwiek trafią, zostaną przebadane. Jeśli się okaże, że ten preparat to nie szczepionka przeciwko cholercie, a pan i ja wiemy, że tak będzie, wtedy pan i cała Grupa Schillera znikniecie raz na zawsze.

Mosely sięgnął gwałtownie dłonią w stronę przycisku na czerwonym postumencie wbudowanym w biurko. Nacisnął go, ale nic się nie stało.

- Cholera - mruknął z delikatnym uśmiechem. - Miała się otworzyć zapadnia do zbiornika z głodnymi krokodylami.

Dunbarowi nie podobał się wyraz twarzy naukowca. Mężczyzna nie miał powodów do robienia sobie żartów... A jednak nie wyglądał na zmartwionego.

Ricksen, który myszkował po laboratorium, podszedł do Stevena i szepnął mu na ucho, że na górze widział taki sam przycisk wbudowany w biurko. A potem dodał głośniej:

- Potrzebuję karty magnetycznej, która otwiera sejf. Mężczyzna wysunął szufladę, dwoma palcami złapał kartę i podał ją bez słowa komentarza. John i Steven wyszli razem na zewnątrz. Agent wsunął kartę w szczelinę czytnika. Po chwili otworzyły się niewielkie drzwiczki, pod którymi znajdował się szklany panel. Ricksen wyciągnął rękę, ale zanim dotknął płytki, Dunbar zdążył wrzasnąć:

- Stop! Nie dotykaj! Taki sam panel miał w domu Charles French. To czytnik biometryczny - wyjaśnił. Po czym przywołał Tima. - Potrzebujemy tutaj doktora Mosely'ego. Przyrowadź go, proszę.

Po chwili naukowiec został wyprowadzony z biura. Steven ucieszył się, widząc zaskoczenie na jego twarzy.

- Proszę otworzyć.

- Pieprz się.

Tim dźgnął go lufą.

- Nie odważysz się!

- Wie pan, jego akurat lepiej nie prowokować. Proszę otworzyć.

Mosely położył dłoń na panelu. Po chwili drzwiczki sejfów odskoczyły. W środku znajdowało się kilka płyt. Ricksen wyjął je i wszedł do biura Mosely'ego, żeby sprawdzić ich zawartość. Naukowiec dołączył do pozostałego personelu laboratorium. Steven sprawdzał wszystkie szafki i szuflady, kiedy nagle John krzyknął:

- Bingo! -I na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. -Mamy listę członków Grupy Schillera!

Dunbar spojrzął na żołnierza.

- Mamy wszystko, po co przyszliśmy - oznajmił. Złapał Mosely'ego i jako ostatni wyjechali windą na górę. Mimo że trzymał naukowca na muszce i miał dyski z sejfów, cały czas czuł się nieswojo, widząc zadowoloną minę aresztowanego. Mosely uśmiechał się tak samo jak w biurze na samym początku. Spoważniał tylko na chwilę, widząc, jak rekwirują jego dane. Ale

szybko znów zaczął się uśmiechać. Pomagając sobie glockiem, Dunbar wypchnął naukowca z windy. Mężczyzna wyszedł, unosząc ręce nad głowę. Personel aresztowany w laboratorium, komandosi z SAS, Steven, Ricksen i Mosely zeszli na parter i stali w przeszklonym holu, przygotowując się do wyjścia.

Mosely ruszył przed siebie i zatrzymał się naprzeciwko szklanych drzwi. Ręce trzymał cały czas oparte na głowie.

- Proszę, proszę... - powiedział dość głośno, żeby go wszyscy usłyszeli. - Oto jesteśmy. Ja, dyrektor zarządzający Lark Pharmaceuticals, i czwórka moich ludzi. Trzymają nas na muszce uzbrojeni terroryści, którzy za wszelką cenę chcą przeszkodzić w dostarczeniu szczepionki do obywateli...

Steven zmarszczył brwi, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, na zewnątrz rozbłysnęły dziesiątki świateł i zaryczały syreny.

- Cholera! Przycisk na biurku! - warknął Ricksen.

- Tak - potwierdził Mosely. - To alarm podłączony bezpośrednio do komisariatu policji. Uruchamia się go jedynie w przypadku ataku terrorystycznego. Pospieszili się, prawda?

Dunbar dostrzegł na zewnątrz przynajmniej kilkudziesięciu uzbrojonych policjantów z oddziałów szybkiego reagowania i masę pojazdów z włączonymi kogutami. Wyobraził sobie, co oni widzą, i zrobiło mu się niedobrze. Dwunastu zamaskowanych mężczyzn wyposażonych w broń automatyczną, czwórka naukowców w białych fartuchach i Mosely z rękoma nad głową.

- Nie mamy legitymacji - przypomniał mu Tim.

- Ja do nich wyjdę - zdecydował Steven.

- Świetna myśl, naprawdę - zgodził się Mosely. Ricksen spojrział na Dunbara.

- Steven, nie wygłupiaj się. Goście na zewnątrz tylko czekają na pretekst, żeby zacząć kanonadę. Popatrz na nich. Adrenalina kapie im z uszu. W końcu mają przed sobą prawdziwych terrorystów i chcą się na nich zemścić. Poszatkują cię, zanim zdążysz wyjąć legitymację.

- Trzymajcie tych gości na muszce - rozkazał Tim. -Oni są naszą jedyną szansą. Nic nie może im się stać.

Steven musiał mu przyznać rację. Policyjny snajper już dawno by go sprzątnął, gdyby nie glock wycelowany w stojącego tuż obok Mosely'ego.

- Wyjdę - powtórzył. - To jedyny sposób, żeby uniknąć rozlewu krwi.

Naukowiec zachowywał się tak, jakby chciał zignorować pistolet i odsunąć się na bok.

- Nie postrzelisz mnie, prawda? Nie odważysz się.

- On nie. Ale ja się nie zawaham - powiedział spokojnie Tim. - Daję ci, kurwa, moje słowo.

Mosely nie miał powodu, żeby mu nie wierzyć.

Do kakofonii syren dołączył nowy odgłos - huk obracającego się wirnika. Placyk przed wejściem oświetliły reflektory lądującego helikoptera. Policja nie wiedziała, co się dzieje, więc na wszelki wypadek wszyscy cofnęli się o kilka kroków, formując szczelny kordon. Kiedy ucichły silniki

maszyny, ożył wmontowany w burtę potężny głośnik, a nocne powietrze przeciął kobiecy głos.

- Uwaga, mówi minister spraw wewnętrznych. Zostaliście wprowadzeni w błąd. Osoby w budynku nie są terrorystami, to żołnierze SAS. Proszę natychmiast opuścić broń.

Nikt się nie poruszył.

- Wsiadam z helikoptera. Na mój sygnał macie obowiązek opuścić broń. Zwracam się do obu grup, wewnątrz i na zewnątrz budynku.

W otwartych drzwiach maszyny pojawiła się kobieca postać, której towarzyszył starszy mężczyzna. Steven obserwował, jak John Macmillan wychodzi na plac.

- Chryste - mruknął jeden z policjantów. - To naprawdę pani minister!

- Wszędzie bym ją poznał po tych butach - dodał inny.

Pani minister rozłożyła ramiona i je opuściła. Momentalnie wszyscy odłożyli broń na ziemię. Mosely uznał, że warto przejąć Glocka Dunbara, lecz jedno uderzenie powaliło go na posadzkę. Nawet nie zauważył ciosu.

- Cholera, zazdroszczę ci - mruknął Tim.

Minister objęła dowodzenie. Wezwała do siebie szefów wszystkich służb biorących udział w akcji. Po krótkim przedstawieniu pracowników Inspektoratu Naukowo-Medycznego, MI5, SAS i miejscowej policji wyjaśniła:

- Zostałam obudzona przez policję. Informacja dotyczyła ataku terrorystycznego na budynek Lark Pharmaceuticals. Natychmiast

skontaktowałam się z sir Johnem i zorganizowałam transport. Dzięki Bogu, przybyłam na czas. - Popatrzyla uważnie na Stevena. - Czy pańskie podejrzenia znalazły potwierdzenie?

- Wszystko wskazuje na to, że tak, pani minister - odparł Dunbar. - Więcej będziemy wiedzieli po analizie szczepionki.

- W takim razie, sir John - odparła kobieta - wasza egzekucja zostaje na razie zawieszona, ale nie odwołana. A ja wracam do łóżka.

Lukas Neubauer i jego ludzie potrzebowali dwóch dni i nocy, żeby ustalić odpowiedź, która interesowała MSW.

- To bez najmniejszych wątpliwości nie jest szczepionka przeciwko cholercze, pani minister - wyjaśnił, a Macmillan i Steven westchnęli z ulgą. - Jest to substancja wspomagająca.

- Czyli? - zapytał sir John. Steven również był zaskoczony.

- Substancje wspomagające są dodawane do szczepionek w celu wzmocnienia odpowiedzi immunologicznej organizmu - wyjaśnił.

- Zgadza się. - Neubauer pokiwał głową. - Lecz akurat ta konkretna ma bardzo złą reputację. Została zakazana przez naukowców ze względu na to, że uszkadzała system odpornościowy i wywoływała reakcję autoimmunologiczną. Jej stężenie w szczepionkach Larka na pewno wywołałoby taki skutek.

- Zaszczepieni byłiby bardziej podatni na inne choroby.

- A ich organizmy nie potrafiłyby zwalczyć zarazków. Mieliby szczęście, gdyby po takiej dawce przeżyli trzy czy cztery lata.

- Czyli oczekiwana długość życia przestałaby rosnąć -stwierdził Macmillan. - Krzywa po sześćdziesiątce opadałaby stromo w dół, a państwo nie musiałoby płacić kroci za leczenie...

- Ale co to by było za państwo... - powiedział Steven.

- Zgadza się. - John się uśmiechnął. - Masz kolejny powód, żeby zostać w inspektoracie.

- To się jeszcze zobaczy.

Informacje z dysków przejętych w laboratorium Lark Pharmaceuticals zaprowadziły śledczych do wszystkich członków Grupy Schillera, a jej działalność została zakazana. Przez kraj przetoczyła się fala aresztowań i dymisji osób na eksponowanych stanowiskach. Wśród aresztowanych znalazł się też Norman Travis.

Steven i Tally wybrali się do Newcastle, by odszukać groby trójki zmarłych w latach dziewięćdziesiątych osób, które próbowały obnażyć zbrodniczy mechanizm działania Północnego Planu Opieki Medycznej. Macmillan zobowiązał się doprowadzić do przyznania im odznaczeń państwowych, lecz oboje uznali, że na początek kwiaty są najwłaściwszym podziękowaniem.

Po odwiedzinach na grobie doktora Neila Tolkiena pojechali na cmentarz, na którym spoczął James Kincaid. Dziennikarz, który rozpoczął właściwe dochodzenie, i Eve Laing, zakochana w nim pielęgniarka. Para została pochowana obok siebie. Steven obserwował Tally, jak układa kwiaty i poczuł kluchę w gardle. Kiedy się podniosła, spodziewał się zobaczyć smutek w jej oczach, lecz było w nich coś innego.

- Steven... moja mama miała za dwa dni dostać tę szczepionkę. -
Spuściła wzrok, ale po chwili mówiła dalej. - Kraj pana potrzebuje, doktorze
Dunbar... Bardziej niż ja. Cholera jasna...

A potem rzuciła mu się na szyję i pocałowała w sposób, w który
absolutnie nie powinno się całować mężczyzn na cmentarzach.

Od autora

Dwadzieścia lat temu napisałem powieść pod tytułem Szpital śmierci,
thriller medyczny, który nie miał szczęśliwego zakończenia. Istotnie,
brakowało tam wyraźnie babeczek z dżemem i kremem i z pewnością nie
łało się piwo imbirowe. Dobro nie zatriumfowało nad złem. To sprawiło, że
wielokrotnie pytano mnie, co się działo potem? Chociaż Uzdrowiciel nie jest
kontynuacją Szpitala śmierci, Steven Dunbar ma powód, żeby przypomnieć
sobie tamte wydarzenia i odpowiedzieć na parę pytań.